

AGNIESZKA JEŻ

Serce z szuflady

*Dom
Pod Trzema Lipami*

*Kobieta na życiowym zakręcie,
która musi poukładać sobie życie od
początku... Intrygująca, wzruszająca
i zmuszająca do refleksji powieść, od
której trudno się oderwać! Polecam!*

Alek Rogoziński

FILIA

AGNIESZKA JEŻ

*Serce
z szuflady*

*Dom
Pod Trzema Lipami*

FILIA

Prolog



Widok z okna był piękny: trzy lipy osypane liśćmi w kolorze soczystej zieleni, ozłoconymi przedpołudniowym słońcem. Samo okno też urokliwe – przedwojenne, wysokie, z podwójnymi szybami i ozdobnie giętymi uchwyty. Z drewnianych ram gdzieś kiedyś łąszczyła się biała farba, co wyglądało jak umyślny zabieg w celu nadania sielskiego, rustykalnego wyglądu. Wykończone drobnymi frędzlami kołkowe firanki przypięto do mosiężnych haczyków wstążkami z jasnego aksamitu.

Obrazek był niezwykle nastrojowy, nostalgiczny, jak z okładki cudownego romansu: historii o spełnionej miłości, gdzie ona znajduje jego, a potem żyją długo i szczęśliwie. BCholera jasna! – zaklęłam i głośno się rozszlochałam.

* * *

TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ

– Przepraszam, czy mógłbyś powtórzyć? – Patrzyłam na Pawła z niedowierzaniem. Słyszałam, jak wypowiedam tę prośbę, dziwiąc się jednocześnie, że udało mi się wydobyć głos ze ściśniętego gardła. Nie powinnam móc się wcale odezwać. Właściwie to nie rozumiałam, jakim cudem jeszcze stoję, zamiast zemdleć.

– Klara... – Paweł zrobił krok do przodu, jakby chciał mnie objąć ramieniem.

Odsunęłam się, unosząc ręce w obronnym geście. Na myśl o tym, że mógłby mnie dotknąć, zrobiło mi się słabo, a przecież to wciąż był ten sam Paweł: kochany, opiekuńczy, zabawny, mój. Nie – stop! Nic z tego, zwłaszcza to ostatnie, nie było już prawdą i strasznie bolało. Wszystko, w co do tej pory wierzyłam, właśnie runęło jak domek z kart zniszczony jednym mocnym podmuchem porywistego wiatru.

– Nie: Klara, tylko: powtórz. Proszę. – To „proszę” dodałam z obowiązku i dobrego wychowania. Ale przede wszystkim po to, by się nie rozsypać i nie rozryczeć. Postanowiłam nie dać po sobie poznać, jak bardzo się w środku trzęsę i że jedynym, o czym teraz marzę, jest to, by cała ta sytuacja okazała się pomyłką. Głupim żartem. Niedobrym snem. Wszystkim – tylko nie prawdą.

– Przecież lepiej późno niż za późno. Najważniejsze to żyć uczciwie, w prawdzie, kto jak kto, ale ty to powinnaś zrozumieć. – Spojrzał na mnie jak na głupiutkie dziecko.

Ten jego wzrok – protekcyjny, pozbawiony empatii – wydobyl mnie z dna czarnej rozpacz i przywrócił mi zdolność myślenia. Urażona duma i zdeptana godność wzięły na chwilę górę nad potłuczoną duszą.

– Ja to zawsze wiedziałam, ale dla ciebie to chyba nowość! – Nie wytrzymałam napięcia, choć tak bardzo się starałam nie wybuchnąć.

– Ironia jest niepotrzebna. – Paweł zrobił urażoną minę.

Złość przerwała tamę, zalewając moje zranione serce. Niech go szlag! Cholerny manipulant! Dupek skończony! Przychodzi i oznajmia mi takie rzeczy, a potem udaje zbolełego i delikatnego! Szczyt bezczelności, na jaki może się wspiąć tylko pewny siebie, dobrze ustawiony w życiu, przystojny trzydziestopięcioletni facet.

– No dobrze, to ja podsumuję, żeby mieć jasny obraz sytuacji. – Wsunęłam dłonie do kieszeni dzinsów, żeby nie zauważył, jak mi się trzęsą. – Zjawiasz się w ten piękny majowy dzień, trzy miesiące przed terminem naszego ślubu, żeby mi powiedzieć, że „zwracasz mi wolność”. – To ostatnie jednak wysyczałam przez zęby, ale nie

miałam do siebie pretensji, ponieważ zwrot, jakiego użył, doprowadziłby do furii nawet świętą – tak był pokrętny, podły i odwracający kota ogonem. – Tak, „zwracasz mi wolność” – powtórzyłam już spokojniej, dobitnie artykułując każdą głoskę. – Nie przypominam sobie, żebym ci ją kiedykolwiek podarowała. Zawsze wydawało mi się, że dorośli ludzie są ze sobą, bo oboje tego pragną, a nie dlatego, że łączą ich kajdany. Że są jednością i zarazem są wolni. A tu, proszę, takie zdziwienie. Człowiek się jednak całe życie uczy... I co jeszcze? – Głos miałam spokojny, choć w środku aż się gotowałam. – A, wspominałeś, że jesteś uczciwy i też cenisz prawdę, dlatego informujesz mnie, że wakaty po mnie jest już obsadzony. – Oczywiście nie użył słowa „wakaty”, ale nie potrafiłam się powstrzymać przed wbiciem mu szpili – przynajmniej w ten sposób chciałam go ukarać za to, co mi zrobił. – Mówisz mi o tym po starej znajomości, bo lepiej, żebym się dowiedziała od ciebie niż od kogoś innego. Coś pominęłam czy to już wszystko?

Nie potrafiłam ze wzroku Pawła wyczytać, o czym myśli. Za tak dobrze znanym mi błękitem kryło się coś nieprzeniknione, nagle obcego. Rany, tyle lat spędzić z człowiekiem i tak bardzo go nie znać, tak mocno się w stosunku do niego pomylić!

Po chwili odezwał się łagodnym tonem:

– Dobrze, wiem. Masz rację, Klara. Rozumiem, że to trudna sytuacja. Pewnie ciężko ci w to teraz uwierzyć, ale kiedyś będziesz zadowolona z tego, co się właśnie stało. Nie byliśmy sobie przeznaczeni.

„Nie byliśmy sobie przeznaczeni” – gdzie on to wyczytał? W dziewiętnastowiecznym romansie chyba!, pomyślałam. Jak można skomentować coś tak papierowego?

Paweł patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem się odwrócił w stronę drzwi.

– Pójdę już.

Po tym tajfunie emocji, jakie przeżyłam w krótkim czasie, nagle poczułam się bardzo słaba, bezsilna. Stałam jak wmurowana, nie

mogłam wykonać żadnego ruchu. To już jest koniec, to już jest koniec – słyszałam tylko tę jedną myśl, odtwarzaną ze zdartej płyty w mojej głowie. Otrzeźwił mnie dźwięk zatrzasniętych drzwi. Rzuciłam się do przedpokoju, szarpnęłam za klamkę i wypadłam na korytarz. Przechyliłam się przez barierkę i spojrzałam w dół klatki schodowej. Dostrzegłam jego sylwetkę dwa piętra niżej.

– Paweł! – krzyknęłam, a imię rozniosło się echem po ścianach.

Podniósł głowę do góry. A ja, jak w amoku, przesunęłam prawą dłoń po palcu serdecznym lewej ręki. Wzięłam zamach, jakiego nie powstydziliby się najlepszy zawodnik rugby, i błyszczący krążek pofrunął w dół, niknąc w ciemnościach, jakby wpadł do głębokiej studni. A wraz z nim – moje serce.

W baśni po chwili pojawiłaby się zaba, trzymając w pyszczku mój zaręczynowy brylant. I obiecałaby, że wszystko będzie dobrze, a ja niedługo wyjdę za mąż za swojego księcia.

Moje życie jednak nie było bajką. Było dramatem.

Rozdział pierwszy



Nie tylko widok z okna był piękny; wszystko dokoła było cudowne, zupełnie jakby cały świat się sprzysiągł przeciw mnie i chciał mnie dobić swoim urokiem. Maj buchnął nieokiełznaną zielenią, słońce zachęcało do spacerów po Plantach, ptaki śpiewały, mężczyźni kupowali swoim kobietom obłędnie pachnące bukiety konwalii. A ja miałam w sercu wielką czarną dziurę po Pawle.

Poznaliśmy się dziesięć lat temu na jakiejś studenckiej imprezie. Ja przyszedłam z koleżankami, bo farmacja to jednak sfeminizowany wydział, więc okazji do poznania facetów trzeba było szukać poza nim, on wpadł do klubu wraz z kolegami z wydziału ekonomii. Od razu zwróciłam na niego uwagę – wysoki, przystojny brunet o przenikliwym niebieskim spojrzeniu. Wskoczyłam w ten błękit i utonęłam.

Ja też wpadłam mu w oko. Kilka spojrzeń, kilka drgnień serca, kilka drinków i tańców; powietrze zgęstniało od napięcia i... stało się. Zaczęliśmy być parą, po kilku miesiącach zamieszkaliśmy razem. Paweł wprowadził się do mnie, to znaczy do mieszkania Doroty, czyli mojej mamy. Ona od kilku lat żyła na Suwalszczyźnie w leśniczówce swojego faceta. Wyjechała z Warszawy, gdy tylko zdałam maturę – odholowała mnie do dorosłości i z wyraźną ulgą zaczęła własne życie, choć trudno powiedzieć, by to poprzednie całkowicie poświęciła mnie, swojej jedynaczce.

Ale wracając do tematu: skończyliśmy studia, ja poszłam pracować do apteki, Paweł do banku. Kolejne lata mijały nam bardzo przyjemnie – wyjazdy na słoneczne Południe, wypadki w góry, weekendowe zwiedzanie Polski, romantyczne kolacje, kino; szybko – ani się obejrzałam, a skończyłam trzydziestkę; i niezobowiązująco – wciąż byliśmy po prostu parą: bez obrączek, bez papierów, bez dzieci i bez problemów. Właściwie to chyba ojciec Pawła pierwszy napomknął coś o ślubie. Że nie ma na co czekać, skoro już tyle lat jesteśmy razem, że Paweł dobrze zarabia (banki są hojnymi pracodawcami), ja mam stabilną pracę (fakt, apteka to nie korporacja) i nadszedł czas, żeby sformalizować związek. Oraz pomyśleć o wnukach.

W Nowy Rok, który odsypialiśmy w hotelu po wyśmienitej zabawie, Paweł przywitał mnie z tacą w ręku. Były na niej: butelka szampana, dwa kieliszki i jedna przepiękna truskawka, tak doskonała, jakby była zrobiona z plastiku, a na zielonych listkach przy szypułce, niczym korona, błyszczał złoty pierścionek z brylantem.

„Tak, tak, tak!”, wykrzyknęłam. Byłam bardzo szczęśliwa – to był ostatni, brakujący element układanki pod tytułem: „Moje udane życie”.

A potem myślałam już tylko o tym, żeby to nasze wesele było cudowne i niepowtarzalne. Całą oprawą logistyczną miał się zająć mój przyszły teść, właściciel małego i eleganckiego hotelu nad Zalewem Zegrzyńskim. On też kupił Pawłowi duże mieszkanie w Wilanowie, w którym mieliśmy zamieszkać po ślubie.

Moje wysiłki skupiły się na tym, by wyglądać obłędnie, gdy będę przyrzekać Pawłowi miłość aż po grób. To niezwykle ważny dzień dla każdej kobiety. Dla mnie szczególnie, bo nad naszą rodziną wisiało fatum. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, że od blisko stu lat żadna Majewska nie wyszła za mąż? Miałam być pierwszą panną od czterech pokoleń, która przełamie tę passę, odwróci zły los – słowem: zostanie mężatką. Tym bardziej więc chciałam, by dokonało się to w perfekcyjny sposób.

Nagle poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Zrobiło mi się słabo – od wspomnień, emocji, lęku o przyszłość. Usiadłam na najbliższej ławce, ze zdumieniem zauważając, że – sama nie wiem kiedy – obeszłam całe Planty i znów byłam przy domu Pod Trzema Lipami.

Duża, solidna kamienica, zbudowana przez prapradziadka Majewskiego na początku dwudziestego wieku tuż przy ogrodzie miejskim, na ulicy biegnącej w kierunku rzeki, który to fakt oddawała jej nazwa: Wiślna. Nie wyróżniała się niczym szczególnym – styl określiłabym jako mieszczkański, bez uduźwień czy ozdobników. Solidna, czteropiętrowa, ze studnią w środku i mieszkaniami także od strony podwórka, kiedyś zapewne w miłym miodowym kolorze, obecnie brudnobrązowa, prosząca się o remont. Właściwie jedyną jej ozdobą były trzy lipy rosnące naprzeciwko wejścia. Piękne, wysokie – dorastające do czwartego piętra, z idealnie uformowanymi koronami. Trzy siostry, trzy gracje. Widać, że zasadzone troskliwymi kobiecymi dłońmi. Emilia, córka Jana Majewskiego, posadziła je przed wejściem do budynku niedługo po wojnie.

Prababcia Emilia... To właśnie z jej powodu przyjechałam do Krakowa. Umarła w kwietniu, miesiąc przed tym, kiedy Paweł mnie rzucił. Całe życie spędziła Pod Trzema Lipami – najpierw w największym mieszkaniu na parterze, z oddzielnym wejściem dla służby, potem, gdy prapradziadkowie odeszli z tego świata, przeprowadziła się na ostatnie piętro, pod trzynastkę, do mniejszego lokalu, gdzie przeżyła prawie siedemdziesiąt lat. To właśnie widok z okna w jej salonie wycisnął mi z oczu łzy. Jest tak nieprawdopodobnie urokliwy, romantyczny, nostalgiczny, że nieodparcie kojarzy się z miłością – najpierw przywołał wspomnienie Pawła, po którym zostały mi tylko suknia ślubna i zdradzone marzenia, a później pomyślałam, że to znak, iż powtórzę los prababci, babci i mamy – nigdy nie wyjdę za mąż i do końca życia będę Majewską. Poczułam, że duszę się w tym mieszkaniu, że ściany się nachylają, by mnie zatrzasnąć w pułapce

staropanieństwa. Chwyciłam torebkę i klucze, trzasnęłam drzwiami, zbiegłam na dół, przeskakując po dwa stopnie, i wypadłam na zalaną słońcem Wiślną.

A teraz odwlekałam moment wejścia do kamienicy, bo nie miałam najmniejszej ochoty wracać do pustego mieszkania, którego historia wpędziła mnie w tak paskudny nastrój.

W takich chwilach smutku i poczucia beznadziei dobrze jest porozmawiać z kimś życzliwym, kto zrozumie, wysłucha, przytuli, choćby i na odległość.

Anka odpadała – to moja najlepsza przyjaciółka, jeszcze z liceum, ale od kilku zaledwie dni także mama pierwородnej Zosi. Nie mogłam jej teraz zasypać swoimi dołującymi przemyśleniami, zresztą nawet gdyby odebrała telefon, bo akurat by nie karmiła, nie przewijała lub nie odsypiała zarwanych nocy, to na pewno byłaby głową i sercem przy swoim małym ósmym cudzie świata, co było całkowicie zrozumiałe. Od czasu porodu wymienialiśmy tylko SMS-y. Zresztą, co trudno mi było nawet przed sobą przyznać, a co dopiero wyjawic to Ance – jej rodzinne szczęście... mnie bolało. Nie zazdrościłam jej, skąd! Szczerze i bardzo ją lubiłam, była mi niezwykle bliska, ale każdy jasny punkt jej życia prywatnego – a miała fajnego męża i wymarzoną córeczkę – podkreślał czarne plamy na moim życiu. Ciesząc się jej szczęściem, nie potrafiłam nie myśleć o brakach we własnym.

Babcia Elżbieta, córka Emilii. Delikatna, subtelna pani. Skryta i cicha; nigdy się jej nie zwierzałam tak jak Ance czy nawet mamie, bo jednak dzieliły nas dwa pokolenia, ale zawsze czułam, że jest mi bardzo życzliwa. Mogłabym – oczywiście nie tak prosto z mostu i bez ostrzeżenia – wylać jej swoje żale, a ona z pewnością by mi dodała otuchy, ale jeszcze przez dwa dni będzie w sanatorium w Krynicy. Nie chciałam burzyć jej spokoju podczas pobytu, który miał poprawić jej zdrowie. Byłam nauczycielkom należą się dobry wypoczynek i rekonwalescencja.

Mama. Wybór niby najbardziej oczywisty, ale... Dorota nie była oczywistą mamą. Wieczna panna – choć akurat ona z tego powodu

nie cierpiała wcale, zresztą nie miałyby kiedy, bo w jej życiu zawsze był obecny jakiś mężczyzna. Teraz to Marek, augustowski leśniczy, z którym mieszkali na nieucywilizowanym odludziu, w sercu puszczy. Mama była tłumaczką, skończyła filologię angielską, więc pracować mogła wszędzie, choćby i z łosiami za oknem. Przez lata szalona, bywalczyni klubów, imprezowiczka, w pewnym momencie stwierdziła, że Warszawa ją męczy. Na konferencji translatorskiej w Suwałkach poznała Marka i przeprowadziła się do niego. Chyba byłam niesprawiedliwa, bo odliczałam czas do jej powrotu, przekonana, że nic w jej życiu nie może być na stałe – ani dom, ani facet. A tu proszę – prawie dziesięć lat ustatkowania.

Nie chciałam się jednak wyplakiwać mamie. Nie chodziło o to, że mam z nią złe kontakty, że między nami się kulawo układało lub mój los był jej obojętny. Rzecz w tym, że Dorota – lubiła, kiedy mówiłam do niej po imieniu: „Przychodzi taki moment, w którym dorosła kobieta zwracająca się do innej dorosłej kobiety «mamo», dobitnie podkreśla fakt, że ta druga jest już w p e w n y m wieku, nie sądzisz?” – była bardziej jak przyjaciółka, kumpela, i to taka, na której niby zawsze można polegać, która nie zostawi w potrzebie, ale ma swoje życie, swoje sprawy i jest zdecydowanie odrębnym bytem. Moim koleżankom w liceum strasznie to imponowało: „Twoja matka jest taka luzacka!”, „Pewnie pozwoliłaby ci pojechać z chłopakiem pod namiot, co?”, „Wyglądacie jak siostry”. One się ekscytowały wyzwoloną Dorotą, a ja im zazdrościłam mam w fartuchach, podających po szkole parującą pomidorową posypaną pachnącą pietruszką i dopytujących: „No i co tam dziś było?”. One się cichaczem wyrywały na zakazane randki, dawały sobie nawzajem alibi, toczyły nastoletnie wojny z rodzicami, a ja... O nic nie walczyłam, z nikim się nie spierałam, bo jeśli wszystko wolno, to niczego nie trzeba oprotestowywać. Może właśnie dlatego byłam spokojną nastolatką, spokojną studentką i spokojną farmaceutką. A teraz równie spokojną – i fajtlapowatą – niedoszłą żoną. Nawet kiedy Paweł mnie rzucał, nie potrafiłam się zachować inaczej niż zwykle, to znaczy

stanowczo, na przykład dać mu w twarz. Albo powiedzieć prosto w oczy, co o nim myślę – a myślałam, że jest draniem i kłamcą. Nie, ja trzymałam fason, żeby nie zobaczył, jak płacę, i formy – żadnych krzyków, przecież jestem taka kulturalna. I jeszcze to ciskanie za nim pierścionkiem – ależ to było melodramatyczne! Scenka jak z brazylijskiej telenoweli.

Westchnęłam głęboko po zrobieniu tego rachunku sumienia i podniosłam się z ławki. Dwa tygodnie urlopu zlecą nie wiadomo kiedy, a uporządkowanie mieszkania i załatwienie wszystkich formalności jest czasochłonne. Zgarbiona poczłapałam w stronę drewnianych brązowych drzwi frontowych.

Na klatce schodowej panował przyjemny chłód. Porównując ją z klatką schodową mojego warszawskiego mieszkania w nowym bloku, poczułam się tak, jakbym przejechała nie trzysta kilometrów, a ponad sto lat. Tam było jasno, białoszaro, nowocześnie, geometrycznie. Tu: nastrojowo, trochę mrocznie, bardzo klimatycznie. Na podłodze szachownica, na ścianach kafle w niebieskozielonym kolorze. To znaczy tak pewnie opisałby ich barwę mężczyzna, bo kobieta powiedziałaaby: kobaltowoszmaragdowym. W dzieciństwie jak urzeczona wpatrywałam się w te kafle – wśród burej rzeczywistości lat osiemdziesiątych: brązowych meblościanek, beżowych łazienek, musztardowych lamperii na klatkach schodowych ten widok był jak ze świata baśni – migoczący, tajemniczy, niezwykły. Na początku liceum, kiedy Dorota kupiła nam objazdową wycieczkę do Włoch i zobaczyłam Morze Śródziemne, od razu pomyślałam o kamienicy Pod Trzema Lipami – to właśnie były te kolory! Cudowne barwy natury. Widać przed wojną w ludziach było więcej optymizmu. Potem przyszły lata mroku, zniszczeń i cierpienia, później – żmudnej odbudowy i socjalistycznej ponurości. Aż wreszcie nastały lata dziewięćdziesiąte i wolność, która powinna wybuchnąć euforią i kolorami. A tymczasem, dwadzieścia lat później, Polska zszarzała. Osiedle, na którym mieszkałam, wyglądało jak betonowe zasieki – to był drogi beton, trzeba od razu zaznaczyć – wysokie szare

ogrodzenie, zupełnie jakby trzeba było nas bronić przed najazdem dzikich, betonowe ścieżki wśród ascetycznych drzewek, przypominających duże zielone bombki zawieszane na chudych patykach. Budynki białe, a wszystkie dodatki – szare. Podobnie wyglądały wnętrza mieszkań moich sąsiadów. To znaczy te dwa, które zobaczyłam, bo na osiedlu nie prowadziliśmy intensywnego życia społecznego. Sąsiedzi z naprzeciwka byli w moim wieku, mieli sterylne białą kuchnię, sterylne białą łazienkę i nawet białe kanapy w salonie. Mieli też czysto, ale pewnie dlatego, że nie mieli dzieci, a kot – biały, może jego też dopasowali kolorem do otoczenia?... – nie brudził, bo miał superkuwetę z jakimiś ekstrakulkami. Drugie wnętrza, które widziałam, to mieszkanie sąsiadki z parteru. Bardzo podobne, jakby ten sam architekt projektował. Generalnie oba wyglądały jak salony wystawowe, w których nie wolno niczego dotykać i siadać na meblach. My z Dorotą urządziłyśmy się same, to znaczy do spółki z Ikeą. Też raczej ostrożnie dobierałam kolory dodatków, jakby chcąc się dopasować do otoczenia. Wszystkie barwne elementy to inicjatywa Doroty. Może warto trochę pokolorować mieszkanie, jak wrócę, pomyślałam, przyglądając się magicznemu błyskowi kafli.

Powoli wchodziłam na ostatnie, czwarte piętro. Kamienne schody były w swojej środkowej części cieńsze. Ile butów musiało się po nich przesunąć przez te wszystkie lata. Im wyżej, tym wytarcia były mniejsze. Na parterze stopnie wyglądały jak głębokie talerze, z wyraźnym zagłębieniem, przed ostatnim, czwartym piętrem, powierzchnia była tylko lekko obniżona. Stałam przed dębowymi drzwiami z mosiężną trzynastką. Wyciągnęłam z torby klucz, też już zupełnie niedzisiejszy – długa metalowa rurka, na końcu której znajdowała się prostokątna płytką z wieloma ząbkami różnej wielkości. By otworzyć drzwi, potrzeba było wyczucia – wsunąć klucz na odpowiednią głębokość, nie za blisko, nie za daleko, tak by trafić w zapadkę. Wszystko w tej kamienicy było staromodne – nawet otwieranie drzwi, które nie mogło się odbywać na chybcika – żadne tam błyskawiczne przekręcenie kawałka błyszczącego

metalalu lub przejechanie kartą obok czujnika. Wreszcie się udało i drzwi ustąpiły.

Przedpokój był malutki jak wnętrze szafy. Po lewej stronie zestaw: szafka na buty, gdzie mieściły się tylko cztery pary, co prababci Emilii widać wystarczało, nad szafką wieszak na ubrania i półka na kapelusze oraz wysokie, wąskie lustro – puszysta pani miałaby problem, by się w nim przejrzeć. Prababci Emilii i mnie to nie dotyczyło: wszystkie Majewskie były szczupłe – taki plus w morzu minusów.

Po drugiej stronie korytarzyka znajdowało się wejście do łazienki. To osobliwe rozwiązanie, ale w czasach gdy kamienica powstawała, w mieszkaniach nie było łazienek – na każdym piętrze znajdowała się tylko malutka toaleta. Pokój kąpielowy prababcia Emilia dorobiła kilka lat po wojnie, przeznaczając na to ponad połowę powierzchni kuchni. Drzwi można było przebić tylko z przedpokoju i dzięki temu nie musiałam teraz biec na koniec mieszkania, by opróżnić pecherz po kilkugodzinnym pobycie poza domem.

Mieszkanie było przechodnie, jak wszystkie budowane w tamtym czasie. Nie uwzględniano potrzeby odosobnienia – żyło się razem. Babcia Elżbieta wspominała, że jej kącik to był kawałek podłogi w jadalni, gdzie mama wstawiła jej wąski tapczanik z jednej strony zakończony szafką z półką – całe jej królestwo. Lekcje odrabiała tu, przy stole, którego blat był przy okazji szachownicą, lub w salonie, przy większym, okrągłym meblu. Po prawej stronie jadalni dobudowano cienką ścianę działową, za którą była ukryta kuchnia – duży kredens, mały stolik roboczy, kuchenka gazowa i umywalka. Nie było nawet lodówki; najpierw było to oczywiste, a potem, gdy chłodziarki już się upowszechniły, Emilia kupiła małe metalowe pudło wielkości niedużej komory zamrażalnika w mojej obecnej lodówce. Cudo zagranicznej inżynierii zepsuło się jeszcze przed moimi narodzinami i od tamtej pory pełniło funkcję pojemnika na orzechy włoskie. A prababcia obydwała się bez lodówki: masło trzymała w kamionkowym naczyniu zanurzone w garnuszku z zimną wodą i kupowała tyle jedzenia, by

wystarczyło jej na jeden dzień, kolejnego zaś znów szła do sklepu. Tak, zdecydowanie żyła w innej epoce niż ja.

Salon z tym pięknym widokiem na lipy był największym pomieszczeniem w mieszkaniu. Okna zajmowały dużą część południowej ściany. Podwójne szyby częściowo przesłonięto utkanymi na szydełku z grubej nici kremowymi firankami, które przepuszczały światło, tworząc w powietrzu urokliwy witrażowy wzór. Pod drugą, przeciwległą ścianą, stał tapczan przykryty wełnianą kapą, sama ściana zaś była udekorowana kilimem z kwiatowym wzorem. Ktoś nieznający realiów mógłby pomyśleć, że to element dekoracyjny, i po trochu tak było. Jednak podstawowym zadaniem wielkiej wełnianej płachty było ogrzanie zimnych murów nieocieplonej w żaden sposób kamienicy. Jedyne źródło ciepła w mieszkaniu stanowił ciemnozielony piec kaflowy. Urokliwy, jednogłośnie stwierdziłyby młode dekoratorki wewnątrz. Ależ uciążliwy w obsłudze, odpowiedziałby ktoś obeznany z tematem. Teraz za oknem panowały przyjemne dla ciała dwadzieścia dwa stopnie, ale zimą, gdy przed tą cyfrą pojawiał się minus, trzeba było schodzić do piwnicy po węgiel, a potem pilnować, by ogień nie wygasł, inaczej temperatura w mieszkaniu spadała do kilku stopni. Moje mieszkanie z dwudziestego pierwszego wieku było jednak rajem w porównaniu z tym uroczym, ale jednak kłopotliwym w codziennym życiu muzeum.

Wstałam, by nastawić wodę na herbatę. Stary parkiet zaskrzypiał – klepki, niby stanowiące jedną całość, żyły każda swoim życiem. Spojrzałam na smugę światła od okna – wirowały w niej drobinki kurzu, jak w świątecznej kuli. Część na pewno wydobywała się ze szpar w podłodze, ale kurzem – jak przeżytymi dniami – było w tym mieszkaniu przepełnione wszystko: obicia krzeseł, wełniany dywan z orientальnym wzorem i lekko przetartymi frędzlami, serwetka pod cukiernicą na stole, nieco zmurszałe grzbiety starych książek, welur grubych kotar.

Weszłam do malutkiej kuchenki. Niepewnie podetknęłam płonąca zapalnik pod palnik. Zawsze się bałam, że płomień mnie oparzy –

jeśli za lekko odkręciłam kurek, gazu było za mało i ogień się nie pojawiał, jeśli za mocno – buchający pomarańczowy jęzor przypiekał mi dłoń.

Wyciągnęłam z kredensu dużą filiżankę ze złożonym brzegiem. Nasypałam do niej herbaty – Emilia nie lubiła torebek, wołała aromat rozwijających się po zaparzeniu listków. Odstawiłam czerwoną blaszaną puszkę na półkę i poczekałam, aż czajnik zagwiżdże. Na drugi talerzyk wyłożyłam pizingera – duży kawałek ciasta mojego dzieciństwa: grubych, chrupiących andrutów przekładanych obłędnie pachnącą czekoladową masą. Wiedeński cukiernik Pischinger miał talent, a ja szczęście, że moja rodzina pochodziła z Galicji i znałam ten smak od dzieciństwa. Idąc tu z dworca, wstąpiłam po drodze do cukierni i kupiłam trzy kawałki tego cukierniczego cudu.

Wróciłam do salonu i usiadłam na krześle wyściełonym bordowym aksamitem. Siedzisko było już trochę zapadnięte, ale po kilkudziesięciu latach używania trudno mieć o to pretensje. Wszystkie meble u prababci Emilii pamiętały przedwojenne czasy – także drugi tapczan, dębowa szafa trzydrzwiowa, toaletka i przeszklona biblioteczka. Dawniej człowiek kupował lub dostawał na początku dorosłego, samodzielnego życia wyposażenie mieszkania i w jego otoczeniu opuszczał ten świat – tak solidni byli rzemieślnicy.

Teraz te sprzęty to było wszystko, co zostało po prababci. Zrobiło mi się smutno. Niespodziewanie nadszedł wieczór i zamiast ciepłych promieni do pokoju zaglądał szarzejący mrok. Otrząsnęłam się i zapaliłam światło. Żarówka sufitowej lampy z jasnym szklanym kloszem delikatnie rozpraszała mrok; była jedna i wysoko nad podłogą – pokój miał pewnie ze trzy i pół metra wysokości. Zapaliłam drugą lampę, stojącą, z dużym kremowym abażurem, i od razu zrobiło się przytulniej. Wróciłam do stołu. Piłam mocnego earl greya, jadłam pyszny tort i zastanawiałam się, od czego zacząć. Właściwie to nie byłam przygotowana na przyjazd tutaj – nie miałam żadnych pudeł, kartonów czy worków. Nie

wiedziałam, co zrobić z meblami – przecież nie zabiorę ich do mokotowskiego mieszkania. Zostawić wszystko, tak jak jest? Wyrzucić bym nie mogła, to w końcu pamiątka. A wszystkie inne rzeczy? Te w czeluściach szafy i szuflad? Bibeloty na półkach? Obrazy na ścianach? Nie opracowałam planu likwidacji – co za koszarne słowo, aż się wzdrygnęłam – mieszkania, które odziedziczyłam. Nie wiedziałam nawet, czy je wynająć, czy sprzedać, ale właściwie to była tylko wymówka, bo mogłabym już zacząć przeglądać spadek po prababci i segregować przedmioty, a dopiero potem je pakować lub wynosić na śmietnik, nagle jednak zabrakło mi odwagi. I zrobiło mi się wstyd, ponieważ przez ostatnie miesiące żyłam najpierw przygotowaniem do ślubu, a potem tonęłam w smutku po zerwanym narzeczeństwie. Prababcia Emilia odeszła pomiędzy tymi wydarzeniami, jakoś tak po cichu, wręcz niezauważenie... A teraz dodatkowo poczułam się jak intruz, podglądaczka, która zyskała dostęp do czyjś życia i sekretów. Sekretów, tak się mówi, choć oczywiście nie posądzałam seniorce Majewskiej o żadne tajemnice. Jakie tajemnice mogłaby mieć mocno starsza pani, od kilkudziesięciu lat samotnie spędzająca życie?...

Prababcia Emilia... Piękna, delikatna, krucha i taktowna. Zawsze trochę odległa, bo ona z babcią Elżbietą tu, w Krakowie, a my z mamą Dorotą w Warszawie. Babcia bywała u nas częściej, zwłaszcza kiedy byłam mała, ponieważ wyręczała córkę w obowiązkach macierzyńskich, gdy ta korzystała z uroków młodości. Mojego ojca nie miał kto wyręczać, bo go zwyczajnie nie było – wcale. Do prababci zaś zawsze się jeździło. Prababcia była odświętna i trochę z innego świata. Zabierała mnie na spacer po Plantach i na lody na Rynku, chodziłam z nią na zakupy na Kleparz i wycieczki bulwarami wiślanymi. Opowiadała mi bajki i czytała książki. Kochałam ją, ale zawsze czułam wobec niej jakiś respekt. Nie, to złe słowo – raczej szacunek. Zdecydowanie nie była babcią kumpelą. Pewnie dlatego nie pytałam jej o różne sprawy, na przykład o to, jak to się stało, że żyje samotnie. Po prostu

wiedziałam, że o to się nie pyta, o tym się nie mówi. Nawet Dorota – bezpośrednia i spontaniczna – nie wyskakiwała z takimi dociekaniem.

Podobnie się milczało na temat paniństwa babci Elżbiety. Nie takiego konsekwentnego bycia samotną, bo przecież prababcia Emilia urodziła Elżbietę, która także powiła córkę, więc choć przez chwilę obie znajdowały się w męskich ramionach... No, właściwie czyje ramiona ścisnęły babcię, to wiedziałam, ale o tej historii też się w naszej rodzinie nie mówiło. Było, minęło, cicho sza.

Mama Dorota także nigdy nie miała męża, choć akurat jej – i przy okazji moja – historia nie była mi obca. Jednak myślenie o niej było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałam.

Za oknem zapanowała już ciemność. Spojrzałam na zegar – dochodziła dziewiąta. Wczesny wieczór, w dawnych czasach dopiero bym się rozkręcała, ale teraz uznałam, że to wystarczająca wymówka, by już dzisiaj nic nie robić. Mimo że nie wykonałam żadnej pracy fizycznej, czułam się piekielnie zmęczona, jakbym przerzuciła z tonę węgla. Emocje potrafią osłabić bardziej niż trud fizyczny.

Stojąc w białej żeliwnej wannie, wzięłam szybki prysznic, potem wyszorowałam zęby, nakremowałam twarz. Z szafki przy łóżku wyciągnęłam starannie wymaglowaną zmianę pościeli w drobne różyczki – mój wizytowy komplet, który zawsze na mnie czekał, gdy nocowałam u prababci. Pamiętam go z wczesnego dzieciństwa, a potem z kolejnych lat. Wciąż ten sam, niezmienny, jak wszystko w tym domu. Sprawnie uporałam się z obleczeniem puchowej kołdry i poduszki solidnie wypełnionej pierzem i już po kwadransie leżałam w łóżku. Raz jeszcze spojrzałam na pokój pogrążony w mroku, delikatnie tylko rozproszonym światłem księżyca. Pomyślę o tym jutro, postanowiłam jak Scarlett O'Hara i zasnęłam.

Rozdział drugi



„A po nocy przychodzi dzień, a po burzy spokój. (...) Znowu w drogę, w drogę trzeba iść, w życie się zanurzyć” – przypomniał mi się fragment piosenki *Jest taki samotny dom*.

Tak się właśnie czułam rankiem, drugiego dnia mojego pobytu w Krakowie. Samotna w samotnym domu. Splątane emocje, które mi wczoraj towarzyszyły, dzisiaj osłabły, ustępując miejsca nostalgii i smutkowi.

Rozejrzałam się po cichym, pustym salonie i dopiero teraz do mnie dotarło, z całą mocą, jaki był cel mojej podróży – ostatecznie zamknąć życie prababci Emilii. Całą ziemską drogę przeszła samotnie, a teraz jej dobytek pakuje jej równie samotna prawnuczka. Co z nami jest nie tak? Dlaczego musimy iść przez życie w pojedynkę? Oczy mi się zaszklily. Tak, płakałam po Emilii, ale chyba bardziej płakałam nad sobą. Często mi się to zdarzało w ciągu ostatnich tygodni po rozstaniu z Pawłem, więc już wiedziałam, że takie ranki nie zwiastują niczego dobrego – przez cały dzień będę czuć piasek pod opuchniętymi powiekami, a myśli nie zdołają się uwolnić z pajęczyny smutku. Na takie niedobre nastroje jest tylko jedna rada: zmusić się do wstania i działania.

Pół godziny później byłam już po zimnym prysznicu – taki podobno najlepiej budzi, mobilizując organizm, choć w tym przypadku zadziałały nie zalecenia prozdrowotne, ale fakt, że coś

się przestawiło w piecyku i teraz z rur leciała tylko chłodna woda. Później o tym pomyślę – Scarlett we mnie miała się coraz lepiej.

Potem zeszłam do sklepu spożywczego, kilka zaledwie kroków od kamienicy, gdzie kupiłam małą kostkę masła, dwie kajzerki i miód. Wzorem babci i z konieczności spowodowanej brakiem lodówki zrobiłam okrojone zakupy. Szukając kawy w kredensie, znalazłam tylko puszkę z mielonymi ziarnami. Przypomniałam sobie wtedy, że prababcia pijała taką właśnie kawę – nie z ekspresu, którego oczywiście nie miała, nie rozpuszczalną, ale zalewaną. Wstawiłam czajnik i nasypałam trochę aromatycznego brązowego proszku do kubka. Zalałam go wrzątkiem, i kiedy napój lekko ostygł, wzięłam pierwszy łyk – oprócz płynu połknęłam też sporo kawowego proszku, aż zachręściło w zębach. Jakim cudem prababcia Emilia opanowała picie czegoś takiego? Rozejrzałam się po kuchni w poszukiwaniu sitka, by precedzić kawę. Po tej operacji było trochę lepiej, ale nie na tyle, bym nie pomyślała, że wracając do domu, trzeba będzie nabyć mały słoik kawy rozpuszczalnej.

Postanowiłam pójść na zakupy – potrzebowałam kartonów i worków. Bez tego wyposażenia nie będę mogła przystąpić do pracy, ale prawda była także taka, że po prostu chciałam odwlec moment przeglądania prababcinych rzeczy. Wciąż jeszcze czułam się w tym mieszkaniu jak intruz, mimo że byłam już jego prawowitą właścicielką. No właśnie – właścicielką. Pierwsze mieszkanie (to warszawskie na papierze wciąż pozostawało własnością Doroty, choć od lat mieszkalam tam tylko ja, a mama kilka razy w roku wpadała na Mokotów jak do hotelu) powinno się kojarzyć z dorosłością, nowym życiem, tymczasem we mnie nie było żadnego podekscytowania. Oczywiście, było mi smutno, że prababcia umarła, ale był to smutek w jakiś sposób akceptujący – Emilia urodziła się w 1923 roku, więc i tak, jeśli chodzi o wiek, wygrała los na loterii życia. Nie chorowała, do ostatnich chwil była sprawna i samodzielna, ale przecież wszystkie wiedziałyśmy, że kiedyś będzie musiała opuścić ten świat. Zdarzyło się to w najlepszy z możliwych sposobów – pewnego kwietniowego

wieczora zasnęła już na wieczność. Mimo tego naturalnego przebiegu schyłku życia trudno mi było się z nim pogodzić. Seniorka naszego rodu nie żyła. Właściwie to nie wiem, czy określenie ród, jeśli dotyczy samych kobiet, jest uprawnione. Przecież wiadomo, że bez męzczyzny geny nie przetrwają. My jednak byłyśmy wyjątkowe – kolejne pokolenia pojawiały się na świecie i to wciąż pod tym samym nazwiskiem. Co za przewrotność losu...

Tak się zamyśliłam, że w poszukiwaniu sklepu papierniczego przeszłam już spory kawałek od Wiślniej, w ogóle się nie rozglądając. Teraz zaczęłam więc bacznie lustrować wystawy. Papiernika nie było, ale z zaciekawieniem przyglądałam się mijanym szyldom. Pasmantaria „Igiełka”, salon kamieni „Ametyst”, sklep spożywczy „Cytrynka”, drogeria „U Anny”, cukiernia „Białe i Czarne”, „Konfekcja dla Puszystych”. Sklepy małe i większe, z różnymi wystawami, niektóre wzruszały nieporadnością aranżacji, ale były takie... prawdziwe. Takie jak pamiętam z dzieciństwa. Miałam wrażenie, że teraz w Warszawie są same sieciówki, z wystawami urządzanymi identycznie w całej Europie, a w centrum można tylko wypić kawę, kupić bajecznie drogą torebkę lub skorzystać z usług banku. Tutaj było całkiem inaczej. Trochę siermiężnie, ale zarazem swojsko. Przyjemnie, bez napinania się. Nawet ludzie wyglądali jakoś odmiennie: swobodniej ubrani, nie tacy wystylizowani, mniej się spieszący, niewpatrujący się w ekrany komórek. Wcześniej nie zwracałam na to uwagi. No ale od ładnych już kilku lat do Krakowa przyjeżdżałam sporadycznie, zwykle na Wszystkich Świętych i Boże Narodzenie. Krótka wizyta i z powrotem do domu, do Pawła... Palant!

„Naprawa parasoli”. Rany, kto jeszcze naprawia parasole?, przebiegło mi przez głowę. W Krakowie chyba sporo ludzi, bo przez niedużą witrynę dostrzegłam dwie osoby przy kontuarze, a na półkach – dużo kolorowych materiałów, z których wystawały drewniane rączki. „Galanteria skórzana”. „Biuro nieruchomości Stella”. „Usługi geodezyj...”. Zaraz, zaraz, pomyślałam, nagle się

zatrzymując. A może warto zajrzeć do tego biura nieruchomości? Nie postanowiłam jeszcze, co zrobię z mieszkaniem, ale rozważyć różne opcje zawsze warto.

Byłam w kropce. Moje potrzeby mieszkaniowe zostały już zaspokojone. Kiedy Paweł się wyniósł, miałam nawet wrażenie, że mieszkanie jest dla mnie za duże. Nagle zrobiło się tak pusto... Nie potrzebowałam pieniędzy, by kupić coś swojego, bo dotychczasowy układ z mamą działał doskonale, a ona już tak wsiąkła w tę Suwalszczyznę, że na pewno nie wróci. Mogłabym po prostu zatrzymać mieszkanie na Wiślniej, nic z nim nie robiąc, ale nie jest dobrze, gdy lokal stoi pusty, zwłaszcza zimą, nieogrzewany. Jakimś pomysłem był wynajem, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, jakby to miało działać na odległość. Przecież nie będę prosiła babci o pomoc, nie jest już taka młoda i ma swoje problemy ze zdrowiem. No to może jednak sprzedaż?... Załatwić sprawę, pieniądze dać na jakąś lokatę i problem z głowy. Zarazem jednak z jakiegoś irracjonalnego powodu było mi żal pozbywać się tego mieszkania. Tyle lat w rodzinie...

Mimo mętliku w głowie zdecydowałam się wejść do biura nieruchomości. Rozejrzę się i porozmawiam, to przecież nic nie kosztuje, pomyślałam.

W środku były dwa biurka, z czego jedno puste. Przy tym drugim siedział mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna, który wklepywał coś do komputera. Śmigał palcami po klawiaturze, jakby skończył kurs pisania dla sekretarek. Przez kilka sekund jego dłonie jeszcze wykonywały ten taniec, potem zamaszycie stuknął klawisz „enter” i odwrócił się w moją stronę.

– Dzień dobry. Co panią do nas sprowadza? – zapytał z bardzo miłym uśmiechem.

Lęk i bezradność, pomyślałam.

– Dzień dobry. Mam mieszkanie... – odpowiedziałam i zamilkłam, mało inteligentnie.

– Zatem kupować kolejnego zapewne pani nie chce. Może więc sprzedać lub wynająć? – Agenci nieruchomości muszą być jak

sprzedawcy i lepiej od klienta wiedzieć, czego on potrzebuje, zwłaszcza jeśli klient sprawia wrażenie nierozgarniętego.

– Sprzedać lub wynająć – potwierdziłam, dla większego bezpieczeństwa akcentując „lub”, bo przecież nie podjęłam ostatecznej decyzji.

– To zapraszam panią do biurka, porozmawiamy. Tomek Kwiatkowski, właściciel. Zrobić coś do picia? Kawy, herbaty, wody?

– Klara Majewska. Kawy – odparłam, z ulgą patrząc na mały ekspres pod ścianą. Kolejna porcja kofeiny, tym razem bez fusów, zdecydowanie by mi się przydała. – Poproszę – dodałam z właściwą sobie poprawnością.

– Bardzo proszę.

Po kilku minutach postawił przede mną fikuśną filiżankę z czarnym aromatycznym napojem, cukiernicę i mleko w małym dzbanku. Bardzo elegancko, pomyślałam. Przyjrzałam mu się lepiej – wyglądał modnie – dżinsy, idealnie skrojona marynarka w chabrowym kolorze, starannie odprasowana koszula i trampki. Jak z żurnala, choć bez zadęcia, wręcz przeciwnie, przyjacielsko. Jeśli równie profesjonalnie zajmuje się nieruchomościami, co swoją garderobą, to byłam w dobrych rękach.

– No to pora na garść szczegółów. Co to za mieszkanie? – Usiadł naprzeciwko i sięgnął po skoroszyt, by wyjąć z niego plik dokumentów.

– Po prababci. Właśnie odziedziczyłam.

– W Krakowie?

– Tak. Tu niedaleko, na Wiślniej.

– O, to ładna lokalizacja – ożywił się. – A jak sprawa własności? – Nagle zrobił się czujny. – Dużo lokali w centrum to kwaterunki.

– W porządku, to mieszkanie własnościowe.

– A sprawy testamentowe już przeprowadzone? Była pani jedyną osobą z rodziny?

– Nie, jest jeszcze moja babcia i mama.

Pan Tomek się skrzywił – lekko, ale widocznie. Wiadomość najwyraźniej nie przypadła mu do gustu.

- To niedobrze.
- Niedobrze? – zdziwiłam się.
- To znaczy generalnie bardzo dobrze, że jest rodzina – wyrecytował szybko, może nawet zbyt szybko, by zabrzmiało to przekonująco. Cóż, jak się ma taką pracę, to pewnie się widziało to i owo. – Czasem sprawy spadkowe potrafią się ciągnąć latami, jeśli jakiś członek rodziny podważy zapisy testamentu.
- A po co miałyby to robić?
- Pieniądze, proszę pani, wszystko z powodu pieniędzy – westchnął teatralnie. – Ktoś się czuje oszukany, bo dostał mniej niż ktoś inny. Kwestionuje wolę zmarłego i się zaczyna. Mieliśmy kiedyś taki przypadek. Osiem lat w sądach i końca nie widać – pokiwał smutno głową.
- A nie, na pewno nie – uspokoiliłam go. – Mama i babcia absolutnie się zgadzają z ostatnim życzeniem prababci, żebym to ja dostała mieszkanie, zwłaszcza że one są już właścicielkami innych mieszkań.
- A pani nie?
- A ja nie – odparłam.
- A właściwie dlaczego nie chce się tam pani wprowadzić? To dobra kamienica w atrakcyjnym miejscu. Proszę wybaczyć, że pytam, ale trochę mnie to dziwi.
- Mieszkam i pracuję w Warszawie – wyjaśniłam krótko. Przecież nie będę streszczać swojego życia obcemu człowiekowi, nawet tak miłemu, jak pan Tomek.
- A, no to wszystko jasne. Dobrze, zatem podsumowując: lokal własnościowy, nieobciążony hipotecznie – podniósł na mnie wzrok, a ja potakująco kiwnęłam głową – sprawa formalnego przepisania w toku.
- Wszystko się zgadza – potwierdziłam.
- To teraz uzupełnimy tabelkę. Dokładny adres?
- Wiślna 3 mieszkania 13.
- Piętro?
- Czwarte.

- Metraż?
- Pięćdziesiąt dwa metry.
- Okna?
- No, są – zdziwiłam się.
- Tego się domyślam. – Pan Tomek się roześmiał. – Ale od podwórka czy od ulicy?
- A, o to chodziło. Od Wiślniej.
- Czyli z widokiem na lipy?
- Na wprost lip.
- O, to uroczo. Na razie same plusy. No dobrze, a stan techniczny?
- Cóż, teraz chyba zaczną się minusy. Prababcia nie była zwolenniczką modernizacji, a że mieszkała sama...
- No tak, to typowe. Mieszkania po wdowach są zawsze w gorszym stanie technicznym niż te, w których był mężczyzna. Wiadomo, w domu potrzeba męskiej ręki.
- Mój odżywający humor znowu zaczął słabnąć. Wyobraziłam sobie moje warszawskie mieszkanie za pół wieku – szare, przybrudzone, z obłuzowanymi drzwiczkami w kuchni i ciekącym kranem w łazience. I nawet nie będę wdową...
- Ogrzewania nie ma?
- Nie ma, jest piec w salonie i piecyk olejowy w jadalni.
- Czyli do remontu. To nie znaczy, że to bardzo źle, po prostu cena będzie trochę niższa. A inne parametry? Na przykład łazienka?
- Jest. W niezmiennym stanie od lat pięćdziesiątych, ale bardzo urokliwa.
- Czyli do remontu. – Zapisał pan Tomek. – Kuchnia?
- Urokliwa. Do remontu. – Szybko załapałam odpowiedni tok myślenia, ciesząc się, że uda mi się tym zatrzeć nie najlepsze wrażenie z początku. Skoro uważałam, że nie jestem bardzo ładna, zależało mi na tym, by inni uważali mnie za inteligentną. Przynajmniej tyle.
- Agent się uśmiechnął.

– Pokoje dwa, ale przechodnie – dodałam już sama, nie pytana. – I jeszcze mała spiżarnia.

– Standardowy zestaw w takich kamienicach. Zdjęcia pani ma?

– No nie, bo właściwie wstąpiłam tu spontanicznie, zamierzałam najpierw trochę ogarnąć mieszkanie, a dopiero potem oddać sprawę w ręce fachowców. – Uśmiechnęłam się przepaszająco.

– Nie szkodzi, sami sfotografujemy. Jeśli oczywiście jest pani zainteresowana współpracą. – Spojrzał na mnie pytająco.

– Jestem, naturalnie, tylko wciąż nie wiem, czy sprzedawać, czy wynajmować...

– Z opisu wynika, że tylko sprzedać. Wyobraża sobie pani potencjalnego wynajmującego, który będzie w sezonie grzewczym biegał góra-dół z wiaderkiem węgla?

Nie wyobrażałam sobie. Zupełnie o tym nie pomyślałam. Chyba po prostu uznałam, że skoro prababcia Emilia dawała sobie radę... I znowu zrobiło mi się wstyd – o czym jeszcze nie pomyślałam, siedząc sobie wygodnie w tym swoim warszawskim gniazdku i zajmując się tylko sobą?...

– No chyba że chce pani wyremontować mieszkanie i takie odnowione zaproponować do wynajęcia?

– Szczerze mówiąc, to nie zastanawiałam się nad tym. A co pan by mi doradził?

Pan Tomek spojrział na mnie i powiedział:

– Cóż, wszystko zależy od potrzeb właściciela. I jego możliwości. Wynajem ma zalety, bo co miesiąc na konto wpływają pieniądze. Łatwy zarobek, a majątek wciąż w kieszeni, prawda?

– Prawda. – Pokiwałam głową, przychyłając się w tym momencie do opcji wynajmu mimo widma piekielnego remontu przed sobą.

- Nieprawda, złociutka. – Miło uśmiechnął się pan Tomek. – Sprawy rzadko układają się po myśli właścicieli. O idealnego wynajmującego trudno, a ludzie są teraz nieobliczalni. Albo płacą nieregularnie, albo wręcz się wymigują od płacenia. Nie szanują mieszkania, bo to przecież nie ich własność. Często mają uwagi i problemy. Jeśli się mieszka niedaleko, to sprawy da się jeszcze

ogarnąć, choć co sobie człowiek krwi napsuje, to na zdrowiu straci. Poza tym czekałby panią remont, a to po śmierci bliskiego i rozwodzie punkt trzeci na liście najbardziej stresujących sytuacji. Pani by się jeszcze musiała spieszyć, żeby zdążyć na wakacje, bo wtedy jest największy popyt – studenci szukają mieszkań przed początkiem roku akademickiego.

– Czyli raczej sprzedaż? – oklapłam. Zaczynała mnie boleć głowa. Co ja właściwie sobie wyobrażałam? Że przyjadę do Krakowa i w ciągu dwóch tygodni, szast-prast, wszystko załatwię? Szybciutko i bez problemów? O naiwności!...

– W pani przypadku bym doradzał ten wariant, ale oczywiście ja mogę tylko sugerować, ostateczna decyzja należy do pani.

Patrzył na mnie, a ja siedziałam nad filiżanką chłodnej już kawy i nie wiedziałam, jaką decyzję podjąć. Powinnam wrócić do domu, zrobić tabelkę plusów i minusów dla obu rozwiązań, skonsultować się z kimś, przemyśleć sprawę i... Nagle jednak postanowiłam postąpić zupełnie inaczej. Zawsze wszystko tak przemyślałam, nad wszystkim się zastanawiałam, byłam taka poukładana i porządna. I do czego mnie to przywiodło? Choć raz w życiu odważę się na spontaniczną i szybką decyzję.

– Sprzedaję mieszkanie.

Rozdział trzeci



Przede mną zupełnie nowe życie. Ta myśl nie opuszcza mnie od momentu, kiedy zdałam małą maturę. Egzaminy napętniały mnie lękiem, bo choć się pilnie uczyłam, to tkwiło we mnie ziarno niepewności, że może mi się nie powieść, a to byłby koniec moich marzeń. A przecież śniłam o tym od wielu miesięcy. I w końcu Ojciec dał się przekonać; niechętnie, po długim proszeniu, różnych afrontach – nie tylko wobec mnie, ale i Mateńki, co było jeszcze bardziej przykre. „Po cóż ci więcej nauki? Matura w zupełności wystarczy kobiecie. Po wakacjach możesz się przyuczyć i pomagać w buchalterii, aż w końcu wyjdiesz za mąż i praca już całkiem nie będzie ci potrzebna, a tym bardziej dalsze nauki”.

Ojca należy słuchać, to twarda reguła. Ale mnie tak bardzo się marzyło, żeby móc się dalej kształcić, a potem – jak to egzotycznie brzmi – pójść do pracy! Skończyć liceum pedagogiczne i edukować dziewczynki i panienki. Nawet teraz, jak o tym myślę, to serce mi trzepoce z ekscytacji!

Cud prawdziwy, że Ojciec w końcu dał zgodę na ten pomysł. Duża w tym zasługa Mateńki, że potrafiła go przekonać. Tak mocno ją kocham! Nie wiem, czy sama miała przekonanie do moich planów, przecież żyje według zupełnie innego wzorca, ale wsparła mnie w tym moim dążeniu całkowicie. Widziałam, jakie robiła podejścia, jak wyczekiwała odpowiedniego momentu, żeby Ojca nie

rozgniewać, jak się starała go udobruchać, gdy w zły humor po takich rozmowach się osuwa. I wreszcie – udało się! Po wakacjach zaczynam naukę w liceum pedagogicznym!

Czuję się dorosła i – ręka mi drży, gdy to piszę – niezależna. Ojciec się zachnął, gdy użyłam tego wyrazu. „Kobieta i niezależność? Tak nigdy nie było, cóż to za fanaberie”. Nie ośmieliłam się zaprzeczyć, Ojciec nie znosi sprzeciwu. Więc cieszę się po cichu. Będę mieć wykształcenie, zawód, pracę! Będę potrzebna i użyteczna. Wiele jeszcze nauki przede mną, ale podołam. Chęci u mnie przeogromne.

Tak sobie rozmyślałam, gdy wracałam znad Wisły do domu i w sklepie z artykułami piśmiennymi zobaczyłam ten śliczny notes. Dość duży, by swobodnie w nim pisać, twarde oprawy i to zapięcie – symboliczne, bo przecież ktoś niepowołany mógłby z łatwością rozsypać wstążki, ale jakoś zamykające przed światem to, co w duszy się kryje i jest przelewane atramentem na te stroniczki. Kupiłam go i postanowiłam zapisywać w nim swoje nowe życie. Mam nadzieję, że wiele jego momentów wartych będzie uwiecznienia. Takie zapiski to też pomoc w uporządkowaniu myśli, w pracy nad sobą. Oczami wyobraźni widzę siebie za lat kilkadziesiąt, jak siedzę w fotelu, otulona pledem i z czułością patrzę na młodziutką Milkę – jej myśli, wahania, pragnienia. Ona, czyli ja teraz, nic wiedzieć nie będzie, przeczuwać tylko co najwyżej; świat to wciąż niezapisana kartka, jak w tym sekretnym notesie. Ja u kresu ziemskiej egzystencji, po latach, życie będę widzieć jak na dłoni – czas przeszły, dokonany.

Kiedyś obie się spotkamy. I mam nadzieję, że ta starsza powie tej młodziutkiej: Widzisz, nie trzeba się było lękać, wszystko się potoczyło tak, jak miało być.

Z tą wiarą kończę pierwszy wpis. Jest 17 czerwca 1939 roku.

26 czerwca 1939 roku

Dziś i jutro jeszcze pakowanie, a we środę ruszamy z Mateńką na wakacje. Bardzo się cieszę. Upały w mieście mocno już nam życie uprzykrzają. Gorąc, skwar, na bulwarach o cień trudno, Planty już

mi się opatrzyły. A u naszej gaździny zawsze tak dobrze! Już dwa tygodnie temu pani Kasia pisała Mateńce, że wszystko przygotowane na nasz przyjazd – pokoje na pięterku z wykrochmaloną pościelą, nowa ławka przed domem. No i czeka nas nie lada atrakcja, bo najmłodsza pani Kasi i jej męża, pana Gienka, za mąż idzie! Ślub w pierwszą sobotę sierpnia, wesele u panny młodej w domu. Oczywiście jesteście zaproszone. Mateńka się zaśmiała, że spania to tej nocy nie będzie, ale i ona się cieszy. Posłała Rózię do naszej krawcowej, pani Dutkiewiczowej, żeby przygotowała dwa zestawy pościeli, obrus duży i komplet serwetek jako prezent ślubny. Wszystko najlepsze gatunkowo, ślicznie pohaftowane. Ojciec się zachmurzył, że taki wydatek, można było prostsze. Słyszałam, jak Mateńka słabo zaprotestowała, że przecież nas stać, że tyle lat jeździmy do Poronina na letni wypoczynek. W końcu dał się udobruchać, jak zawsze.

28 czerwca 1939 roku

Podróż zabrała nam prawie cały dzień. Kierowca podjechał rano, znosili walizy i torby do auta wraz z Rózią przez blisko dwie godziny, potem jeszcze Mateńka spisywała ostatnie instrukcje i wyruszyliśmy na południe, a do naszego pocziwego Krakowa wrócimy dopiero pod koniec sierpnia.

Mateńka, mimo zmęczenia i zdenerwowania, czy aby na pewno wszystkiego dopilnowała, szczęśliwa. Też lubi wakacje, chociaż już od dawna nie jest dzieckiem.

5 lipca 1939 roku

„Gdy w lipcu słońce dopieka, burza niedaleka”, tak mówi przysłowie, ale choć praży od naszego tu przyjazdu, to nawet jednej chmurki na niebie nie widać.

Gaździna Kasia kochana jak zawsze, ale już trochę zdenerwowana tym weselem. Ciągłe oblicza, planuje, pogodę zaklina. Marysia też przejęta, doczekać się chyba nie może. Śliczna jak marzenie – oczy jak węgielki, włosy kruczoczarne, usta karminowe. Piękna z niej

będzie panna młoda.

8 lipca 1939 roku

Dziś byliśmy z Mateńką w Zakopanem. Wielkie wyjście – nie na hale do „łowiecek”, jak pani Kasia na nie mówi, tylko wyprawa do tej pięknej letniej stolicy Polski. I to nie byle gdzie, a do hotelu „Bristol”! „Rendez-vous elity towarzyskiej”, jak napisano na pocztówkach reklamowych. Sam budynek prezentuje się bardzo dostojnie, a jakie dodatkowe atrakcje oferuje! Po pysznym obiedzie przeniosłyśmy się do części kawiarnianej, gdzie występowała orkiestra z programem muzyki koncertowej. Szarlotka przednia, bodaj lepsza niż u naszego Noworolskiego. Mateńka zamówiła sobie mazagran i nawet pozwoliła mi skosztować trochę na łyżeczce. Gdyby się Ojciec dowiedział...

Wcześniej jakoś na to nie zwracałam uwagi, może byłam za młoda, może swoimi szkolnymi sprawami bardziej zajęta, ale teraz to widzę wyraźnie – Mateńka jest na wywczasach zupełnie inna niż w domu. Oczywiście, że tu żadnych obowiązków nie ma, niczym zarządzać i kłopotać się nie musi, więc może stąd to odprężenie i dobry humor? Zagadnęłam ją o to. „Oddycham pełną piersią, bo tu takie fantastyczne powietrze”, odparła i się roześmiała.

13 lipca 1939 roku

Istne szaleństwo! Ledwo na oczy patrzę, taka jestem zmęczona. Zresztą co tam oczy – nogi jakie zmęczone mam! Piękna dziś była wycieczka – razem z wakacjuszami z sąsiedniego domu i synem naszej gaźdżiny jako przewodnikiem wybraliśmy się do Doliny Kościeliskiej. Droga malownicza: sosny strzeliste, strumień srebrzysty, nad wszystkim majestatyczne i potężne góry. Ale jaka długa ta trasa! Dobrze, że na końcu, na Polanie Pysznej, jest szałas pasterski, gdzie można się napić gorącej herbaty i zjeść pierogi.

Mateńka została w domu, i chyba dobrze, bo nawet my, młodzi, trochę narzekaliśmy. Pęcherze mi się zrobiły. Buty mam nowe, wygodne bardzo, ale widać nie dość jeszcze rozchodzone. Chciałam

po drodze w strumieniu stopy zamoczyć, ale Tomek, syn naszej gospodyni, odradził, mówiąc, że wilka złapię. Więc teraz siedzę przy stole, nogi w miednicy z ciepłymi mydlinami trzymam i odpoczywam.

19 lipca 1939 roku

No i w końcu pogoda się popsuta. Od wczoraj pada i chłodniej. Ulga dla znękanym kanikułą ludzi i wyschniętych pól, choć pani Kasia się martwi o zbiory. „Teraz deszcz to złych żniw wieszcz”.

Wreszcie mam czas na lekturę. Wcześniej tyle się działo – wycieczki, spacer, spotkania. Wieczorem padałam na łóżko i zasypiałam. A teraz wyciągnęłam książkę z walizki i wprost się oderwać nie mogę. „Emancypantki” Bolesława Prusa. Cóż to jest za opowieść! Madzia Brzeska to taki dobry człowiek! Altruistyczna, myśli o wszystkich dokola, o sobie dbając najmniej. Całe zło tego świata by wzięła na swą duszę, innych od niego uwalniając. Dama klasowa, uczy na pensji, pragnąc kiedyś samej prowadzić prywatną szkołę dla panien. Trudno się z nią nie utożsamić, przecież to jakby ja, tylko za lat parę. Wszystkie zresztą postaci są tak narysowane, że wprost wychodzą z kart powieści – takie namacalne i prawdziwe.

Niech pada, trudno by mi było odłożyć lekturę, nie poznawszy zakończenia.

27 lipca 1939 roku

Życzenia się spełniają – druga połowa lipca jest bardzo deszczowa. Gaździna w nerwach, z pól niezebrane. Ślub za dziesięć dni.

A ja przybita po tym czytaniu.

Emancypantki – taki obiecujący tytuł! Mateńka dała mi pieniądze, żebym kupiła powieść pana Prusa, ale kazała trzymać tak, żeby Ojciec nie widział. „Po co go drażnić, wiesz przecież jakie ma zapatrywania”. A emancipatio to z łaciny, z prawa rzymskiego określenie, które znaczyło wyzwolenie spod władzy ojcowskiej. Dreszcz emocji mnie przeszywał, ilekroć widziałam ten napis na okładce. Sądziłam, że Madzia osiągnie to, o czym zamarzyła. Nie

udało się jej jednak. Nie wiem, może źle odczytuję przestanie, ale wydaje mi się, że ona była za dobra dla innych ludzi, że to ją – paradoksalnie – zgubiło. „- Teraz, dziecko moje – dam ci jedną, jedyną radę, którą staraj się zapamiętać... Znasz tę naszą wiśnię, co zwiesza się przez parkan na ulicę?... Kto w Boga wierzy, obrywa ją nie tylko z owoców dojrzałych i niedojrzałych, ale nawet z kwiatów, liści i gałęzi... Otóż, kochanko, tobie grozi to samo... – Mnie, tatusiu? – Tak. Ludzie z każdym człowiekiem postępują tak samo: zabierają mu pieniądze, czas, pracę, piękność, rozum, serce, nawet dobre imię... Wszystko mu zabiorą, jeżeli nie obroni go własny egoizm... Dlatego umiarkowany egoizm jest siłą dobroczynną, parkanem dla wiśni... (...) Pamiętaj, aby świat nie obdarł i nie połamał cię tak, jak ulicznicy naszą wisienkę”. Przepisałam sobie ten fragment. To rozmowa Madzi z ojcem. I rzeczywiście, Madzia obronić siebie nie umie. Rezygnuje ze wszystkiego. I z własnej pensji dla dziewcząt, żeby innemu nauczycielowi zarobku nie odebrać, i z miłości nawet. Nie wszyscy, którzy w konkury stawali, byli zaufania godni, prawda. Ale Stefan Solski? Wydawało mi się, że on ją kochał prawdziwie. Nieba by jej przychylił. A ona odrzuciła jego uczucia. I dlaczego? Żeby być niezależną? Trafnie Prus mężczyzn przedstawił – prawie wszyscy oni nad kobietami górują – nie swoimi przymiotami, ale pozycją, pieniędzmi, układami. Stefan jednak był inny. On inny, ona inna. Razem mogli być naprawdę szczęśliwi, mocno w to wierzę! Nie wiadomo tak naprawdę, jak się historia zakończyła, autor furtki nie domknął (bo nawet kiedy Madzia była u szarytek, to Stefan się o nią starał), ale i tak lektura mnie w smutku zostawiła. Kiedy dwoje szlachetnych, dobrych ludzi na siebie trafia, a ich serca spasowane, to największe szczęście! Nie sztuka za męża wyjść czy się ożenić. Ale trafić na drugą połówkę i z tego szczęście zbudować – to i dar, i odpowiedzialność.

Rozdział czwarty



Siedzę na sali gimnastycznej. Przez umieszczone wysoko okna dociera bure światło. Jest pochmurny dzień, słońce przegrywa z szarymi obłokami. Ściany ozdobiono wojskową siatką maskującą, do której przyczepiono tekturowe atrapy książek pomalowane na posępne kolory. To chyba ma być ozdoba, ale całość sprawia bardzo przygnębiające wrażenie. Nic dziwnego, skoro okazja wcale nie jest wesoła – tuż pod obręczą do koszykówki wisi biała płachta papieru, na której ktoś wykaligrafował grubym czerwonym flamastrem napis: „Matura z języka polskiego 2002”.

Mój rocznik. Moja szkoła. Poznają ten wytarty parkiet w pobliżu bramek, znieawidzone drewniane kozły z gąbką u góry obitą paskudnym bordowym skajem, po którym ślizgały mi się spocone z nerwów dłonie, żeby znowu nie spaść ku uciesze wysportowanych dziewczyn z klasy, stanowiących zgraną paczkę i zawsze patrzących na mnie z góry. Brzydkie materace, oparte o wymalowaną farbą olejną ścianę, na których z mozołem robiłam przewroty – do przodu jeszcze jakoś szło, w tył – to już była mordęga; zawsze się przewalałam na bok, ale nim plasnęłam o parkiet, stawałam na głowie, co niezmiennie prowokowało panią od wuefeu do uszczypliwych uwag: „Majewska, broda do klatki piersiowej. Głowę można lepiej wykorzystywać”. „Ha, ha, ha” – akompaniował jej chór moich gibkich koleżanek. W szatni nie było

lepiej: one zgrabne, w fikuśnej bieliźnie, pewne siebie, pierś do przodu. Ja w bawełnianych majtach, sportowym staniku, a wypinać czego wtedy jeszcze nie miałam. Gdy teraz na to patrzę, to widzę, że najbardziej brakowało mi nie urody, ale pewności siebie. I tak już zostało.

Ale co ja tu właściwie robię? Moja ławka stoi samotnie pośrodku sali. Jak mała łódeczka, łupinka rzucona na wzburzone fale. Nagle podchodzi do mnie polonista i szepcze mi do ucha: „Zegar tyka, Klaro, nie czas na rozkojarzenie. Widzę pustą kartkę, a przecież na pewno potrafisz napisać wypracowanie. Zawsze byłaś dobrze przygotowana do lekcji”.

Wraca mi wiara w siebie. Wzorowa uczennica Klara Majewska! Jestem wykuta, obryta, wszystko mam w małym paluszku – daty, epoki, dzieła, cytaty.

Przysuwam do siebie kartkę z tematami wypracowań. Od razu czuję, że coś jest nie w porządku. Tekstu jest bardzo mało, zaledwie dwie linijki. Podnoszę arkusz do oczu. „Jak uczynić swoje życie szczęśliwym? Temat należy opracować na podstawie życia, nie lektur”.

Oblewa mnie zimny pot. Jezu, czy to jakiś żart? „Przedstaw funkcjonowanie motywu ojczyzny w wybranych utworach literackich”, „Jakie wartości proponuje czytelnikowi literatura średniowiecza i renesansu?”, „Czesław Miłosz, *Traktat poetycki*. Analiza i interpretacja wiersza”. Takie powinny być tematy! Jak można wymagać, żebym pisała o czymś, czego nie przerobiliśmy na lekcji? Jaka praktyka? – teoria powinna być, przecież tylko tego mnie szkoła nauczyła! Polonista, który już zdążył wrócić do swojego stolika pod ścianą, unosi obie ręce i układa dłonie w ten sposób, że jedną trzyma pionowo, a drugą prostopadle do niej, tak że wyglądają jak T. *Time*. Muszę się spieszyć. Nie dość, że temat całkiem mi nie podszedł, to jeszcze ta presja czasu.

Gryzę końcówkę długopisu. Szczęście, szczęście... „Odważnym szczęście sprzyja”, przypominam sobie Wergiliusza, rzymskiego poetę. To już jest jakiś punkt zaczepienia. Tylko co by właściwie

miało to znaczyć? O jaką odwagę chodzi? W głowie mam pustkę, słyszę coraz głośniejsze tykanie wskazówek zegarka na moim ręku. Nagle jakby nabrały przyspieszenia. W ogóle nie mogę się skupić. I naraz rozlega się dzwonek. Raz, za chwilę drugi, potem trzeci i kolejny. Polonista idzie w moją stronę, żeby zabrać ode mnie pustą kartkę. Obleję maturę, obleję całe dalsze życie. Zrywam się z krzesła, ściągając pusty arkusz. Nie, nie oddam, nie będzie dowodu. Rzucam się do sprintu (czegoś praktycznego jednak się w tym liceum nauczyłam), start mam wyśmienity, jednak już po chwili się potykam i padam jak długa.

Przez te mikrosekundy, kiedy frunę w powietrzu, przygotowuję się na bolesny upadek, ale – o dziwo – nic mnie nie boli. Zupełnie jakbym wylądowała na czymś miękkim, a nie na twardych deszczułkach parkietu. Rozglądam się dokoła, nagle zrobiło się jakoś mroczno. Pewnie mimo tego miękkiego podłoża doznałam wstrząśnienia mózgu. Przemykam oczy, jestem senna, ale uparty dzwonek regularnie się odzywa. Podnoszę sklezione powieki. Mrok jakby trochę się rozjaśnił, przed sobą widzę wąską smugę światła. Rany! A jednak nie, to nie jest tunel do innego (podobno lepszego) życia – tak do salonu prababci Emilii wbija się nowy dzień, próbując sforsować zasłony. Alarm nie ustaje. Znowu i znowu, i znowu... Właściwie to znam ten dźwięk. Tak brzmi mój telefon.

Zorientowałam się, że spadłam z łóżka, a miękkość pode mną to dywan. Niezgrabnie się podniosłam, nasłuchując, skąd dochodzi sygnał, i wypatrując rozświetlonego ekranu. Zlokalizowałam telefon – leżał na półeczce pod lampą. Ściągnęłam go i zobaczyłam, kto się tak do mnie dobijał: Mama/Dorota (tak mam ją wpisaną, kompromis między jej życzeniem niepostarzenia a moją potrzebą bycia dzieckiem).

– Mama? – spytałam trochę głupio, bo przecież wiedziałam, że ona.

– Ja, *my darling*. A kogoś innego się spodziewałaś? – odparła miło, spokojnie, bez zwykłej żywołowości. I świetnie ją było słyszeć, jakby stała w pokoju obok, a nie siedziała w drewnianym

domu w sercu puszczy.

– Nie, no skąd. Po prostu mnie obudziłaś, więc jestem jeszcze rozespana.

– O 9.15? Zawsze byłaś rannym ptaszkiem. Kraków chyba ci służy, skoro tak się wysypiasz – zaśmiała się.

– Tak, to chyba z powodu tego miejsca. Ale też dlatego, że jestem zmęczona.

Chciałam wytłumaczyć, jak się czuję, co ze mną zrobił pobyt tutaj. Że to nie słodkie leniuchowanie, tylko zalew różnych emocji. Opowiedzieć o poczuciu winy wobec prababci, żalu, który nagle na mnie spłynął, że nie jesteśmy silnym klanem kobiecym, że żyjemy pojedynczo, co czyni nas podatnymi na lęki i smutki. Bo właśnie to do mnie dotarło: każda z nas jest samodzielna i zaradna, Emilia, Elżbieta i Dorota uporały się z samotnym macierzyństwem, wiadomo, że „jakby było trzeba”, „w razie czego”, to sobie pomagamy, zajmujemy się, wyciągamy rękę, ale mnie nie chodziło o takie pospolite ruszenie w trudnych sytuacjach, tylko o codzienną wspólnotę. To oczywiste, że się kochamy, ale czy my się przyjaźnimy?... No i jeszcze ten zupełny brak szczęścia do facetów – czy to się dziedziczy?... Niby jedynie dwa dni, a jakie gęste. Tylko jak o tym porozmawiać przez telefon? A może właśnie tak by było łatwiej niż twarzą w twarz – wydusić z siebie to, co tak od środka drapie?

– Rozumiem, że to trudne. Może po prostu sprzątnij tak z grubsza, wyrzuć to, co nie ma żadnej wartości, a w wolnej chwili ja i babcia się włączymy, żeby nie wszystko było na twojej głowie? – Dorota przerwała moje rozmyślenia.

– Dzięki, ale chyba nie ma co zwlekać. Skoro chcę sprzedać mieszkanie...

– Chcesz sprzedać mieszkanie? – Mama gwałtownie weszła mi w słowo.

– No tak – odparłam zdziwiona. – Rozmawialiśmy przecież o tym. Ty i babcia nie miałyście żadnych pretensji do prababci, że właśnie mnie zapisała je w spadku.

– No oczywiście, że nie. Babcia ma swoje lokum, ja mam swoje, więc to sprawiedliwe, żebyś i ty miała.

– Właściwie to mam, bo skoro ty wybrałaś puszcę... – odparłam niepewnie.

– Formalnie. – Dorota znowu się stała typową Dorotą, konkretną i energiczną. – Chodziło mi o stan prawny, że każda z nas figuruje w księdze wieczystej jako właścicielka, tylko ty nie – dodała już trochę spokojniej.

– A, no tak, jasne. Po prostu pomyślałam sobie, że rozsądniej będzie załatwić sprawę szybko. Przecież mieszkać tu nie będę, nie ma komu doglądać, przepalać w piecu, więc jedyne sensowne rozwiązanie to sprzedaż. Nie ma co tracić czasu na dzielenie włosa na czworo, prawda? – zapytałam pewniejszym głosem, mając nadzieję, że moje zdecydowanie zostanie docenione.

Dorota zawsze była szybkostrzelna: pach-pach, decyzja za decyzją. Podśmiewywała się ze mnie: „Ty jesteś taki zatrapek. Wszystko cię trapi, oglądasz życie pod mikroskopem. A tu trzeba przeć do przodu, nie zamartwiać się”.

O dziwo, tym razem Dorota obrała inny kurs:

– Teoretycznie tak – powiedziała z lekkim ociąganiem. – Ale co nagle, to po diable. Trzeba sprawdzić, jak wygląda sytuacja na rynku. Czy jest popyt, czy chwilę poczekać, żeby dostać wyższą kwotę. Poza tym przecież nie było jeszcze sprawy spadkowej w sądzie.

– Wiem, wiem. Po prostu już podjęłam decyzję, tak jak ty to mówisz, „do przodu”. Termin w sądzie mamy wyznaczony na koniec czerwca, to może byś przyjechała kilka dni wcześniej? Razem byśmy się wybrały do Krakowa, spędziły wspólnie trochę czasu.

– Jasne. Wydaje się, że w najbliższej przyszłości będę mieć więcej luzu. I częściej będę przebywać w cywilizacji.

– A właśnie, miałam zapytać: tak świetnie cię słychać – wybrałaś się do Suwałk?

– Nie. Do Warszawy.

Zatkało mnie. Dorota rzadko się wypuszczała dalej niż do Suwałk

właśnie. Albo praca, kolejny pilny przekład, albo jakieś wyprawy z Markiem. Tam mieli wspólne życie, wspólnych znajomych. Jeśli już zjawiała się w stolicy, to zawsze mnie o tym uprzedzała.

– Nic nie mówiłaś, mogłam przełożyć urlop o kilka dni.

– Ach, bo to świeża sprawa.

– Ale wszystko dobrze?

– Oczywiście.

Coś mi zgrzytnęło w tym „oczywiście”

– Czyli widzimy się za miesiąc?

– Może nawet wcześniej. Zobaczymy. Całuję cię, trzymaj się, małpeczko, *my sweetie!*

Małpeczko – tak mama nazywała mnie do wczesnej podstawówki, bo rzucałam się jej na szyję i wczepiałam w nią jak kapucynka. Może nawet ona ma czasem taką potrzebę bliskości, o której też nie wspomina? Nie mogłam za nią trafić.

Telefon Doroty skutecznie mnie rozbudził. Rozmowa była trochę zagadkowa, ale co się dziwić, w końcu to moja matka.

Spojrzałam na zegar w komórce. Wpół do dziesiątej. Rzeczywiście, tak długo w pizamie bywam tylko w Nowy Rok. Poszłam do łazienki, prosząc w duchu o cud, czyli samoistną naprawę piecyka. Cud – jak to najczęściej bywa – się nie wydarzył. Zimny prysznic zastąpił mi kawę, której w końcu nie kupiłam, a na fusy nie miałam ochoty.

Postanowiłam zabrać się energicznie do pracy. Owszem, formalnie jeszcze miałam związane ręce, ale porządki i tak są konieczne. Kiedy zjawi się pan Tomek z agencji, żeby zrobić zdjęcia, mieszkanie powinno być odpowiednio przygotowane – żadnych zbędnych rzeczy na wierzchu, nieuprzątniętych kubków, plam, kurzu i tak dalej. Byłby wstyd.

Rozsunęłam zasłony, wpuszczając do salonu światło. Kolejny piękny majowy dzień. Zielen lip nastrajała optymistycznie. Podeszłam do okna. Z bliska czar pryskał. Framugom i szybom przydałoby się solidne mycie. Westchnęłam – wysokie okna, podwójne szkło, to się napracuję. Schyliłam się, żeby poprawić

podwinięty dół zasłony. Im też by się przydało odświeżenie – brzeg był szary i zakurzony. A skoro zasłony, to i firanki. Może ich kremowy kolor to po prostu biel po przejściach? Wyglancuję mieszkanie, spędzę trochę czasu z babcią, potem powrót do domu, spotkanie z Dorotą, może jakiś wspólny krótki wypad? Wszystko się ułoży, smutki precz.

Powiedzieć to jedno, a zrobić to drugie. Odpięcie firanek i zasłon okazało się nie lada wyzwaniem. Drabinka, którą wyciągnęłam ze spiżarni, nijak nie starczała, żeby dosięgnąć metalowych żabek. Potrzebna była konstrukcja: stół dosunięty do okna i dopiero na nim rozstawione metalowe schodki. Drewno trzeszczało, nogi się niebezpiecznie chygotały, metalowe zapinki stawiały opór, jakby je zrobiono ze stali pancерnej. Po kwadransie byłam spocona jak mysz, ale akcja zakończyła się sukcesem. Zeszłam z barykady, odstawiłam drabinkę, przesunęłam stół z powrotem na środek pokoju. Spojrzałam na kopczyk materiału pod moimi stopami – wyglądał jak nierozłożony namiot po przejściach. Podniosłam zwoje materiału z parkietu i niewiele widząc, bo zasłaniały mi widok, poszłam do łazienki. I dopiero tu zakląłam. Przecież prababcia nie miała normalnej pralki, tylko franię. Poczciwą beczułkę, która już dawno temu się popsuła i nie nagrzewała wody. Emilia wlewała do niej gorącą wodę prysznicem, ale teraz piecyk nie chciał współpracować. Zresztą frania była skromnych rozmiarów i z trudem dałoby się do niej wcisnąć choćby jedną zasłonę. Cóż, trzeba będzie zanieść pakunek do pralni, na szczęście niedaleko, na równoległej ulicy, jest zakład.

Wróciłam do salonu. Ogołoczone z udrapowania okno wyglądało posepnie i surowo. Jeśli chcę, żeby mieszkanie korzystnie się zaprezentowało na zdjęciach i przed oglądającymi, to muszę je odpowiednio przygotować. Ta myśl nawet mi się spodobała, mimo że nie byłam orłem designu. Ubierałam się raczej tradycyjnie, zachowawczo, warszawskie mieszkanie zostało wykończzone ręką Doroty. Zawsze się bałam, że nie mam gustu, że będę głupio wyglądać albo, nie daj Boże, się wyróżniać. Zależało mi zwłaszcza

na opinii Pawła, który dorastał w bogatym, eleganckim domu, co było po nim widać, słyhać i czuć. I co mi imponowało, ale czy było moje?...

Po rozstaniu na wiele spraw zaczyna się patrzeć inaczej. Jeśli ludzie są ze sobą długo – a my byliśmy – przestają myśleć o sobie pojedynczo. „My byśmy tak nie zrobili”, „Nam się podobało”, „Nie, tego nie lubimy”. Znika ona, znika on, pojawiają się oni. Wszystko się dzieli na pół albo mnoży razy dwa. Ludzie się zmieniają, dopasowują, upodabniają. A potem, kiedy związek się kończy, trzeba wrócić do pojedynczości. I to jest trudne – przed sobą nie da się niczego grać.

Stałam przed toaletką. Na dębowym blacie stolika ustawiono owalne lustro. Tafla była matowa ze starości. W lustrze mojego mokotowskiego mieszkania wyglądałam inaczej. Tam było widać każdy szczegół, każdą plamkę i zmarszczkę. Tu moje odbicie nabrało łagodności. Ze spatynowanej tafli patrzyła na mnie szczupła trzydziestolatka, z gęstymi kasztanowymi włosami sięgającymi ramion, lekko wywiniętymi na końcach. Cera przypominała dojrzewającą brzoskwinię, piegi pasowały do laskowej zieleni oczu. Usiadłam na krześle, na którym Emilia układała fryzurę i szminkowała usta. Pociągnęłam za mosiężną gałkę w szufladzie. W dwóch tekturowych pudełkach panował porządek. W tym po prawej stronie były grzebyki, lokówki, wsuwki, w tym po lewej – pomadki, henna do brwi, puder i pędzel. Wyciągnęłam oba i ustawiłam je na blacie. Poczulałam znajomy zapach – perfumowany puder w białym pudełku z niezapominajkami. Angielska firma Yardley, której Emilia była wierna. Zdjęłam wieczko – słodko-duszący kwiatowy zapach uwolnił się wraz z mgiełką pudrowych drobinek. Delikatnie zanurzyłam gęste włosie pędzla i uniosłam kościaną rączkę do góry, omiatając twarz nabranym proszkiem. Zupełnie inne uczucie niż nakładanie fluidu lateksową gąbką. Ładnie, tylko przydałoby się podkreślić usta. W pudełku były trzy szminki, wszystkie w tym samym kolorze, którego Emilia nie zmieniała od lat. Morning

Beauty, piękność poranka, kolor trudny do opisanie, zgaszony herbaciany róż. Zdjęłam plastikową nakładkę i wysunęłam szminkę. Przejechałam nią po ustach, zacisnęłam wargi, równomiernie rozprowadzając pomadkę. Zwykle wybierałam kolor czerwony, uważając, że najbardziej do mnie pasuje, ale lustro na toaletce twierdziło inaczej. Z drugiego pudełka wyjęłam szeroki grzebyk, którym przytrzymałam zebrane z jednej strony włosy. Wyglądałam naprawdę ładnie. Jakoś inaczej, subtelniej. Poczułam się jak Ania z *Godziny pąsowej róży* – przeniesiona o sto lat wcześniej. Teraz jeszcze wyraźniej było widać moje podobieństwo do prababci. Mój styl przysłał ten fakt. W liceum chciałam wyglądać tak jak inne dziewczyny – zwłaszcza te wysportowane, na wzór amerykańskich cheerleaderek – z blond kucykami kołyszącymi się równie efektownie co piersi podkreślone opiętymi T-shirtami. W obcisłych rurkach, z odsłoniętymi pępkami. Tyle tylko, że im to pasowało, a ja wyglądałam jak przebrana. Ich makijaż też się nie sprawdzał na mojej twarzy. W dorosłości także się starałam podążać za modą, z podobnym skutkiem. „Cóż, trafiła ci się raczej przedwojenna uroda”, kwitowała to Dorota, oryginalna i szczerze mająca w nosie opinie innych na swój temat.

Ściągnęłam korale przewieszane przez drewnianą ramę lustra. Ciemnofioletowe kuleczki nanizane na długą żyłkę, chyba ametyst. Przyłożyłam je do ugrów bluzki, którą miałam na sobie. Nawet ładnie, pomyślałam ze zdziwieniem. Nigdy bym sama nie wpadła na takie połączenie kolorów. Właściwie tę bluzkę kupiłam tylko dlatego, że na wystawie każdej sieciówki były ciuchy w tym kolorze, a ja przecież chciałam podążać za trendami. Nie wiedziałam jednak, do czego ją nosić, więc wkładałam ją do dzinsów – połączenie bezpieczne i nijakie – lub do czarnej prostej spódnicy, ale w takim zestawie czułam się jak urzędniczka ZUS-u, i to tuż przed emeryturą. Choć właściwie to, co miałam na sobie, nie miało większego znaczenia, bo i tak chowało się pod białym aptecznym fartuchem. Wcześniej, oczywiście, był Paweł, ale teraz było już później i ta motywacja stała się nieaktualna. Przez chwilę

jeszcze przyglądałam się swojemu odbiciu w lustrze, a potem odwiesiłam naszyjnik i dokończyłam przeglądanie zawartości obu pudełek. Postanowiłam zachować wszystko – te drobiazgi wiele miejsca nie zajmą, a były takie urocze. Na razie nie miałam gdzie ich schować, bo w końcu nie kupiłam pudeł, więc postanowiłam, że rzeczy do ocalenia będę układać w spizarni, a te, z którymi trzeba się będzie rozstać, powkładam do worków na śmieci. Tych też jeszcze nie miałam, ale dopiszę je do listy i po obiedzie załatwię niezbędne sprawunki. Przełożyłam wszystko do jednego pudełka i wyniosłam do spizarni. Drugie postawiłam pod ścianą. Wsunęłam rękę do szuflady, żeby sprawdzić, czy nic w niej nie zostało. Przesunęłam dłonią po wyklejce i poczułam jakiś papier. W pierwszej chwili myślałam, że to wyściółka chroniąca przed zabrudzeniem, ale raczej nie, bo była za mała. Przez chwilę się mozoliłam, bo róg się zagiął i utknął gdzieś w szparze, ale udało się i wyciągnęłam kartkę. O rany... Na pożółkłym ze starości kwadratowym karteluszką wyrwanym z jakiegoś notesu były narysowane dwa serca, które bardziej przypominały nieforemne jabłka. Pod nimi napis, równie kulfoniasty: „Dwa serca mam, jedni Ci dam. Klara, 1990.” Przypomniałam sobie to dzieło i okoliczności jego powstania. Przyjechałyśmy wtedy z Dorotą na Wszystkich Świętych do Krakowa. Mama potem miała jakąś konferencję albo faceta, nie pamiętam, ale musiała na tydzień mnie zostawić, babcia jeszcze pracowała, więc zamieszkałam u Emilii, która uczyła mnie pisać. I to właśnie był efekt tych ćwiczeń. Zaszklily mi się oczy. To wspomnienie musiało być dla niej ważne, skoro przez tyle lat przechowywała ten papier. Chwila ocalona od zapomnienia. Znowu powędrowałam do spizarni.

Spojrzałam na zegarek. Nie do wiary, ale było piętnaście po dwunastej. Minęły już trzy godziny od mojej nagłej pobudki. Wspominając, zupełnie się traci poczucie czasu. Zaburczało mi w brzuchu, bo przecież nic jeszcze nie jadłam. Chciałam zacząć dzień kawą, ale skoro jej nie było, to w końcu nie dotarłam do kuchni, a potem utknęłam przed toaletką. Śniadanie nie miało już

sensu, więc postanowiłam wyjść na miasto, zjeść gdzieś obiad, zrobić solidne zakupy spożywcze oraz kupić pudła i worki, żeby popołudniu spokojnie i systematycznie przejrzyć prababcine rzeczy. No i przy okazji oddać do pralni zasłony i firany. Nie chciały się zmieścić w żadną plastikową siatkę, więc włożyłam je do swojej torby podróżnej i z trudem dopięłam zamek. Wyglądała jak ludzik Michelin po rocznej diecie cukrowej – nieforemna kulka z małutkimi uchwytami.

Maj był w tym roku przepiękny. Kolejny idealny pogodowo dzień. Temperatura lekko przekroczyła dwadzieścia stopni, więc można było chodzić w krótkim rękawku. Słońce miło grzało, muskając ciepłem i poprawiając humor. Zamknęłam za sobą frontowe drzwi i zastanowiłam się, gdzie dostanę smaczny obiad. Nie miałam opracowanej kulinarnej mapy Krakowa; zawsze jadałam domowo, albo u babci, albo u prababci. I na taką domową kuchnię miałam ochotę także teraz. Marzenie ściętej głowy. Najpierw chciałam skrócić w prawo, do Rynku, ale potem uznałam, że im bardziej w centrum, tym drożej i gorzej. Poza tym w ten sposób nadłożyłabym drogi do pralni, a wędrowanie z pękatym tobołkiem nie było specjalnie przyjemne. Poszłam zatem w kierunku Podgórze.

Sklep spożywczy, zakład krawiecki, kiosk ruchu. Małe lokale, jakby z domku dla lalek, ciasno wypełnione towarami. Skręciłam w lewo i po chwili znowu w lewo, żeby się znaleźć na równoległej ulicy, gdzie powinna być pralnia. Przebiegło mi przez głowę, że przecież wcale nie mam pewności, czy ten zakład jeszcze działa. Ostatni raz byłam na tej ulicy z dziesięć lat temu. Szmata czasu. W centrum Warszawy sklepy zmieniają się jak w kalejdoskopie. Na jesieni jedna kawiarnia, w lecie następnego roku ogródek zakłada już inny właściciel. Kiedyś był sklep indyjski, po roku pod tym samym adresem mieści się perfumeria. I tak w kółko. W Krakowie życie toczyło się jednak innym rytmem. Dostrzegłam nieduży granatowy szyld z białym napisem „PRALNIA”. Ten sam co zawsze. Niezmienna była również witryna. Na miniwystawie stała

spora i trochę zgarbiona juka w glinianej doniczce, a obok leżały porozkładane kolorowe magazyny o modzie, wyblakłe od promieni słonecznych. Nie zmieniła się nawet klamka, a właściwie uchwyt na drzwiach. W dzieciństwie mnie fascynował – kształtem przypominał pomarańczowy talerz deserowy, który wyglądał jak wypolerowany bursztyn. Weszłam do środka, uruchamiając otwarciem drzwi dzwoneczek. Przywitał mnie ciepły, krochmalno-perfumowy zapach. Z zaplecza dobiegał cichy stukot. Rozejrzałam się po wnętrzu. Chyba nic się nie zmieniło. „Zakład pralniczy, Florczyk H. i K., rok założenia 1936”. Rodzinny, pokoleniowy biznes. W domu, gdy była potrzeba, zawoziłam rzeczy do pralni w centrum handlowym albo dzwoniłam i kierowca odbierał ode mnie pakunek, robiąc rundkę po okolicznych klatkach.

Przy ladzie pojawiła się starsza pani.

– Dzień dobry. Chciałam zostawić zasłony i firanki do prania. – Postawiłam na drewnianym blacie torbę.

– Dzień dobry. To proszę wyjąć, zobaczymy, co tu mamy.

Przez chwilę biedziłam się z zamkiem, ale w końcu udało mi się uwolnić zawartość tobołka.

Starsza pani wzięła materiał w dłonie, podniosła do zapalanej lampki z mocną żarówką.

– Potrzebne będzie dwukrotne pranie.

Oblałam się rumieńcem. Fakt, zasłony potrzebowały solidnego czyszczenia. Poczulałam się winna. Zupełnie bez sensu.

– Dawno mnie nie było u prababci... – wybąkałam.

Właścicielka zsunęła okulary na koniuszek nosa i przyjrzała mi się baczniej.

– A jak ma pani na nazwisko? To znaczy prababcia, oczywiście.

– Tak samo – odparłam, wstydząc się po raz drugi, jakbym ujawniała jakiś krępujący rodzinny sekret. Czwarte pokolenie, a ona nosi to samo nazwisko, co prababka. Co z kobietami w tej rodzinie, ho, ho, ho! – Majewska – bąknęłam, wpatrując się brązowy klosz lampki, jakby było w nim coś niezwykle intrygującego.

– Emilia? Pani prababcia to Emilia, mama Elżbiety? To pani musi być... zaraz, takie ładne imię...

– Klara – powiedziałam już pewniejszym głosem.

– O, właśnie: Klara. Przed wojną to było popularne imię, potem zupełnie wyszło z mody, ale kto by się w Krakowie modami przejmował. Bardzo mi przykro z powodu prababci. Tyle lat tu przychodziła... Porządkuje pani pewnie?

– Tak – przytaknęłam.

– No, pracy trochę będzie. Starsi ludzie to i sił już nie mają, zresztą niedowidzą, nie wszystko wypatrzą. A i gust mają inny od młodych. Powiem pani jednak – nachyliła się w moją stronę przez blat – że te nowe rzeczy to nic niewarte. Rozłazą się w rękach, po jednym praniu jak szmatka, sprane, brzydkie. Kiedyś, kiedyś to była jakość! Oczywiście, czyszczenie trochę kosztuje, ale jaki to wydatek w porównaniu z wymianą? A posłużą pani te kilimy i kapy przez wiele lat. Zresztą mogę dać zniżkę, przez wzgląd na panią Emilię i na dobry początek na nowym miejscu.

– Nie, ja nie będę tu mieszkać – zaprotestowałam.

– A dlaczego?

To pytanie zupełnie zbiło mnie z tropu. Po pierwsze dlatego, że w ogóle padło. Po drugie – ponieważ nie chciałam opowiadać obcej osobie o swoim życiu. Problem jednak w tym, że pani Florczyk (lub inna, jeśli to nie mąż pochodził z pralniczej rodziny) wcale nie wyglądała na wścibską. Wręcz przeciwnie – uśmiechała się miło i jakoś tak zachęcająco do zwierzeń.

– Bo mieszkam w Warszawie. I tam mam pracę.

– Dom na stałe to ma tylko ślimak. A człowieka los może różnie rzucać.

Pani Florczyk prezentowała ten typ mądrości, który właściwie nie zostawiał miejsca na kontrargumenty. Więc milczałam.

– Ja oczywiście nie mam intencji się wtrącać, skądże, każdy robi, co mu serce dyktuje. Tylko tak sobie pomyślałam, że może szkoda – to mieszkanie tyle lat było w rodzinie. No ale będzie, jak ma być, prawda. No dobrze, to przyjmuję, zrobimy w ciągu trzech dni.

Pasuje?

– Tak, jasne – przytaknęłam ochoczo.

Pani Florczyk wypisała mały karteluszek, po czym przypięła go na tablicy korkowej, pod numerem 21. Z haczyka nad cyframi zdjęła blaszkę z wygrawerowaną dwójką i jedynką. Podała mi ją, mówiąc:

– Numerek dla ciebie, dziecko. Wcześniej dawałam go pani Emilii.

Uśmiechnęłam się. To był miły gest. Ośmielona przyjazną atmosferą postanowiłam zapytać o godne polecenia miejsca na obiad.

– A gdybym chciała coś smacznego zjeść, to gdzie najlepiej?

– Bar Poziomka – odparła pani Florczyk stanowczo i bez wahania. – Nic lepszego nie ma w okolicy, a może i w całym Krakowie. Dość skromnie, ale jedzenie pyszne i ceny możliwe. No i towarzystwo kulturalne, żadnych przyjezdnych.

Rzeczywiście. Kiedy dwadzieścia minut później zamknęłam za sobą drzwi i ujrzałam wewnątrz polecanego baru, od razu zrozumiałam, co pani Florczyk miała na myśli, mówiąc o dobrym towarzystwie. Zapomniała wspomnieć o innej, także od razu widocznej cesze tego miejsca: wieku gości. Wszyscy siedzący przy stolikach mieli wpisaną w dowodach podobną datę urodzenia – średnią oszacowałam na osiemdziesiąt pięć lat. Dominowały kobiety. Nie ma się co dziwić, zdecydowanie częściej dożywają sędziwego wieku, mężczyźni w kategorii staruszkowie są jak rodzyнки w cieście. Dwóch panów siedziało przy stolikach w parze z paniami, na bank żonami. Na pewno pilnowały ich jak oka w głowie – wystarczy choć raz posłuchać opowieści o tym, co się dzieje na turnusach sanatoryjnych, by wiedzieć, że na jednego mężczyznę po osiemdziesiątce przypada dziesięć samotnych i spragnionych męskiego, choćby i wspartego na lasce, ramienia pań. Chyba że jest się mną, wtedy taki deficyt może się przytrafić także wcześniej – jakieś pół wieku wcześniej. Menu było tak samo oszczędne jak wystrój: dwie zupy, trzy drugie dania, kompot,

herbata, kawa, placek drożdżowy. Wybrałam ogórkową i naleśniki oraz kompot. Zapłaciłam jedenaście złotych i pomyślałam, że jeśli jakość będzie zadowalająca, to mogę tu przychodzić codziennie, aż do wyjazdu.

Jedzenie było pyszne. Pałaszowałam i obserwowałam gości. Zawsze lubiłam się przyglądać innym ludziom i zgadywać, co robią, gdzie mieszkają, gdzie pracują, jak wyglądają ich życia. Czy ktoś czeka na te starsze panie? Pies, kot? Wnuczęta je odwiedzają? A może włączają głośno telewizory, żeby zagłuszyć pustkę? Są szczęśliwe czy wolałyby już dołączyć do nieżyjących mężów, przyjaciółek? Znow zaczęłam myśleć o prababci Emilii. Lubiła swoją samotność czy raczej od niej uciekała? Miała koleżanki, z którymi się umawiała na herbatę lub spacer po Plantach? Jak spędzała dni? Z pozoru dużo o niej wiedziałam, wiele faktów i dat, ale jaka była naprawdę, tam głęboko w środku? Pomyślałam, że nie udało mi się jej tak dogłębnie poznać, a teraz już było na to za późno.

Zrobiło mi się nostalgicznie i sennie. Dochodziła trzecia, a ja wciąż byłam bez kartonów i worków. No i bez zapasów spożywczych. Podniosłam się z krzesła i opuściłam Poziomkę. Los był dla mnie łaskawy. Na rogu wypatrzyłam sklep papierniczy, gdzie czekały na mnie kartony. I nawet nie musiałam ich kupować. Akurat przyjechała dostawa pluszaków i kilka pudeł miało powędrować na makulaturę. Uprzejmy sprzedawca poskładał je w duże kwadraty, a ja, żeby się jakoś zrewanżować, kupiłam gruby notes i zestaw cienkopisów. Niespecjalnie ich potrzebowałam, ale uznałam, że taka forma podziękowania za pomoc to dobry pomysł.

Tektura nie była ciężka, ale zdecydowanie nieporęczna, więc plan dalszych zakupów uległ modyfikacji – w małym spożywczaiku kupiłam najmniejszą kawę rozpuszczalną, konfiturę wiśniową, minikostkę masła i dwie bułki. Na kolację starczy.

Z takim bagażem dotarłam na Wiślną 3. Odstawiłam pakunki pod burą ścianę i zaczęłam szukać kluczy w swoim przepastnym worku. Nim się jednak do nich dogrzebałam, drzwi się otworzyły

i stanęła w nich starsza pani. Choć właściwie to określenie do niej nie pasowało. Kiedy się mówi „starsza pani”, przed oczami ma się dystygowaną zasuszoną staruszkę, z kokiem na głowie, w spódnicy za kolano, starannie wypastowanych trzewikach i z torebką w ręku. Tymczasem w progu ujrzałam panią – owszem na pewno po siedemdziesiątce, a może nawet starszą – ale nic więcej się nie zgadzało. Była korpulentna, spowita w jakąś satynowo-tiulową sukienkę w kwiaty, w słomkowym kapeluszu z różową wstążką, spod którego wypadały mocno tlenione loki.

– Pani tu? – zagadnęła uprzejmie, wskazując pulchną i upierścionkowaną dłonią klatkę schodową.

– Tak, dziękuję, właśnie szukałam kluczy.

– Nowa lokatorka?

– Tak jakby. – Nie miałam ochoty kolejny raz opowiadać o swoim życiu. Ciekawe, czy to taka lokalna przypadłość, żeby od razu, bez żadnego wstępu, wypytywać obcych ludzi o prywatne sprawy?

Pani jednak patrzyła na mnie – miło, owszem, ale i wyczekująco. A może po prostu obawiała się wpuścić kogoś nieuprawnionego? Ciągłe się słyszy o kradzieżach, zwłaszcza starsi ludzie padają ich ofiarą. Jest sposób na wnuczka, może być i na wnuczkę, czyli na mnie.

– Mieszkam tutaj. To znaczy chwilowo tu mieszkam – wyjaśniłam. – Pod trzynastką – dodałam, żeby uwiarygodnić swoją odpowiedź.

– A, to wyżej?

– Najwyżej. Na czwartym piętrze.

– Trzeba się nachodzić. – Uśmiechnęła się, pokazując ładne dołeczki w policzkach, zupełnie nieoczekiwane u kogoś w jej wieku. Zarazem jednak nic w jej wyglądzie i zachowaniu nie było takie, jak by można oczekiwać.

Poczułam nagłą potrzebę obrony swojego mieszkania:

– Ale widok jaki piękny! Wprost na lipy. W Krakowie taki smog, że każde drzewo jest na wagę złota.

Kapelusz ze Wstążką, jak zaczęłam ją w myślach nazywać,

popatrzył na mnie przenikliwym wzrokiem. Trochę jak Niania McPhee – opiekunka, która miała pomóc nieporadnemu wdowcowi (Colin Firth, och mój Boże!, ten facet był niezwykle męski i zarazem uroczy, tak to chyba tylko Anglicy mają) na Evangelinę – wdzięczną, ale niezbyt rozgarniętą młodą służącą, która miała dobre serce, zupełnie jednak nie znała życia.

– Ja mieszkam na parterze, okna mam od środka.

Studnia, pomyślałam. I to niska. No ale prababcia była córką właściciela kamienicy, więc co się dziwić, że dostała najładniejsze lokum.

– I bardzo mi z tym dobrze – dodała.

Pokiwałam głową, bo jak to można było skomentować, uśmiechnęłam się niezobowiązująco, podniosłam siatkę i kartony i zgrabnie wyminęłam Kapelusza ze Wstążką w drzwiach.

Kiedy stawiałam stopę na pierwszym stopniu, usłyszałam, jak coś mówi. Coś dziwnego, co brzmiało chyba:

– One były trzy. Ty jesteś czwarta.

Obejrzałam się, ale jedyne, co zobaczyłam, to domykające się frontowe drzwi. Czy te słowa były skierowane do mnie? Co to miało znaczyć? Ech, to miasto jest pełne dziwaków, pomyślałam i poszłam na górę.

Rozdział piąty



31 lipca 1939 roku

Poniedziałek, ostatni dzień lipca. Niebo się przeciera, idzie na dobrą pogodę. Gaździna patrzy na chmury, wiatr ocenia i twierdzi, że już teraz piękne lato do nas wraca. Oby – ślub Marysi już w tym tygodniu!

3 sierpnia 1939 roku

Dziś z Mateńką na wycieczce. W domu już wszystko ślubowi i weselu podporządkowane, gaździna przeprasza za rwetes, ale o co miałybyśmy się gniewać? Słońce piękne, więc wybrałyśmy się na Gubałówkę. Raczej mało forsownie, bo wjazd na górę kolejką, tam obiad w przepięknej, dopiero co wybudowanej restauracji, a potem na leżaki, kąpieli słonecznych zażywać. Mnie piegi powyskakiwały; Mateńka się śmieje, że to nieelegancko i gdyby Ojciec zobaczył, tobym wysłuchała reprimendy, że opalenizna jest dobra dla chłopki w polu, a dziewczęta z porządných domów dbają o białą cerę.

6 sierpnia 1939 roku

Ależ ta Marysia śliczna! Jak z obrazów Wyspiańskiego. Suknia ślubna ludowa – biała spódnica z fałdami, biała koronkowa koszula, biała kamizelka misternie haftowana czerwoną nitką. Do tego korale, też czerwone, czerwone wstążki we włosach. No i wianek

ze świeżych kwiatów. Pięknie ta czerwień z bielą wygląda – niewinnie i romantycznie.

Do domu przywieźli też Jakuba, narzeczonego. Zwyczaj jest taki, żeby przyszedł pan młody włożył białą koszulę, przez narzeczoną kupioną. Spodnie białe, z lampasami, biała koszula i cucha, czyli peleryna, w kwiaty haftowana – to strój pana młodego.

Potem się zbrali wszyscy na podwórku: młodzi, ich rodzice, druhny i družbowie. Muzykanci grali, rodzice błogostawili. „Niek wom Pon Bóg błogostawi, cobyście byli szczęśliwi i dożyli razem godnej starości, niek się wom darzom dzieci i gazdówka – jamen”.

Chyba dobrze zapisałam, coraz lepiej mi idzie zapamiętywanie gwary.

Marysia i Jakub bardzo byli przejęci. Widać u nich duży szacunek dla matki i ojca, postuszeństwo, ale pewnie bardzo by już chcieli być razem. Po ślubie mają zamieszkać z rodzicami Jakuba, w Jabłonce.

A teraz, zaraz, do kościoła, powozy już czekają, więc koniec pisania, relacjonowanie jutro.

7 sierpnia 1939 roku

Czym jest miłość? To przywiązanie, tęsknota, wzajemne podobanie się sobie, szacunek, dom, dzieci, obowiązki i radości. Życie całe, w którym dwa losy się splatają w jeden wspólny. To wszystko jednak już potem, kiedy trochę czasu minie. A na początku? Jak poznać, że to już, że to właśnie to? Jak pośród wielu osób wybrać tę jedną jedyną?

Gdy wcześniej się nad tym zastanawiałam, to zawsze mnie niepewność ogarniała – czy ja będę umiała dokonać takiego wyboru? Czy spotkam właściwego chłopca i czy intuicja mi podpowie, że to właśnie on? Wydawało mi się to takie tajemnicze i... odległe.

Zapytałam kiedyś o to Mateńkę – skąd ona wiedziała, że Ojciec jej pisany. Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem. Zawstydziałam się wtedy swojej śmiałości, ale nie o to chyba chodziło. „My rodziców słuchaliśmy, nie serca”, odpowiedziała.

Marysia i Jakub. Piękna para. Kiedy patrzyli na siebie, to jakby cały świat przestawał dla nich istnieć. On tańczył z innymi dziewczętami, ona przyjmowała zaproszenia do tańca od innych kawalerów, ale wzrokiem siebie szukali. Kiedy siedzieli przy stole, to ręce splatali, ona mu coś do ucha szeptała. A gdy goście zaczęli skandować: „Gorz-ko, gorz-ko, gorz-ko!”, to... Och.

Wszystko to widziałam, przednio się na weselu bawiłam, choć Mateńka mnie kilka razy strofowała: „Nie wypada”, „Klaruniu, panienska nie powinna”, jednak emocje takie były, że rozum i zasady szły trochę w odstawkę. Zwłaszcza że...

Ja już wiem, jak to jest, gdy się poznaje tego właściwego chłopca.

Nie da się tego wytłumaczyć, objaśnić. Prawdę mówią ci, co na dociekliwe pytania natury sercowej czy duchowej odpowiadają: „To się po prostu wie”. Teraz mogę za nimi powtórzyć: to się po prostu wie.

Czekaliśmy na młodych przed kościołem. Mieli podjechać powozami, żeby było z klasą, uroczyście. Panna młoda swoim, pan młody swoim, tak każe tradycja. Marysię wiozł tata, powóz mniejszy, ale odczyszczony, elegancki. Drugim wozem, większym, jechał Jakub. Tym samym powozem do Marysi przyjechał, ale podczas uroczystości w domu konie odpoczywały przy stajni, a powóz jeszcze był pucowany i ozdabiany świeżymi kwiatami. W pełnej krasie goście mieli go zobaczyć przed kościołem, a potem w nim pożegnać młodych, odjeżdżających do nowego, wspólnego domu. I o mały włos, a by się nie udało.

Już ich widać było na końcu drogi, gdy dostojnie sunęli w promieniach złotego południowego słońca, Marysia z ojcem pierwsza, za nimi, w oddali, Jakub z drużbą. Marysiny powóz stanął przed kościołem, gdy nagle skądś dobiegł wystrzał. Pojedynczy, głośny. Konie się przestraszyły i znarowiły. Stanęły dęba, a potem jak wyrwały do przodu! Gaździna krzyknęła, Mateńka oczy tylko zastoniła, przerażona, a ja stałam jak słup soli. Wszyscyśmy czekali na nieuchronne, to znaczy wypadek jakiś okropny. Że tragedią się to skończy, byłam pewna.

Tymczasem... Konie się rzuciły do galopu, unosząc za sobą powóz, który wprost skakał po drodze, wzbijając tumany kurzu. Woźnica wstał, ściągnął lejce, popuścił, potem znów ściągnął i tak wiele razy, coś do koni krzyczał, raczej głośno mówił, bo wydawał się bardzo opanowany. Po dłuższej chwili konie, jakby to były koniki drewniane na sznurkach w teatrzyku prowadzone, zwolniły, uspokoiły się i pod kościół już dostojnie doszły.

Gaździna ręce złożyła i oczy do nieba skierowała w podzięcie, goście brawo bić zaczęli. Marysia i Jakub złączą jednak na wieczność swój los.

Woźnica zeskoczył z kozła, obszedł powóz i wraz z Jakubem podszedł do Marysi, jakby chciał powiedzieć: „Szczęśliwie dojechaliśmy, reszta od was zależy”.

A kiedy odwrócił się w kierunku gości... Poczułam dreszcz. Wysoki, postawny, dobrze zbudowany. Włosy gęste, jasne, jak pole pszeniczne w lipcowym słońcu. Oczy brązowe, błyszczące. Przedziwne zestawienie kolorów, magnetyzujące wręcz. Opalony, co jeszcze podbijała biel koszuli.

Podszedł w naszą stronę, do gospodyni. „Staszek, ty moc tajemną nad końmi masz! Cud, żeś je opanował”, powiedziała, kręcąc z niedowierzaniem głową. „Cud to nie, doświadczenie i dobra ręka raczej”, odparł. „Pomyśleć muszę, jak ci się odwdzięczyć”. „A cobyście tam mieli robić. Grunt, żeby młodym się tak wszystko dobrze w życiu kończyło. Dziś oni najważniejsi. I miłość”.

I wtedy spojrzał na mnie. A ja na niego.

Miłość. Jak ten wyraz ładnie zabrzmiał w jego ustach!

Zauroczenie. Nigdy w życiu czegoś takiego nie doznałam! Jakby mnie jakiś radosny paroksyzm przeszył. Tak mi się zrobiło gorąco, a kolana lekko się ugięły. Nawet gdyby rozum się nie zorientował, to serce już wiedziało.

Do domu z kościoła przeszliśmy pieszo. Okazało się, że to coś w kole pękło i ten właśnie huk tak konie przestraszył. Dojechać do celu się udało, ale teraz konieczna była naprawa. Młodych po weselu czekała przecież wyprawa do domu Jakuba, do Jabłonki.

„A gdzież teraz koło oni naprawią?”, zatroskała się Mateńka. „Staszek coś zaradzi”, uspokoiła ją gaździna. „Ten chłopak ma smykałkę. Samouk, ale jaki zdolny!”

Po przemowach zaczęła się zabawa. Gwarno było, wesoło, radośnie. Przyjemnie czas mi płynął, ale czegoś brakowało. Nigdzie nie mogłam wypatrzeć Staszka. Pewnie biedzi się z tym kołem, pomyślałam, może nawet tyle mu się zejdzie, że na weselu już się nie pojawi. Ta myśl napętniła mnie smutkiem. Wciąż miałam przed oczami jego twarz.

Aż wreszcie przyszedł! Coś do pana młodego powiedział, widać było, że zadowolony. Gaździna go zaraz porwała, do stołu usadziła, na talerz nałożyła jedzenia.

A potem Staszek wstał, jakby się za czymś rozglądał. Albo za kimś. A kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały... Wyszedł z za stołu i zaczął iść w moim kierunku! Ależ mi serce biło!

„Staszek Morlaczonek, przyjaciel pana młodego, też z Jabłonki” przedstawił się. „A miła panienska zapewne nietutejsza?” „Emilia Majewska. Z Krakowa na wakacje do gaździny przyjeżdżamy co roku”, odparłam, choć gardło miałam trochę ściśnięte. „To pewnie panienska góry już dobrze zna. Ale na weselu góralskim to chyba panienska nigdy nie była?” „Nie”, pokręciłam głową. „To też poznać trzeba. Chętnie będę przewodnikiem. Zaczniemy może od tańców?”

Gardło już całkiem nie chciało słów wypuścić. Kiwnęłam tylko głową.

Muzykanci grali, całą izbę wypełniały dźwięki skrzypiec. Drewniana podłoga dudniła, szerokie spódnice dziewcząt wirowały, zawieszony u powały kolorowe ozdoby z bibuły się kręciły. Zresztą zdawało mi się, że cały świat się kołysze. I ja, w silnych ramionach Staszka...

Rozdział szósty



Specjalnie przyjechałam na dworzec pół godziny wcześniej. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam stację Kraków Główny po remoncie, aż przystanęłam z zachwytem. Wcześniej było tu szaro i ponuro. A teraz – dworzec stylowy, zadbany. Jasne, nie mogło zabraknąć gigantycznej galerii handlowej, ale została ładnie wkomponowana w historyczną tkankę. No i wszystko w odpowiedniej skali – na wyciągnięcie ręki. Kraków zawsze wydawał mi się przytulniejszy od Warszawy. „Pozory”, śmiała się Dorota. „To małe miasto, nie można odetchnąć pełną piersią, i wcale nie mam na myśli smogu. Tu ludzie wiedzą o tobie więcej, niżbyś chciała”. Pewnie miała sporo racji. Warszawa rzeczywiście jest anonimowa, ale czy to zaleta? A mama w końcu wylądowała nawet nie w małym mieście, a w malutkiej wsi.

Sprawdziłam na tablicy przyjazdów, że pociąg z Krynicy Górskiej wjedzie na peron piąty. Jeśli będzie punktualnie, to za dziesięć minut zobaczę babcię.

Był. Osobowy, wtoczył się powoli, z posapywaniem wyhamowując, aż stanął. Zajęłam miejsce przy lokomotywie, żeby mieć dobry widok na wszystkich podróżnych. Dobrze obstawiłam – głowa babci pojawiła się w drzwiach pierwszego wagonu. Podbiegłam, żeby pomóc jej wysiąść.

– Klarunia! – ucieszyła się na mój widok. – Dobrze, że jesteś.

Walizkę mam dość lekką, ale dla starszej pani takie wysokie stopnie to niebezpieczeństwo. Nie po to mnie naprawiali, żebym się teraz popsowała. – Uśmiechnęła się do mnie.

– Jasne, babciu, już biorę.

Walizka rzeczywiście nie ważyła dużo. Moja torba, którą zabrałam na tygodniowy pobyt tutaj, była cięższa, a przecież babcia spędziła w sanatorium trzy tygodnie. Każde kolejne pokolenie otacza się większą liczbą przedmiotów i więcej potrzebuje do życia, pomyślałam prawie filozoficznie.

Postawiłam walizkę na peronie i podałam babci rękę, żeby bezpiecznie zeszła po metalowych schodkach. Były naprawdę strome i do tego miały wąskie stopnie.

Babcia widocznie pomyślała o tym samym, co ja, bo, już bezpiecznie stojąc obok mnie, powiedziała:

– To wejście to taka wprawka przed wyprawą na Jaworzynę – stwierdziła.

– Byłaś?

– Owszem, ale kolejką. Rehabilitantki tak mnie męczyły ćwiczeniami, że w wolnym czasie już tylko się relaksowałam.

– To chyba jedno i drugie bardzo się udało, bo wyglądasz świetnie.

Rzeczywiście, górskie powietrze ewidentnie babci posłużyło, choć zawsze wyglądała dobrze. Starannie uczesana, delikatnie umalowana, schludnie ubrana – wszystkie guziki zapięte, żadna nitka nie zwisała u mankietu, spódnica idealnie odprasowana, buty podzielowane i czyste. Gdyby szukać wzorca nauczycielki, to Elżbieta Majewska nadawałaby się doskonale. To znaczy wzorca z minionej epoki, bo teraz nauczyciele wyglądają raczej jak ich uczniowie. Jeśli są bardzo młodzi, a uczą w liceum, to czasem nawet trudno odróżnić, kto przy jakiej ławce siada. Przechodziłam kiedyś obok szkoły podczas przerwy. Przy ogrodzeniu stały grupki młodych ludzi, rozmawiając, jedząc, niektórzy palili – co prawda, te elektroniczne papierosy, ale wcale nie mam pewności, czy im wolno. W każdym razie usłyszałam, jak jeden chłopak powiedział:

„Ale sorze, no to jak to ma być?”. „Poczekaj, na lekcji wam wytłumaczę”, odpowiedział mu inny, który wyglądał jak jego kumpel. Też miał wpadającą w oczy grzywkę i flanelową koszulę. Pomyślałam wtedy, że dawniej młodzi chcieli szybko dorosnąć i naśladowali starszych, a teraz jest odwrotnie – dorośli kurczowo się trzymają młodości. Na przykład Dorota; ile razy słyszałam od znajomych, że wyglądamy jak siostry. I pewnie to ja byłam uznawana za tą starszą. Ciekawe, skąd u mamy ten luz, skoro i prababcia, i babcia to takie tradycjonalistki, pomijając oczywiście dość nietradycyjne posiadanie dziecka i nieposiadanie męża równocześnie...

– No, to do domu – powiedziała babcia. – Po tej podróży przydadzą mi się dobra herbata i wygodny fotel. Sto kilkadziesiąt kilometrów, a jechaliśmy prawie pięć godzin. A podobno mamy już dwudziesty pierwszy wiek!

– Na kolei o tym nie wiedzą – skwitowałam. – Za dziesięć minut podjedzie zamówiona taksówkę, na postój przy galerii.

– Komunikacją też byśmy dojechały – zaprotestowała babcia, choć słabo. – Po co się narażać na dodatkowe koszty?

– Bo babcię mam tylko jedną – odpowiedziałam.

Naprawdę się za nią stęskniłam.

– Klaruniu, rozgość się, ja tylko się trochę odświeżę i już do ciebie wracam. – Babcia zniknęła za drzwiami łazienki.

Pokaż mi swoje mieszkanie, a powiem ci, kim jesteś. U prababci było stylowo, trochę romantycznie, choć i drobnomieszczańsko – czas się zatrzymał i prawie nic z powojennego stylu nie trafiło na Wiślną. U babci było schludnie, porządnie, bez ozdób. Idealny porządek i ład. Zgodnie z duchem czasu – Nowa Huta, gdzie babcia mieszkała, miała przecież być wzorcowym socjalistycznym osiedlem. W dużym pokoju mieszkały przede wszystkim książki – półkami zabudowano dwie ściany; grzbiety ciągnęły się od podłogi po sufit. Babcia była nauczycielką historii, ale lubiła też inną tematykę, choć przede wszystkim popularnonaukową lub

przyrodniczą. *Dumy i uprzedzenia* na pewno bym u niej nie znalazła.

Zestaw wypoczynkowy ten sam, od kiedy pamiętam – kanapa, dwa fotele i ława. Klasyk lat siedemdziesiątych, a może osiemdziesiątych, z obowiązkowymi kapami. Pewnie dlatego meble zupełnie nie wyglądały na swój wiek, a zresztą nie miał ich kto zużywać, bo Dorota wyjechała na studia do Warszawy i od tego czasu babcia mieszkała sama.

– No to jestem. – Stała w drzwiach salonu. – Pora na coś do jedzenia.

– Babciu, daj sobie spokój, miałaś odsapnąć po podróży, a nie biegać z herbatą – zaprotestowałam.

– Jaką herbatą? Przecież to już pora obiadu. Czas na coś solidniejszego.

– Nie powiesz chyba, że zabierzesz się teraz do pichcenia?

Ta obowiązkowość i pracowitość najwyraźniej były cechami charakterystycznymi Majewskich. To znaczy trzech czwartych Majewskich. Mamie udało się zerwać z tym uzależnieniem od „muszę” i „powinam”.

– A czemu nie? Zresztą zagnieść trochę mąki na kopytka to chyba nie jest wielki problem?

Nie potrafiłam odpowiedzieć, bo nigdy nie zrobiłam kopytek. Ani pierogów, pyz czy klusek. A te babcine były tak dobre, że trzeba by mieć dużo samozaparcia, aby im odmówić. Nie odmówiłam więc. Pomogłam kroić cebulę i słoninę („Wczoraj kupiłam w Krynicy, taką ładną mieli w masarni, że od razu pomyślałam o tobie i kopytkach. No co się tak patrzysz, jaki to problem schować do walizki trzydzieści deka solonej słoniny?”), a potem z niecierpliwością czekałam, aż ciasto zacznie wypływać na powierzchnię wody. Talerz pełen parujących kopytek, delikatnych, aksamitnych, rozpływających się w ustach, okraszonych idealnie zrumienioną cebulą i chrupiącymi skwarkami, przeniósł mnie trzydzieści lat wstecz.

– Dzięki, babciu. Nikt nie gotuje tak jak ty.

– Konkurencja maleje, bo coraz mniej osób chce stać przy kuchni. A to przecież takie proste, sama zresztą widziałaś, ile nam to czasu zajęło.

– Niby tak. Ale najwyraźniej nawet do najprostszych dań potrzeba talentu, bo twoje kopytka są wybitne, a inne – przeciętne – westchnęłam.

– Lat praktyki raczej. Często je robiłam, bo mąka była, a innych produktów brakowało.

– Dałabym się za nie pokroić. W domu chodzę na sushi, pizzę, chińskie i koreańskie dania, a i tak z największym rozrzewnieniem myślę o tym, co mi przygotowywałaś do jedzenia, kiedy byłam mała.

– A może to bardziej o dzieciństwo chodzi, co, Klaruniu? Może po prostu tęsknisz za dawnymi czasami, bo były beztroskie?

Babcia zawsze była dla mnie bardzo dobra. Cierpliwa, spokojna, wyrozumiała. Na pewno bardzo mnie kochała, ale rzadko rozmawiałyśmy w taki naprawdę głęboki sposób, odkrywając zakamarki duszy. Majewskie były pojedyncze, niezależne. Może dlatego nie miały mężów? A może właśnie odwrotnie – to brak mężów sprawiał, że tak twardniały, chowały się w pancerzu?

Babcia wiedziała, oczywiście, o zerwanych zaręczynach, choć taktownie nie dopytywała o szczegóły. A ja niezbyt miałam ochotę w nie wchodzić. Uważałam, że zostać porzuconą, i to już całkiem blisko ołtarza – to jest takie upokarzające. „No dobra, a gdybyś ty zostawiła jego, to czy on też by się czuł poniżony?”, zapytała mnie wtedy Anka. Całkiem przytomnie zapytała, fakt. Stwierdziła, że kiedy ona zostawia jego, to on to traktuje jako jej stratę, a swoje potknięcie, natomiast kiedy on porzuca ją, to jej się wali świat – definitywnie i nieodwracalnie. Postanowiłam przyjąć to tłumaczenie. Oczywiście, to już było kilka tygodni po fakcie, setkach zasmarkanych chusteczek i śmierci prababci. Oraz po tym melodramatycznym rzuceniu pierścieniem zaręczynowym, którego zresztą nie znalazłam, a szkoda, bo gdy opadł pył po największych emocjach, pomyślałam, że mogłabym go zanieść do lombardu, a za

otrzymane pieniądze zrobić sobie jakąś przyjemność. Teoretycznie więc przyznałam rację Ance, bo z pewnością jest mądra, a w jej wywodzie nie doszukałam się żadnego błędu logicznego. Jednak w tym przypadku było trochę tak, jak wtedy, gdy szczupła dziewczyna przekonuje odchudzającą się koleżankę, że każdy może się dobrze czuć w swoim ciele – Anka miała supermęża, ja nie miałam żadnego. A historia rodzinna sugerowała, że być może nieprzypadkowo tak się dzieje. A może historią rodzinną tłumaczyłam sobie własne braki?

– Wiesz, cieszę się, że już jesteś, babciu – odparłam. Była to najprawdziwsza prawda. Towarzystwo seniorki Majewskiej było niezwykle kojące. – Tak mi było nieswojo samej na Wiślniej.

– Wyobrażam sobie. – Poglądziła mnie po dłoni. – Trzeba było zaczekać, aż wrócę. Chętnie pomogę ci sprzątać. Wiesz już, co zrobić z rzeczami? I z samym mieszkaniem?

– Co do rzeczy, to zaczęłam trochę porządkować – powiedziałam ostrożnie, mając w pamięci gwałtowną reakcję Doroty. – Spakowałam drobiazgi z toaletki, do szaf jeszcze nie zajrzałam. Właściwie to powinnam cię zapytać, czy nie chcesz czegoś zabrać, przecież byłaś jej córką.

– Widzisz, u mnie niewiele miejsca. Zresztą i tak wszystko trafi do ciebie. Może tylko bym książki przejrzała? Lubię czytać, a mama miała interesującą biblioteczkę. A dalsze plany co do mieszkania masz?

Pytanie zostało zadane równie lekkim tonem, ale wyczułam w nim napięcie.

– Tak, zdecydowałam się na sprzedaż.

Przez twarz babci przebiegł cień smutku. „Rób, jak uważasz” może być nawet szczerą na poziomie deklaracji, ale emocje rządzą się innymi prawami.

– Nie będę udawać, że nie jest mi troszkę przykro, bo jest, choć wiem, że to nieracjonalne. Po co ci to mieszkanie, to tylko kłopot. Masz swoje życie, swoje sprawy.

– Zastanawiałam się, babciu, ale utrzymanie mieszkania jest

kosztowne i trudne na odległość. Wynajem bywa kłopotliwy, od remontu począwszy, a na niesolidnych lokatorach skończywszy. To chyba jedyne sensowne rozwiązanie.

– Masz rację, Klaruniu. Mnie samą to ukłucie w sercu zastanowiło. Nigdy nie uważałam się za sentymentalną osobę, a tu proszę.

Ciekawe, czego jeszcze się dowiem o Majewskich, przebiegło mi przez głowę.

Nie spieszyłam się na Wiślną. Było jeszcze dość wcześnie i bardzo ładnie. Podjechałam autobusem do Grzegórzek, a stamtąd postanowiłam pójść do domu na piechotę. Nie jestem typem sportowca. „Cała Polska biega”, ale Majewska spaceruje. To moja ulubiona forma relaksu. Iść przed siebie, nie snując się ani nie pędząc, tak żeby móc się przyglądać mijanym krajobrazom.

Nagle poczułam wibrowanie telefonu w torbie. Anka. Jak dobrze, pomyślałam, pewnie ściągnęłam przyjaciółkę telepatycznie, prawdziwe porozumienie dusz.

– No cześć, kochana! – przywitałam ją z entuzjazmem.

– O, słyszę, że humor dopisuje. – Ona chyba też była w dobrym nastroju.

– Wracam właśnie od babci. Najedzona, dopieszczona, spokojna. A ty jak żyjesz?

– Wiesz, że nie najgorzej? Właśnie się wykąpałam...

– Już? – Spojrzałam na zegarek. – Dopiero dochodzi szósta. Rozumiem, że małe dziecko wywraca wszystko do góry nogami, ale to naprawdę wcześnie.

– Raczej późno. – Anka jakby ciut oklapła. – Nie już, a dopiero. Wcześniej nie miałam czasu.

– O. – Tyle zdołałam z siebie wydusić. – Jest aż tak źle?

Anka przez chwilę milczała.

– Nie powiedziałabym, że źle. Jest po prostu inaczej. To jest coś, na co zupełnie nie jesteś przygotowana. Jak poród. Chociaż też nie, poród trwa kilka, góra kilkanaście godzin i, oczywiście, boli jak

cholera, ale w którymś momencie następuje koniec. Zadanie wykonane, wszyscy ci gratulują, jaka byłaś dzielna i że dziecko śliczne, zdjęcia, kwiaty, jesteś królową. A potem mija kilka dni i sytuacja wraca do normy, to znaczy dla innych wraca do normy, a dla ciebie wszystko dopiero się zaczyna. Mąż do pracy, koleżanki do pracy, a ty zostajesz na dwudziestoczterogodzinnym dyżurze bez zastępstwa. I tak dzień po dniu. Na coś takiego nie można się przygotować.

– Anka, a może ty masz depresję poporodową? – zapytałam czujnie.

– Nie, na pewno nie. Nie jestem załamana, zła, nie mam myśli samobójczych ani nie chciałabym wyrzucić Zosi przez okno. Ja jestem po prostu piekielnie zmęczona. I strasznie szczęśliwa – dodała już radośniejszym tonem.

– Wiesz, to jednak jest trudne do zrozumienia, jak się nie ma dzieci. Teoretycznie to wiem, co chcesz mi powiedzieć, ale praktycznie nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Bo to jest po prostu kosmos. Dziecko robi ci z głową coś takiego, że wszystko ci się w życiu przestawia. Mądrze natura wymyśliła te hormony przywiązania – rodzisz, cierpisz, przeżywasz katusze, myślisz „kurwa, nigdy więcej”, zastanawiasz się, czy w takich właśnie mękach umierali wbijani na pal, a potem kładą ci na brzuchu oślizgłego, równie wymęczonego jak ty bobasa, on otwiera oczy, wasze spojrzenia się spotykają i... przepadłaś. Skoczyłabyś za nim w ogień, życie oddała, ty się nie liczysz, liczy się on. Witaj w macierzyństwie!

Pomyślałam, że też bym chciała trafić do tej samej galaktyki co Anka. Na pewno była jeszcze obolała, zmęczona, niedospana, ale już dawno nie słyszałam w jej głosie takiego entuzjazmu i szczerego szczęścia. Anka musiała się domyślić, co mi w duszy zagrało, bo zapytała:

– A powiedz, jak twoje sprawy w Krakowie? Wszystko idzie gładko? Dobra odtrutka na warszawskiego dupka?

Zaśmiałam się:

- Tu też jest inny świat. I kategoria wiekowa z drugiego końca osi – sami seniorzy. W pralni, w sklepie, w barze, w tramwaju...
- Uuuu, no to szanse na poznanie przystojnego bruneta niewielkie?
- Zerowe, bym powiedziała.
- Nie martw się, znajdziemy ci kogoś w Warszawie. A kiedy wracasz?
- Urlop wzięłam na dwa tygodnie i chyba się wyrobię. Sprzątam, bo trzeba zrobić zdjęcia, żeby agencja mogła wystawić mieszkanie na sprzedaż.
- Już podpisałaś z nimi umowę?
- Nie, pan Tomek ma przyjść jutro, to załatwimy formalności.
- Pan Tomek też ma sto lat?
- Nie, około czterdziestki.
- O! No i co?
- I nico.
- A co z nim jest nie tak? Agenci nieruchomości też mogą być fajnymi facetami!
- Chyba jest fajnym facetem. Jest świetnie ubrany, niezwykle miły, nieustająco uśmiechnięty, budzący zaufanie. I zupełnie mną niezainteresowany.
- Bo może zrobiłaś jedną z tych swoich ponurych min? Albo całą sobą dawałaś znać, że nie zasługujesz na miłość i żeby nikt przypadkiem nie próbował wyprowadzić cię z błędu?
- No weź, nic z tych rzeczy. Przecież bardzo bym chciała poznać jakiegoś sensownego faceta.
- To co poszło nie tak z tym panem Tomkiem?
- Nic. On chyba po prostu woli facetów, no wiesz...
- Aj! Szkoda, bo z opisu tak dobrze się zapowiadał.
- Właśnie to, że tak dobrze się zapowiada, od razu wzbudziło moją czujność. Za dużo zalet na pierwszy rzut oka. Kulturalny, uprzejmy, miły. I tak ładnie wyglądał. Nie znam się jakoś super na modzie, ale on był bardzo fajnie ubrany – z klasą i na luzie.
- No. To zawsze daje do myślenia: „Ona ogląda się za tymi, no

wiesz, lepiej ubranymi. Och, to prawdopodobnie geje, tak, taką masz nadzieję”, jak u Bukartyka. No nic, może przynajmniej mieszkanie dobrze ci sprzeda.

– Na to liczę. Choć...

– Choć co?

– Jakoś mi smutno. Wiem, że to jedyne rozsądne posunięcie, ale czuję... nawet nie umiem ci tego wytłumaczyć. To coś dziwnego. Oczywiście, brak mi prababci, ale przecież wiem, że dożyła pięknego wieku, a z prawami natury się nie wygra. Rzecz w tym, że teraz, kiedy tu jestem, zastanawiam się, jak dobrze ją znałam. Sprzątam w jej szufladach, oglądam jej rzeczy i chyba nie wiem, jaka była naprawdę. I to samo myślę o mamie i babci. Ty się zawsze z nas śmiejesz – klan Majewskich, cztery pokolenia niezwykłych kobiet. A ja się teraz zastanawiam, jakie my naprawdę jesteśmy.

– No jasne, że fantastyczne! Silne, mądre, niepowtarzalne.

– Rzeczywiście. Dziedziczna samotność jest niepowtarzalna.

– Och, Klara, daj spokój! Nie pozwolę, by ten twój nedorobiony narzeczony tak ci psuł humor! Był i się zmył, i dobrze. Zjawi się następny, zobaczysz.

– A jak nie? – Jednak nie udało mi się odegnąć niepewności.

– A niby dlaczego nie?

– Bo to jakieś cholerne fatum! – wybuchłam. – Od stu lat w rodzinie rodzą się same dziewczynki i każda samotnie idzie przez życie.

– Twoja matka akurat nie – weszła mi w słowo Anka.

– No dobrze, ma Marka, a wcześniej tabuny innych, ale za mąż nigdy nie wyszła. Chodzi mi o to, że ani babcia, ani mama, ani ja nie poznałyśmy swoich ojców. Emilia urodziła Elżbietę i sama ją wychowała, Elżbieta urodziła Dorotę i sama ją wychowała, Dorota urodziła mnie i wychowała mnie sama, a właściwie razem z babcią. Sto lat, żadnego ślubu! A ja to chyba nawet samotną matką nie zostanę! To musi być jakieś fatum, jak to inaczej wytłumaczyć. – Kompletnie się rozkleiłam. Szłam przez Planty i pociągałam

nosem.

– Oj, oj, oj – zatroskała się Anka. – A to niby ja jestem rozchwiana hormonalnie. Klarunia, żadne fatum, przecież nie wierzysz w takie brednie. Tak się po prostu złożyło. Nie doszukuj się drugiego dna. Wiesz co, gdy tylko wrócisz, wpadnę do ciebie. Zosia śpi trzy godziny po wieczornej kąpieli, to ja wtedy szybko w auto i od ósmej do wpół do jedenastej jestem tylko dla ciebie. Co ty na to?

– Jesteś kochana – wybąkałam, trochę zawstydzona swoim wybuchem. W Warszawie lepiej trzymałam fason.

– No to jesteśmy umówione. A teraz cię całuję i pędzę, bo ssak się obudził.

Doszłam już do Wiślniej. Z daleka widziałam trzy lipy, wspaniale ozłoczone zachodzącym słońcem. Romantyczny widok, pasujący raczej do sielskich krajobrazów niż do centrum Krakowa. Lipy nie tylko są piękne i obłędnie pachną, lecz także od dawna ceni się je jako rośliny lecznicze, bo działają przeciwzapalnie, łagodząco, uspokajająco. Od czasów liceum interesowałam się roślinami. Na studiach też miałam zajęcia z ziołolecznictwa, jednak apteki są nastawione na „twarde” leki, „ziółka” traktują z przymrużeniem oka. Ludzie kupują lekarstwa na potęgę – te na receptę i te bez recepty. Każda najmniejsza dolegliwość wymaga natychmiastowego unicestwienia, najlepiej radykalnie. Równie chętnie proszą o coś „wspomagającego”, „zapobiegającego” lub „wzmacniającego odporność” – to wszystko między pączkiem, colą a wieczorem przed telewizorem. A wystarczyłoby, żeby zmienili dietę, ruszyli tyłki z kanap albo przynajmniej łykali naturalne preparaty.

Napar z lipy przydałby się i mnie. Już dawno nie miałam tak wyczerpującego emocjonalnie urlopu. Zamiast herbatki ziołowej kupiłam jednak miód pitny, też zdrowy, bo zrobiony z miodu lipowego i ze wzmocnioną mocą uspokajania – w tym wypadku wynosiła ona 16 procent. Przydało się, bo kiedy już dotarłam do domu, rozebrałam się i weszłam do wanny, przypomniało mi się, że

piecyk nie chce współpracować. O ile w dbaniu o zdrowie cenię naturalne metody oparte na działaniu roślin, o tyle zupełnie nie rozumiem na przykład zimnych, ponoć hartujących pryszniców. Darłam się, gdy lodowate szpilki atakowały moje ciało, a po szybkim myciu zawinęłam się w ręcznik i pognałam do łóżka. Na półeczce czekał na mnie mój półtorak i wyjęty z kredensu kieliszek. Pierwszy wypiałam na rozgrzewkę. Drugi – za pamięć prababci Emilii. Trzeci – w intencji pomyślnego załatwienia spraw w Krakowie. Czwartym opiłam narodziny Zosi. Piąty był za zdrowie babci, żeby biodro już jej nie dokuczało. Szósty miał mi zapewnić fajnego faceta, ale rano nie mogłam sobie przypomnieć, czy go wychyliłam, czy raczej wylałam. Ewentualnej poprawki nie mogłam dokonać, bo butelka była pusta.

Rozdział siódmy



„W alkoholu można utopić rozum, ale nieszczęścia się nie da”. Nie pamiętałam, gdzie przeczytałam to zdanie, ale całkowicie się z nim zgadzałam. Wcześniej czysto teoretycznie, po wieczorze spędzonym sam na sam z miodem pitnym – już także praktycznie.

Czułam się fatalnie. Bolała mnie głowa, wypiłabym pół Wisły, w żołądku piekło. Brak umiaru zawsze się zemści. Gdybym poprzestała na jednym kieliszku, zapewniłabym sobie szybki i spokojny sen, a po nim – pogodne przebudzenie. Tymczasem z łóżka ściągnęło mnie bulgotanie w żołądku, a mimo że spałam prawie dziesięć godzin, nie czułam się wcale bardziej wypoczęta niż poprzedniego wieczoru.

Zimna woda trochę postawiła mnie na nogi. Poczulałam się ciut lepiej, niestety, lustro twierdziło, że jeśli idzie o wygląd, to poprawy nie ma żadnej – patrzyłam na bladą, lekko opuchniętą trzydziestolatkę z przekrwionymi oczami. Rany, co się ze mną dzieje?, pomyślałam. Zawsze byłam taka rozsądna, nawet gdy byłam nastolatką, kiedy to – podobno – hormony buzują i dostaje się małego rozumu. Nie, ja się wtedy grzecznie uczyłam, wracałam do domu przed dwudziestą drugą, zapach papierosów mnie odstręczał, z alkoholu piłam szampana – jeden kieliszek w sylwestra. Żadnych szaleństw. To może teraz nadrabiam?...

Na kaca jest tylko jedna metoda – solidny posiłek, a po nim

umiarkowany ruch fizyczny. Szybko się ubrałam i zeszłam do najbliższego sklepu. Kupiłam kajzerki i jajka. Po dużej porcji jajecznicy i dwóch filiżankach kawy poczułam, że wstępuje we mnie życie. Pan Tomek zapowiedział się na dwunastą, więc miałam jeszcze ponad godzinę.

Zdecydowałam się na spacer. Słońce świeciło, co dziś cieszyło mnie podwójnie – po pierwsze, jestem słońcozależna – kiedy go brak, wpadam w zły nastrój, a po drugie, mogłam się schować za ciemnymi okularami i nie straszyć ludzi swoim wyglądem. Na wysokości Wawelu usiadłam na ławce i przez dobry kwadrans wystawiałam twarz do grzejących promieni. Poczulałam miłe ciepło na policzkach i zapadłam w krótką drzemkę. Kiedy się przecknęłam, zobaczyłam, że jest wpół do dwunastej. Szybkim krokiem minęłam Jubilata, zaraz za nim skręciłam w prawo, zrobiłam kółko Plantami i za pięć dwunasta, lekko zdyszana, stanęłam przed drzwiami frontowymi. Zdjęłam okulary, wrzuciłam je do torebki i wyjęłam klucze.

Kiedy ściągnęłam buty i odwiesiłam torebkę na haczyk w przedpokoju, usłyszałam dźwięk domofonu. Pan Tomek, któremu do listy zalet dopisałam punktualność.

– Dzień dobry! – przywitałam go chwilę później raz jeszcze, tym razem w salonie prababci Emilii.

– Fantastyczny widok! Wart wszystkich pieniędzy! – wykrzyknął podekscytowany, podchodząc do okna, za którym zieleniły się lipy. – No, na pewno wart bonusu – sprostował, przejeżdżając palcem po framudze okna – już czystej, ale z ewidentnymi ubytkami w farbie. Rozejrzał się po pokoju – zmierzył wzrokiem ściany (od kiedy nie było zasłon i więcej światła docierało do środka, jasne się stało, że to nie ciemniejszy odcień żółtego, tylko warstwa brudu się na nich osadziła), piec kaflowy (trochę osmolony), sufit (spękania, niestety), parkiet (tu akurat wszystko wyglądało świetnie, trzeszczenie słychać, ale go nie widać) i westchnął. – Pani Klaro, jeszcze chętnie bym obejrzał pozostałe pomieszczenia, jeśli pani pozwoli – powiedział.

– Oczywiście, już pokazuję. – Zrobiłam krok w jego stronę, ale powstrzymał mnie ruchem ręki.

– Nie, nie będę kłopotał. Pani chyba dzisiaj... zmęczona? – zapytał z uprzejmą troską.

Poczułam ciepło wypełzające na policzki. No oczywiście, że nie sądzi, że to początki grypy, tylko że wczoraj przeholowałam z alkoholem. Co on sobie o mnie pomyśli?

– Ludzie często przeżywają rozstanie z mieszkaniem, nawet jeśli w nim nie mieszkali, tylko je odziedziczyli. To miejsce to przecież kawałek życia – ich albo ich rodziny. Wspomnienia, pamiątki, tajemnice. To budzi emocje, z którymi nie zawsze łatwo się uporać. – Podeszedł i położył mi rękę na ramieniu. Najwyraźniej jednak nie pomyślał o mnie źle. – Ja to wszystko rozumiem. – Uśmiechnął się przyjacielsko. – Proszę sobie usiąść przy stole, przeczytać naszą umowę na pośredniczenie w sprzedaży, a ja zrobię szybki obchód i zaraz wracam.

Umowa była prosta, zaledwie dwustronicowa i nie doszukałam się w niej żadnych haczyków. Wygrzebałam z torebki długopis i złożyłam swój podpis na obu egzemplarzach. Z jednej strony nadal było mi przykro, że pozbywałam się, jak to pan Tomek określił, „kawałka życia rodziny”, ale z drugiej byłam jednak dumna, że zajmuję się wszystkim sama. Postanowiłam też, że kiedy wrócę do domu, poszukam jakiejś solidnej i dobrej lokaty dla pieniędzy ze sprzedaży Wiślniej. Na razie wszystkie jesteśmy zdrowe, ale kto wie, jak się losy potoczą? A liczyć możemy przecież tylko na siebie.

– No to jestem. – Pan Tomek pojawił się w salonie po mniej więcej dziesięciu minutach. – Widzę, że podpis jest, czyli wątpliwości brak.

– Owszem, wszystko jasne, możemy działać. To teraz pora na zdjęcia?

Pan Tomek przysunął krzesło, żeby usiąść blisko mnie. Uspokajająco kilka razy delikatnie poklepał moją dłoń swoją.

– Pani Klaro – powiedział ciepłym głosem – kiedy myśli pani „dom”, to co pani czuje?

– No... – zaczęłam mało elokwentnie, ale zbił mnie tym pytaniem z pantafelku. Rzeczywiście, nawet jeśli nie woli facetów, to przekreślałam swoje szanse na każdy możliwy sposób – i wyglądem, i bystrością. – Dom to miejsce, gdzie się mieszka.

– Tak – zgodził się miło – ale ja zapytałam, co pani czuje.

Co ja czuję? Pytanie niby proste, ale odpowiedź jakoś nie chciała do mnie przyjść. Pan Tomek mnie wyręczył:

– Dom to azyl. Nasze miejsce na ziemi. Tu wracamy po ciężkim dniu i odpoczywamy. Tu doświadczamy najbardziej intymnych przeżyć: kochamy się, płaczemy, zwierzamy, jesteśmy sobą. Dom to schronienie, w którym czujemy się bezpiecznie i dobrze. Prawda?

– Prawda – przytaknęłam. Nie ujęłabym tego tak ładnie. Chyba dlatego, że wciąż bardziej myślałam, niż czułam.

– Otóż to. Ludzie, którzy szukają mieszkania, szukają takich właśnie emocji. Oczywiście, mają ustalone określone warunki: cena, lokalizacja, piętro, ale kiedy oglądają zdjęcia, przełączają się z trybu racjonalnego na tryb emocjonalny. Wyobrażają sobie siebie w tych wnętrzach, snują plany. A żeby tak się stało, coś ich musi chwycić za serce – serce to słowo klucz, pani Klaro. – Patrzył na mnie ciepło, uśmiechając się. – A my musimy im to dać.

– Serce? – upewniłam się.

– Tak. Wszystko w życiu musi być podszyte sercem. A zatem... – Wstał na chwilę od stołu, żeby podnieść torbę, którą zostawił na dywanie przy szafie. – Coś pani pokażę.

Wyciągnął płaszczyk, nieduży srebrny laptop, który włączył się w sekundę i bez dźwięku. Pan Tomek był romantyczny, ale chyba lubił gadzeciarski sprzęt. Mój laptop przy tym cudelku wyglądałby jak zakurzony eksponat z Muzeum Techniki.

– Czy kupiłaby pani coś takiego? – Najechał kursorem na folder i otworzył go.

Zobaczyłam zdjęcia jakiegoś mieszkania. Było okropne. Długi, ciemny przedpokój z krzywo ustawionymi butami przypominał piwnicę, zagracony salon z krzykliwą tapetą i wieloma drobiazgami, tak że nie wiedziałam, na czym oko zawiesić,

a kuchnia, oświetlona nieprzyjemnym białym światłem, wyglądała jak laboratorium, a nie jak miejsce, gdzie się chce zjeść pomidorową.

- Nie, paskudne jest. – Wzdrygnęłam się.

- A to? – Pan Tomek kliknął w kolejny folder.

Tym razem oglądałam zupełnie inne wnętrza. Kuchnia tonęła w naturalnym świetle, które delikatnie przebijało przez lniane zasłony. Sielskości dodawały jej przedmioty z naturalnych materiałów – drewna i gliny: miska z owocami, zioła na oknie, podkładki na stole. Salon był urządzone ze smakiem, choć wcale nie designersko – kilka sprzętów, jeden ładny obraz na ścianie, na niedużym stoliku zestaw świec. Przedpokój przywoływał na myśl wakacje w Grecji – biel biła po oczach, głęboki niebieski ślicznie z nią kontrastował. Prawie poczułam zapach morza.

– To jest bardzo przytulne. Aż chciałoby się wejść, wypić kawę i zostać.

– Doskonale. I o to nam właśnie chodziło. Bo widzi pani, pani Klaro, to to samo mieszkanie, tylko po liftingu.

Z niedowierzaniem patrzyłam na zdjęcia. Różnica była kolosalna. Pierwsze mieszkanie odstręczało, było ponure, nieprzyjemne, spędzenie w nim choćby pięciu minut wydawało się estetyczną udręką. Drugie – sam urok. Ale rzeczywiście, jeśli się dokładnie przyjrzeć...

Pan Tomek najwyraźniej ucieszył się z mojego zdziwienia.

– I taki efekt chcielibyśmy osiągnąć u pani. Bo jeśli zrobię zdjęcia teraz, tak jak jest, to... – Zacmokał z troską.

– Nie będzie dobrze – dokończyłam za niego. – Ale nie wiem, czy ja potrafię, przecież tu by potrzeba jakiejś ekipy remontowej, architekta wnętrz, *Dorota was urządzi* czy jak to tam było. Ja się na tym zupełnie nie znam.

– Czuć trzeba, czuć! – Pan Tomek teatralnym gestem położył rękę na piersi. – Istnieje kilka zasad, o których pani opowiem, a potem to już tylko trzeba słuchać, co w duszy gra. Po pierwsze: ma być jasno. Przytulne wnętrza to takie, w których jest światło. Jak się

da, to się korzysta z tego, co za oknem, jak się nie da – trudno, trzeba żarówki. Oświetlenie musi być przyjemne dla oka, jarzeniówki są dobre w zakładach pracy. Mniej znaczy lepiej, czyli chowamy wszystkie ozdóbki, figurki, wazoniki, serweteczki i to, co zbiera kurz. Zostawiamy kilka dekoracji, dopasowanych kolorystycznie. Tak samo ze sprzętami – dom to nie sklep meblarski, natłok powoduje chaos, a my chcemy harmonii. Ważne są dodatki: efektowne ubranie okna, zbliżenie na piec, przy którym stoi wiklinowy kosz z kilkoma szczapami drewna, ujęcie stołu z kołkową serwetą, a na niej stary wazonik z bukietem konwalii.

– Ale przecież miałam sprzedawać, a nie remontować? – próbowałam się bronić, nagle onieśmielona frontem robót, które mnie czekały.

– No skąd remont, to by była mordęga! – Pan Tomek zamachał rękoma. – My mamy niedużym kosztem wydobyć piękno. Z solidniejszych prac zalecam malowanie. Ma być białe, to idealne dla starych wnętrz, całość wyszlachetnieje, będzie gustownie i elegancko. Proszę pamiętać, pani Klaro – wszystko się opiera na emocjach! Kto kupuje dom, ten kupuje marzenie!

Odmalować to mogę, pomyślałam, choć bez zbytniego entuzjazmu. Spojrzałam na podłogę i powędrowałam wzrokiem ku sufitowi. To była długa droga, bardzo długa.

– Dobrze, a jak już pomaluję, to...?

– To czas na dodatki, wedle wskazówek.

– Czyli mam zrobić po prostu takie kobiece wnętrze?

– Zdecydowanie!

– A to nie zrazi facetów, którzy by byli ewentualnie zainteresowani? – Zaniepokoiłam się nagle.

– Pani Klaro, kiedy facet szuka mieszkania, to zwykle nie zwraca uwagi na dekoracje. Interesuje go konkret: instalacje, okna, drzwi, papiery. Jeśli się go nie przerazi wystrojem jak z okładek harlequinów, to w zasadzie jest mu wszystko jedno, bo potem wstawi kanapę, telewizor, biurko, komputer. I tyle mu wystarczy. No chyba że to mężczyzna wrażliwy na piękno – ja bym na

przykład inaczej oglądał i urządzał mieszkanie, ale ja jestem inny, prawda?

A jednak – mam intuicję i ona mnie nie myliła. Przynajmniej raz w życiu.

– A gdy kupuje z kobietą, to ona przejmuje pałeczkę i szuka właśnie tego, o czym mówiliśmy.

W duchu przyznałam mu rację. To wszystko brzmiało sensownie, choć, niestety, oznaczało więcej pracy, niż myślałam.

Umówiliśmy się na przyszły tydzień. Nie było co zwlekać, zwłaszcza że urlop nie będzie trwał wiecznie. Jedząc obiad w Poziomce, przejrzałam w komórce rady na temat prac remontowych. Teoria wydawała się prosta – farby są teraz świetne, kryją po pierwszym malowaniu i nie śmierdzą. Wałki mają specjalne futerka czy tam gąbki, nic z nich nie kapie, suną po ścianie jak mercedesy po niemieckich autostradach. Jeśli jest tak wysoko, jak na Wiślniej, to się kupuje specjalne teleskopowe rączki i po problemie. Najedzona i zachęcona optymistycznymi artykułami w sieci i filmikami instruktażowymi na YouTube, wyszukałam najbliższy market budowlany, który gwarantował, że zrobi ze mnie bohatera domu. Co prawda, nic nie mówił o bohaterkach, ale miałam nadzieję, że to kwestia języka, a nie rzeczywistych możliwości kobiet.

Zasypiałam zmęczona. Myśli kłębiły mi się w głowie. Od kilku dni przeżywałam prawdziwą karuzelę emocji. Do Krakowa przyjechałam poobijana po rozstaniu z Pawłem i przerażona wizją samotnego pakowania życia prababci Emilii. Najgorętsze łyżki już obeschły, Wiślna 3 wydawała się już trochę oswojona, ale ja wciąż z lękiem patrzyłam w przyszłość. Paweł był moją gwarancją na przerwanie losu Majewskich. Kiedy poprosił mnie o rękę, poczułam, że wyrywa mnie z kręgu panieństwa, w którym kobiety z naszej rodziny przebywały od wielu lat. Był jak księżę z bajki, który przybywa na rączym rumaku i wiezie mnie ku szczęśliwej przyszłości. Jednak nie dojechaliśmy do jego zamku – on

pogalopował tam z inną księżniczką.

Dokąd mnie teraz los poprowadzi? Z tym pytaniem zasnęłam.

Rozdział ósmy



8 sierpnia 1939 roku

Dziś obudziłam się dopiero koło południa. W domu ruch, nie wiem, czy jeszcze się nie położyli, czy już wstali. Poprawiny trwają.

Staszka widziałam, ale nie było sposobności, by porozmawiać, poza krótkim przywitaniem. Drużba ma swoje obowiązki, Mateńka nalegała na spacer – że dzień taki piękny, a gaździna ma urwanie głowy i żeby jej nie przeszkadzać. Poszliśmy nad potok.

9 sierpnia 1939 roku

Marysia i Jakub odjechali do Jabłonki, zacząć nowe życie.

Smutno.

Smutno, bo Staszka już nie zobaczę, tak powinno brzmieć to zdanie, bo przecież nie o Marysię mi chodzi.

Nie potrafię sobie miejsca znaleźć. Szarpie mną jakaś tęsknota, smutek nieznan.

Poznać mężczyznę, spędzić w jego towarzystwie kilka godzin, a potem tęsknić tak, jakby pół serca zabrał?... Przedziwne uczucie – ból i radość jednocześnie.

Nigdy bym nie przypuściła, że sprawy między ludźmi tak prędko mogą się rozwinąć. To jeszcze do pomyślenia, gdy dwie panienki się poznają. Rozmowa, opowiadanie o swoich zainteresowaniach – szybko się okaże, czy może je przyjaźń połączyć. Jeśli z podobnych

domów są, w zbliżonym środowisku wzrastały, to może się okazać wystarczającym do tego, by trwała więź sympatii je oplotta.

Ale tu, w naszym przypadku...

Przecież to męczyzna, ta płć odmienna, nieprzenikniona, skrywająca tyle tajemnic, z których część ponoć na zawsze pozostaje niedostępna dla wiedzy kobiecej i kobiecego serca – tak to przynajmniej w literaturze przedstawiane... Zresztą nie tylko w powieściach ten obraz występuje – gdy na Mateńkę i Ojca patrzę, również to widzę. Dwa światy z nikłą częścią wspólną.

Druga sprawa to środowisko. Dzieli nas tu wszystko – chciałam napisać: prawie wszystko, ale po namyśle nic wspólnego nie znalazłam: ja z domu dostatniego, mieszczańskiego. Jego familia góralska, od dziesiątek lat w tej samej dolinie żyjąca.

No więc jak to się stać mogło?...

Staszek do mnie podszedł z taką pewnością, z determinacją prawie, jakby to była najoczywistsza sprawa pod słońcem. Nie było w tym nic natarczywego czy ordynarnego. I ja tak samo odpowiedziałam. Choć nigdy bym sobie nie wyobraziła nawet, że tak to przebiegać może – bez przygotowanego gruntu, podchodów swoistych, proszonych herbatek, spacerów z przyzwoitką.

A potem żeśmy rozmawiali, jakbyśmy się znali od wieków. Z tematu na temat, jak najwięcej chcąc powiedzieć, jak najwięcej chcąc wysłuchać. I już po chwili, naturalnie najzupełniej, nie było panienki i pana, tylko Milka i Staś. I dłonie się naturalnie musnęły, a potem palce pod stołem splotły.

A w tańcu... Sercami tańczyliśmy.

We wszystkim tym nasze serca były obecne.

„Dziś oni najważniejsi. I miłość”, tak powiedział do gaździny.

A gdyśmy się żegnali, ja wyszeptałam mu do ucha: „Dziś miłość najważniejsza. I my”.

12 sierpnia 1939 roku

Dziś kolejna wycieczka w góry, tym razem na Nosal. Pogoda piękna; sierpień to już dostojne lato, wciąż bardzo ciepło, ale upał

nie męczy. Łąki zielone, nabrzmiące kwieciami, obłądnie pachną. Towarzystwo miłe, nasz przewodnik świetnie się sprawił. I nawet buty mnie nie obtarły.

A i tak radość przygaszona.

15 sierpnia 1939 roku

Matki Boskiej Zielnej. Rano zrywałam z Mateńką kwiaty do bukietu, gaździna przygotowywała dary do poświęcenia. Do południa słonecznie, a potem, akurat gdy z kościoła wracałyśmy, to nagle się zachmurzyło, jakby kto szarym kocem niebo przykrył. Kwadrans niecały i taka się burza rozpętała, że calutkie przemokłyśmy, nim żeśmy do domu dobiegły.

Po południu padać przestało, ale słońca już nie było. Poszłyśmy z Mateńką do zaprzyjaźnionych wakacjuszy na poobiednią herbatkę. Rozmowa zesłała na trudne tematy. Pan Michał, mąż pani Anieli, zaczął się zastanawiać, jaki los by nas czekał, gdyby jednak do wojny doszło. Czy tak samo sprawnie by się wojsko nasze uporało z niemieckim najeźdźcą, jak Marszałek w 1920 roku z bolszewikami? Mateńka twierdziła, że walk zbrojnych nie będzie, bo to by znaczyło złamanie postanowień, które zatwierdzono w Monachium. Pan Michał zaś dowodził, że ktoś taki jak Hitler nie odpuści i nie zakończy swoich awantur rewizjonistycznych. „Michale, ale my przecież mamy sojuszników!”, przypomniała mu rozgorączkowana pani Aniela. „Francja i Anglia, dwa silne państwa. W tym układzie wojna nie wydaje się możliwa”. „Przyjaźnie można nazwać przyjaźniami, gdy przejdą próbę ognia. A tej jeszcze nie było”, odpowiedział pan Michał, pełen sceptycyzmu.

Zrobiło się jakoś złowrogo. Od tygodni się mówiło o możliwej wojnie, ale tak jakby teoretycznie. Nic się przecież nie zmieniało: lato trwało, słońce świeciło, ptaki śpiewały, ludzie wyjeżdżali na wakacje. Niemniej ta obawa nie zniknęła; dziś ją po raz kolejny przywołałyśmy.

Na domiar złego pod wieczór gaździna przyniosła druzgocącą wiadomość: pięciu harcerzy i ich opiekun zginęło od uderzenia

*pioruna na szczycie Świnicy. Jaka tragedia!
I wciąż nie mogę przestać myśleć o Staszku.*

19 sierpnia 1939 roku

Dziś przyjechała do gaździny kuzynka. Przywiozła pozdrowienia od Marysi i podziękowania dla Mateńki za „prześliczny prezent” – prawda, komplety pościeli były cudowne. Ponoć wszystko dobrze, młodzi zgodnie żyją z teściami, zwłaszcza że Jakub to syn najmłodszy. Trzech, dużo starszych, już dawno na swoim, w domu tylko on został. „Teraz to całkiem inaczej będzie. Młodzi weseli, rozmowni, w chałupie jakby słońce za chmur wyszło. Nowe życie, bo i zaraz pewnie dzieciaki się pojawią”.

Mateńka się zarumieniła, gaździna roześmiała.

Kuzynka pożegnała się i do wozu poszła.

A ja pomyślałam o Staszku. I wtedy, jakbym bez słów się z nią porozumiała, kuzynka odwróciła się w moją stronę, strapiona, ale i ucieszona: „Byłabym zapomniała. List dla panienki mam”. I wcisnęła mi do ręki kopertę, która na ławie wozu, pod kocem leżała.

Oniemiałam. Nim cokolwiek zdążyłam powiedzieć, szepnęła mi tylko na ucho: „Stach dał”. I pojechała. Obejrzałam się; Mateńka z gaździną zajęte, nic nie zauważyły. Serce mi tak waliło, jakby z piersi chciało wyskoczyć. Powiedziałam, że przejdę się przed obiadem, i na miękkich nogach skierowałam się nad strumień.

Usiadłam na dużym kamieniu, pod rosnącym świerkiem. Pachniało żywicą, łopianami, potok głośno szemrał. Wyciągnęłam wsuniętą w mankiet kopertę. Trochę już pogiętą, z ładnie ząbkowanym zamknięciem. Oстрыm patyczkiem rozdarłam wierzch i zaczęłam czytać:

„Najmilsza Moja!

Piszę, bo tęsknota mnie zjada. Od kiedy się rozstaliśmy, myślę o Tobie bez ustanku. Opanowało mnie uczucie, które wykracza daleko poza wszystkie moje doświadczenia. Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego – by w tak krótkim czasie ktoś stał mi się tak bliski.

Niezwykły stan. Czuję, jakbym Ciebie, Najmilsza, znał od dawna. Zarazem jednak jest we mnie nieposkromiona ochota, by się do Ciebie zbliżyć coraz bardziej, by nasze dusze splotły się, stopiły w jedność.

Wybacz mi tę śmiałość; choć wiem, że wybaczysz, bo i Ty podobnie myślisz. Od razu, gdy nasze spojrzenia się spotkały, poczułem to wzajemne przyciąganie.

Prawie całą noc żeśmy rozmawiali – w izbie, na spacerze. Między tym tańce, Twoja gibka kibić otulona moim ramieniem; moje prowadzenie, Twoje oddanie. Czy można tak zgodnie, tak płynnie przepędzić tyle czasu z dopiero co poznaną osobą? Można, jeśli Przeznaczenie (umyślnie przez P wielkie pisane) postawi dwoje ludzi na wspólnej drodze.

I tak się czuję – Tobie przeznaczony. I czuję, że Ty przeznaczona mnie jesteś.

To jednak wcale nas nie zwalnia z wysiłku – słodkiego, ale wymagającego pracy. Odnależliśmy się, dwa ziarenka wśród milionów, teraz reszta w naszych rękach. Nie wolno nam zaprzepaścić tego cudu.

Wiesz już, że góry, moja kolebka ukochana, nie zostaną moim domem na całe życie. Świat mnie pociąga; nauka mnie interesuje, sprawy techniczne. Moim marzeniem, do realizacji którego się przygotowuję, jest matura. I, jeśli Bóg dopomoże, dalsza droga.

Ty jesteś dodatkowym, ogromnym napędem, by to marzenie urzeczywistnić. Od czasu tego wesela czuję, że mój cel ważniejszy, a Twoje wsparcie dodaje mi skrzydeł.

Wiem, że niebawem wraz z Matką do Krakowa wracacie. Nim to się stanie, jeszcze Cię odwiedzę. A potem będę pisał, a jak się sposobność nadarzy, przyjadę i do Krakowa. Gdzie Ty, tam i ja. Wybacz mą śmiałość.

*Tymczasem całuję Cię najgoręcej
Twój oddany S.”*

Rozdział dziewiąty



Świat, który pokazują reklamy i kolorowe magazyny, nie jest jednak prawdziwy. Kto by pomyślał, prawda? Kiedy byłam młodsza, serio traktowałam to, co tam przeczytałam lub zobaczyłam. Ładne dziewczyny w moim wieku, które nie miały z niczym problemu, a nawet jeśli miały, to go usuwały skutecznie i już. Nogi gładkie jak tafla szkła, i to przez sześć tygodni, podczas gdy moje wyglądały, jakby je dopadł atak ospy – całe w czerwonych kropeczkach, a depilacja była skuteczna na góra tydzień. Nosy bez zaskórników, broda matowa – wszystko dzięki tonikowi. Wcierałam i ja, aż skóra zaczęła mi się łuszczyć. Kiedy przestałam, problem wrócił. Patrzyłam na te zdjęcia, potem na siebie i zamiast żyć piękniej, bardziej kolorowo, to utwierdzałam się w przekonaniu, że jestem gorsza, brzydsza, wybrakowana. Ileż łez i nerwów mnie to wtedy kosztowało! Teraz, po latach, było już lepiej. Pamiętam kampanię pewnej marki kosmetycznej, która zaprosiła do sesji zdjęciowej zwykłe kobiety. To było jak objawienie, bo z plakatu patrzyły na mnie zwyczajne (i zwyczajne ładne) dziewczyny: z krągłymi biodrami, oponką na brzuchu, piersiami podlegającymi grawitacji, masywnymi udami, bez makijażu. Bardzo mi to wtedy pomogło i jestem przekonana, że innym udręczonym kobietom też, ale trwałej rewolucji na rynku reklamowym nie zrobiło. Szkoda.

Pogodziłam się już zatem z tym, że w przekazie medialnym

kobieta zawsze musi być piękna, i nie traktowałam serio tych wszystkich wyretuszowanych zdjęć, wiedząc, że sprzedają fikcję. No, w każdym razie starałam się tak myśleć. W swojej naiwności jednak uznałam, że w przypadku materiałów remontowych reklamy wierniej oddają rzeczywistość. A gdzie tam! Może przedtem mieszkanie prababci Emilii było troszkę zapuszczone, ale jednak miało swój urok. Teraz urok zniknął, a zapuszczenie nie chciało się poddać.

Obudziłam się rano, pełna zapału do działania. Zrobiłam sobie omlet z dżemem, wypiliśmy duży kubek kawy z cukrem. Morze kalorii. Poczulałam się silna i gotowa do ciężkiej pracy, a oczami wyobraźni już widziałam sielskie, lśniące wnętrza, które z dumą zaprezentuję panu Tomkowi.

Remont postanowiłam zacząć od salonu. Zwinęłam dywan, odsunęłam od ściany łóżko, ze zdumieniem stwierdzając, że jest bardzo ciężkie. Z czego je zrobiono? Czy Ikea ma dostęp do jakichś kosmicznych materiałów, że ich meble da się przesuwac bez trudu? Biblioteczka też mocno mnie nadwerężyła, bo nie było nawet mowy, by ją ruszyć z książkami w środku. Musiałam je powyciągać, poukładać na kupki, nawdychać się kurzu, a potem z mozołem, centymetr po centymetrze, przesuwac mebel, uważając, żeby nie stłuc szyb. Przy okazji znalazłam *Alicję w Krainie Czarów*. Stare wydanie, z podniszczonymi okładkami. Dorota lubiła czytać mi tę książkę na dobranoc, choć ja się nakrywałam kołdrą ze strachu, słuchając tych wszystkich strasznych przygód, i w ogóle nie rozumiałam, jak Alicja może być taka nierozsądna i gonić za Królikiem, jakby się wcale nie bała, że się zgubi. A już najgorsza była Królowa, która chciała jej obciąć głowę, brrr! Miałam jednak sentyment do tej książki, bo przypominała mi – rzadki – czas, kiedy mama była tylko dla mnie, więc położyłam ją w spiżarni obok pudełka z rzeczami do zabrania.

Szafa stawiała jeszcze większy opór. Trzeszczała, skrzypiała i nie chciała się poddać. Udało mi się ją trochę przepchnąć, tyle tylko, by zrobić dojście do ściany. Na koniec przestawiłam toaletkę i krzesła,

tworząc w ten sposób na środku pokoju artystyczną instalację, którą przykryłam folią. I właściwie już miałam dość, a przecież dopiero wzięłam rozbieg – maraton wciąż był przed mną.

Otworzyłam pudło z „arktyczną bielą”, która była ładna, ale zwyczajnie biała, choć nie miałam podstaw, by się spierać, bo nigdy nie byłam w Arktyce. Odląłam trochę na specjalną podstawkę z wyżłobieniem i rowkami do odsączania farby, zamoczyłam wałek, kilka razy przejechałam po odsączaczu, zatknęłam rączkę na teleskopowym wysięgniku, przyłożyłam wałek do ściany, wykonałam kilka zamaszystych posunięć i poczułam się jak Królowa Śniegu. Malutkie białe kropelki spadały zewsząd i na wszystko: na moje włosy, twarz, T-shirt, dzinsy, podłogę. O dziwo, najmniej bieli zostało na ścianie. Cholera jasna!, zakląłam, bo farba dostała mi się do oka i zaczęła szczypać. Drugi raz zamoczyłam wałek już ostrożniej, zdecydowanie delikatniej nasączając go farbą. Pomogło. Wprawdzie od ściany odprysło kilka kropek, ale to było do zaakceptowania. Patrzyłam na biały ślad – wyglądał nawet okej, tyle że wciąż prześwitywał spod niego żółty kolor. Jednokrotne malowanie może by wystarczyło, gdybym malowała po czymś białym. I czystym. Cóż, w reklamie przedstawili to całkiem inaczej. Spojrzałam na ścianę z białawym maziajem, potem ogarnęłam wzrokiem przestrzeń, która miała zmienić kolor, i zrobiło mi się słabo. Jednak to słabo było niczym w porównaniu z tym, jak się czułam pięć godzin później. Bolało mnie absolutnie wszystko, każdy najmniejszy mięsień, nie wiedziałam zresztą, że tyle ich mam. Szyja i kark mi zeszywniały od zadzierania głowy do góry, gdy malowałam sufit. Ręce mdlały od ustawicznego ich wyciągania i opuszczania. Układ: zamoczyć wałek, odsączyć, wejść na drabinkę, podnieść ręce, zrobić kilka pociągnięć, zejść, powtórzyłam z kilka tysięcy razy. To był najintensywniejszy trening w moim życiu. Słusznie przypuszczałam, że fitness nie jest dla mnie.

Usiadłam przy meblowej górcie, rozglądając się po pokoju. Wykonałam ogrom pracy, ale przynajmniej drugie tyle było przede mną – ściana zaczynała mieć biały kolor, choć zdecydowanie nie

wyglądał on równo. Ja byłam cała pochlapana farbą; początkowo starałam się uważać, na bieżąco ścierałam chusteczkami chlapnięcia, ale wraz z upływem czasu i narastającym zmęczeniem stawało mi się coraz bardziej obojętne, czy jestem brudna, czy nie.

Właściwie to chciało mi się płakać. Co ja sobie, głupia, wyobrażałam? Że tak pyk, pyk i już? Założę chusteczkę na głowę, zawiążę ją na śliczną kokardkę, z uśmiechem i lekkością pomacham wałkiem, nie brudząc nawet małego paluszka, a ściany po godzinie zalśnią bielą? O naiwności! O samotności! Gdybym miała faceta! Pierwsze łzy już się pchały pod powieki. Powstrzymałam je całą siłą swojej woli. Nie być zatrapkiem. Myśleć optymistycznie. Jestem dzielna, nie poddaję się, sporo jeszcze mi zostało, ale najgorsze, czyli początki, już za mną. Poradzę sobie.

Zacisnęłam zęby i postanowiłam zrobić drugą rundę malowania. Od pierwszych pociągnięć minęły cztery godziny, tyle ile zalecał producent. Szło mi już dużo sprawniej – ruchy miałam płynniejsze, opanowałam technikę. Wpadłam w istny amok – przez kolejne trzy godziny pracowałam jak robot, powtarzając te same sekwencje ruchów. Zamoczyć, odcisnąć, przyłożyć, pociągnąć, zamoczyć... Nie poddać się, nie użalać nad sobą... Jest dobrze, dobrze jest...

O osiemnastej odłożyłam kijek z wałkiem i rozejrzałam się po pokoju. Było białe. Czysto. Prawie równo. Nogi mi drżały ze zmęczenia, ale czułam się jak zwycięzca. Ha! To zrobiłam ja – ja sama!

Gdy euforia trochę opadła, poczułam się straszliwie głodna, bo przez cały dzień nic nie jadłam. Wykąpię się, przebiorę i pognam do Poziomki. Cholera, cholera, cholera! Jakie wykąpię? W tej zimnej wodzie? Przecież w kranie mam arktyczny lód, jakby do kompletu z odnowionymi ścianami. Natychmiast oklapłam. Marzyłam o gorącym prysznicu, kaskadach spadających po moich barkach, rozgrzewająco masujących brzuch, pachnącej pianie na włosach, odprężeniu... A tu nic z tego. Nie zniosę zimnego prysznicu, zwłaszcza mycia włosów – to byłaby istna tortura. Podgrzewanie

wody w garnku na kuchence potrwa całą wieczność, będę musiała obrócić ze cztery razy, żeby choć w połowie napełnić wannę i jeszcze przygotować wodę do splukiwania. Dlaczego nie zajęłam się tym piecykiem? Dlaczego babcia nie mieszka bliżej? Dlaczego nie znam tu nikogo, kto mógłby mi użyczyć swojej łazienki? Mój dobry humor zaczął się ulatniać jak powietrze z rozwiązanego balonika. Zaraz, zaraz... A gdyby tak?... Nie, to absurdalne. Skąd taki pomysł? Nigdy nie byłam zbyt towarzyska, właściwie to mam problem z nawiązywaniem bliższych relacji. Jako dziecko wstydziłam się o cokolwiek poprosić w okienku na poczcie lub w aptece. Serce mi łomotało, kiedy musiałam załatwić jakąś sprawę w sekretariacie szkolnym. Nie miałam tej łatwości zagadywania, podtrzymywania rozmowy. Dlaczego więc w ogóle przyszło mi do głowy, żeby pójść do Kapelusza ze Wstążką i zapytać, czy mogę się u niego, to znaczy u niej, wykąpać. Przecież zupełnie jej nie znałam, a ona nie знаła mnie – widziałyśmy się raz. Głupota. Wcale nie – potrzeba. Nietakt – zwykła prośba. Obca osoba – ale sąsiadka. Świr – no przecież mnie nie zje. Toczyłam ze sobą walkę, jednak burczący brzuch dodał mi odwagi (albo ujął rozumu). Wrzuciłam do torby czyste ubrania, ściągnęłam ręcznik z haczyka, złapałam kosmetyczkę i poszłam.

Zeszłam na dół, przeszłam przez podwórko, którego jedyną ozdobą był trzepak, i znalazłam się w drugim budynku. Na parterze znajdowały się dwa mieszkania, a ja nie znałam numeru, ale wiklinowy koszyk pod drzwiami, opleciony taką samą wstążką, jaką widziałam przy kapeluszu, nie pozostawiał wątpliwości.

Zadzwoiłam.

Po drugiej stronie drzwi panowała cisza. Byłam pełna sprzecznych uczuć. Z jednej strony marzyłam o gorącej wodzie i doczyszczeniu się po farbie, z drugiej zaś denerwowałam się tą niezapowiedzianą wizytą, której celem była jednak dość intymna czynność, i to u obcej osoby.

Nagle coś zaszurało, kliknęła pokrywka wizjera po drugiej stronie, zachrobotał łańcuch i drzwi się uchylły.

– Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam taką prośbę: chciałabym się wykąpać, bo przez cały dzień malowałam pokój, a piecyk mi się zepsuł i nie znam tu nikogo innego oprócz pani. Choć pani też właściwie nie – wyrzuciłam z siebie na jednym wydechu.

Kapelusz otworzyła drzwi na oścież i powiedziała:

– Żaden problem, zapraszam.

Teoria o dopasowaniu mieszkania i jego właściciela i w tym przypadku się sprawdzała. Wnętrze było kolorowe, bardzo ozdobne i szalone.

– Jadwiga Krzyże. – Dłoń z pierścionkami powędrowała w moją stronę. – Po prostu Jadzia.

– Klara Majewska. – Z wahaniem wyciągnęłam do niej zachlapaną rękę.

– Miło mi poznać nową sąsiadkę. – Uśmiechnęła się. – Widzę, że jednak szykuje się gniazdko.

– Nie, nie. Odmalowuję, bo było, no, trochę zapuszczone. A agent powiedział, że najlepsza jest biel, tak gustownie i elegancko wygląda...

Nagle umilkłam, przytłoczona pstrokacizną, która nas otaczała. I swoim nietaktem. Mieszkanie miało taki sam rozkład jak moje. Pokój przy kuchni, w którym stałyśmy, był pomalowany na niebiesko, taki odcień z wiejskich chat. Na górze ściany biegł kwiatowy ornament, jak szlaczek w zeszytce. Serweta, poduszki na krzesłach, doniczki – też były w kwiatki. Szafki w kuchni miały czerwony kolor. Czułam się w tym pomieszczeniu jak w skansenie, i to udekorowanym na Matki Boskiej Zielnej.

Kapelusz przyglądała mi się z uśmiechem, a moja twarz spurpurowiała. Czy ja zawsze muszę palnąć jakieś głupstwo? Nie zdziwiłabym się, gdy sąsiadka Jadzia odprawiła mnie z kwitkiem. Zamiast tego powiedziała jednak:

– Biały też ładny. Od czegoś trzeba zacząć. A do łazienki z przedpokoju, tak samo pewnie jak u ciebie.

Pokiwałam głową i z ulgą zniknęłam w malutkim pomieszczeniu.

Tu również rządził kolor, szalony, nieokiełznany, połączenie niebieskiego tym razem z żółtym. Nawet piecyk był pomalowany, ale działał, i to było najważniejsze. Pierwsze gorące krople na plecach wprowadziły mnie w stan wręcz euforyczny. Boże, jak błogo, jak dobrze... Szorowałam się przez kwadrans, a i tak zostało mi na skórze trochę białych plamek. Z ulgą włożyłam czyste dzinsy i wyprasowany T-shirt. Związałam wilgotne włosy w kucyk, spłukałam wannę, wytarłam wodę, którą nachlapałam, i wyszłam z łazienki.

Jadwiga siedziała przy stole nad krzyżówką.

– To cię nie ominie, na „p”? – Spojrzała na mnie znad w połowie wypełnionych kratek.

– Pech – odparłam bez chwili wahania.

– Dłuższy wyraz. Już mam: pisane. Co ci pisane, to cię nie ominie, tak to brzmi. – Uśmiechnęła się do mnie i albo mi się zdawało, albo mrugnęła okiem. – I jak, lepiej?

– O niebo lepiej – wyznałam z ulgą, choć nie byłam pewna, czy pyta o to hasło, czy o moje samopoczucie po doczyszczeniu się. Tak czy owak, podziękować nie zaszkodzi, więc dodałam: – Bardzo pani dziękuję.

– Jadzia jestem – przypomniała.

– Tak. Bardzo dziękuję, Jadziu – powiedziałam z pewną trudnością, bo mogłaby być moją babcią. A nawet starszą siostrą mojej babci. – Pójdę już, nie chciałabym przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz, skądże – odpowiedziała z tym samym miłym uśmiechem, wciąż siedząc nad krzyżówką.

Patrzyła na mnie jasnoszarymi oczami, nie spuszczać ze mnie wzroku. Stałam, mając obie ręce zajęte brudnymi ciuchami, ręcznikiem, kosmetyczką, i czułam się nieswojo. Jej cisza najwyraźniej nie przeszkadzała, mnie ciążyła.

– Późno się robi, a jeszcze zaplanowałam dziś wyjście.

– Oczywiście, planów trzeba się trzymać.

Dałabym sobie rękę uciąć, że znowu mrugnęła, ale wyraz twarzy miała niezmienny. I wciąż mi się przyglądała.

– Raz jeszcze bardzo dziękuję i przepraszam za kłopot – wymamrotałam i zrobiłam krok w stronę przedpokoju.

– A numeru telefonu do pana Mirka nie potrzebujesz? – zapytała.

– Kogo, przepraszam? – zdziwiłam się.

– Mirka Piecyka. Od piecyków, naprawdę się tak nazywa. – Uśmiechnęła się.

- A! No tak, oczywiście, przydałoby się.

Sięgnęła po leżący na stole notes i oderwała jedną kartkę. Coś na niej zapisała i zgięła ją na pół. Wstała, odsunęła krzesło i podeszła do mnie. Wyciągnęła rękę z karteluszką w moją stronę i wsunęła mi go do tylnej kieszeni dzinsów.

– Na pewno się przyda – powiedziała i poklepała mnie po ramieniu. Przeszła do przedpokoju, znowu zachrobotał łańcuch, szczęknęła zasuwka i drzwi się otworzyły.

– Do zobaczenia – pożegnała mnie.

– Do widzenia – odpowiedziałam.

Poziomka przywitała mnie mrokiem i zamkniętymi drzwiami. Bar był czynny tylko do dziewiętnastej. Lokalne sklepiki też już nie pracowały. Westchnęłam i skierowałam się do centrum. Trudno, coś trzeba zjeść, a na samodzielne przygotowywanie posiłku nie miałam już siły i ochoty.

Wybrałam knajpę z „tradycyjnym polskim jadłem” niedaleko Rynku. Było dwa razy drożej i dwa razy gorzej. Pomidorowa z koncentratu i suchawe pierogi z wielkimi kawałkami twardych skwarek. Dokoła gwaro, tłoczno, sporo turystów. Zateęskniłam za ciszą i klimatem Poziomki.

Najedzona, z ciężkim brzuchem, wracałam do domu. Po drodze kupiłam jeszcze w aptece miętę, bo czułam, że się przyda.

W domu wciąż pachniało farbą, więc nie zamykałam okien, tylko je przymknęłam. Zaparzyłam ziołową herbatkę, wypiłam jeszcze gorącą i poszłam wyszorować zęby.

Wróciłam do pokoju, ściągnęłam ciuchy. Kiedy odkładałam dzinsy na parapet, bo wszystko inne było przykryte folią, wypadła z nich

karteczka. Była bardzo kolorowa, a jakże, i z roślinnym motywem, co też przyjął bez zdziwienia. Przysunęłam ją bliżej oczu. Dużymi literami widniało: Mirek Piecyk i numer telefonu. Przyjrzałam się dokładniej tłu – całe było w zielone koniczynki. Jedna z nich została obwiedziona tym samym długopisem, co napis. Nad kółeczkiem Jadzia dorysowała czwórkę. Rzeczywiście, w morzu trzylistnych koniczyn ta jedna była szczęśliwa. Sama bym jej pewnie nie wypatrzyła.

Cztery. Czy chodziło tylko o czterolistną koniczynkę? Zaraz, zaraz, wtedy też mówiła coś o jakiejś czwórce! Poczułam się jak Alicja z Krainy Czarów, która mnożyła cztery razy pięć i wychodziło jej dwanaście. A Jadzia przypominała Kota z Cheshire – tak jak on wciąż się uśmiechała, była tajemnicza i nie wiadomo, w czym rzecz. Jak brzmiał ten fragment, który zawsze rozśmieszał Dorotę? Poszłam do spiżarni i wyciągnęłam z kartonu *Alicję*. Zaczęłam ją kartkować. Znalazłam: „– Ale ja nie chcę iść do nikogo szalonego – oświadczyła Alicja. – Ale nic na to nie poradzisz – powiedział Kot. – My tu wszyscy jesteśmy szaleni. Ja też jestem. I ty. – Skąd wiesz, że jestem szalona? – zapytała Alicja. – Musisz być – odparł Kot. – Inaczej by cię tu nie było”.

Dorota na pewno była szalona. Jadzia chyba też. Ja – nie. Wśród różnych życiowych niepowodzeń, to jedno mnie ominęło. Naprawię piecyk, skończę remont, sprzedam mieszkanie i wracam do swojego normalnego życia. Bez faceta, ale i bez szaleństwa.

Rozdział dziesiąty



22 sierpnia 1939 roku

Za tydzień wracamy do Krakowa. Za dziesięć dni zacznę naukę w liceum. Powinnam się cieszyć, i się cieszę, tylko że...

26 sierpnia 1939 roku

Boże, Boże, mój Boże!

Jeśli myśli mają moc przyciągania, to nie mogło być inaczej – dziś widziałam się ze Staszkiem!

Przyjechał do Poronina rano. Słyszałam rozmowy, domyślałam się, że u goździny jest jakiś gość. Żadnych planów na ten dzień nie miałyśmy. Mateńka wybrała się na spacer z panią Anielą, ja myślałam może posiedzieć nad strumieniem i co poczytać. Gdy wyszłam przed dom, zobaczyłam... jego!

Przywitał się, speszony trochę z początku, pewnie obecnością innych. Zapytał, czy byśmy się mogli przejść, bo taki ładny dzień, więc jeśli nie mam planów żadnych... A ja mu tylko szepnęłam, że list jego czytałam ze sto razy!

To był chyba najdłuższy spacer w moim życiu. Szliśmy i szliśmy. Wzdłuż strumienia, potem łąką, pod lasem i lasem samym. Potem usiedliśmy na pniu, żeby odpocząć, a potem znowu żeśmy spacerowali. I cały czas żeśmy rozmawiali. Od razu mu wyznałam, że każdą jego myśl dzielam, a uczucie – odwzajemniam. On – że

wszystko podtrzymuje, a nawet mocniej odbiera z każdym dniem to nowe niezwykle uczucie. Z widoków mijanych to niewiele pamiętam. Za to jego oczy brązowe, pałające, głos silny i melodyjny – bardzo dobrze. Prócz zachwyty jego wyglądem, prócz serca drgnień, jest i inne ważne spostrzeżenie – jakież to mądry chłopiec! Uczy się, sam sobie lektury dobiera, samochody go interesują, smykałkę ma do nowinek technicznych. „Jest świat większy niż Jabłonka i czuję, że ten świat mnie woła”, powtórzył to, co w liście. Jest w nim taki pęd do nauki, do samokształcenia się – i to mimo trudności, bo przecież nie wielkowiejskie otoczenie go kształtowało, ale cień gór.

I jeszcze coś mi wyznał: że już wie, z kim życie spędzi!...

Obiecał, że będzie do mnie pisać i do Krakowa przyjedzie.

A na koniec mnie pocałował, takim pocałunkiem, co dech odbiera.

Jestem bezgranicznie szczęśliwa!

29 sierpnia 1939 roku

Dziś nasz ostatni dzień w Poroninie. Kierowca przyjechał wczoraj wieczorem, za godzinę wyruszamy do Krakowa.

Jestem wypoczęta i przepiętna nadzieją. Mam mocne przeczucie, że te wakacje zmienią moje życie. Oczami wyobraźni widzę siebie wracającą z liceum, w płaszczu i berecie, bucikach na obcasie, taką prawie dorosłą! Po drodze jeszcze wstępuję na pocztę, by wysłać list do Staszka – w odpowiedzi na jego, pełen tęsknoty. Za kilka lat Staszek z mojego narzeczonego staje się moim mężem. Mieszkamy w Krakowie, on się zajmuje autami, jak sobie wymarzył, ja uczę na pensji. I doczekujemy się syna i córki.

Boże, jaki to piękny obrazek! Jeśli się czegoś bardzo chce, to trzeba do tego dążyć i nie rezygnować, za nic. Nie będę jak Madzia Brzeska, która hodowała marzenia, dbała o nie, jak o cenny kwiat, a potem pozwoliła im umrzeć.

31 sierpnia 1939 roku

Różia pięknie mi uprasowała galowy strój na jutrzejsze rozpoczęcie roku szkolnego, nie mogę się doczekać.

W domu atmosfera napięta. Dwa dni minęły od zakończenia wakacji, a wydaje się, że to jakby wieki temu było.

Ojciec pełen najgorszych przeczuć co do Niemców. Twierdzi, że wojna to tylko kwestia czasu. Mateńka próbowała oponować, że może nie jest tak źle, że przecież traktaty i zobowiązania, ale Ojciec ostro zaprotestował, twierdząc, że to naiwność, którą tylko nieorientowana w polityce kobieta może przejawiać. Dodał jeszcze: „Za chwilę zobaczycie, kto miał rację w tym sporze. Jestem jak Kasandra, której przepowiedni nikt nie słuchał”.

Ojciec tak się lubuje w mitach greckich, że często się do nich odwołuje w dyskusji. Nie lubię tego, bo jest w nich jakaś złowieszczość, nieuchronność złego losu. Nawet te Mojry, które ojciec kazał wykuć na frontonie, mają w sobie coś przerażającego. Niby to po prostu metafora losu, ale jest w tym groza jakaś. Może w samych mitach nie, ale kiedy Ojciec o nich opowiada...

1 września 1939 roku

A jednak! Wojna. Niemcy zaatakowali nasz kraj. Co to będzie, mój Boże!...

2 września 1939 roku

Tej nocy nikt prawie nie spał.

Wczoraj samoloty niemieckie bombardowały cele w głębi kraju, uderzając z południa, zachodu i z północy. Cała Polska w żelaznych kleszczach wojsk nieprzyjaciela.

Na razie zajęć nie ma. Nic nie wiadomo, co dalej.

Różia z Mateńką zmartwione i złęcznione. Mateńka próbuje mnie pocieszać, ale sama potrzebuje otuchy.

Ojciec posępny. Wojna to jedno, a interesy to drugie. Dwie rodziny, które u nas wynajmują mieszkania, już spakowane. Boją się wojny, jadą do krewnych na Wschód. Nie tylko oni zresztą, zaczyna brakować urzędników, Rada Miejska i Zarząd Miasta niekompletne.

Nie tak sobie wyobrażałam jesień tego roku.

Myślę też o Staszku. Czy napisał, napisze? Och, napisze na pewno, tylko czy listy dochodzić będą? Może to egoistyczne z mojej strony, by tak się pochylać nad swoimi pragnieniami, gdy kraj w straszliwym położeniu, ale z drugiej strony: czyż dążenie do szczęścia jest czymś złym? I skąd brać siły do życia, jeśli tego szczęścia nie ma?

4 września 1939 roku

Armia generała Szyllinga w odwrocie! Ufność krakowian zawiedziona.

6 września 1939 roku

Dziś do miasta wkroczyła armia niemiecka. Nie do wiary, że tak szybko. Niemcy wprowadzili stan wojenny: twarde zakazy i nakazy, zapowiedź surowych kar w razie oporu, godzina policyjna. Zawieszono wydawanie naszej prasy, przejęto gmachy urzędów państwowych i szkół.

To, co się dzieje, jest przerażające.

Mateńka od dwóch dni leży z migreną, okna zaciemnione, Różia tylko nowe kompresy nosi.

Kolejne dwie rodziny już zrezygnowały z najmu. Ojciec wczoraj wieczorem w bardzo nieprzyjemnym nastroju, raz że stres niewyobrażalny, dwa, że alkoholu za dużo do kolacji wypił.

Tak mi źle, brak bratniej duszy. Staszku, co z Tobą?...

Nawet się już dużo nie namyślałam, czy wypada, czy nie; konwenanse nie obowiązują, gdy serce najczystszy uczuciem przepętnione – napisałam do Staszka, przelewając na papier swoje niepokoje – o niego, o nas, o Ojczyznę.

Wszyscy teraz przechodzimy próbę ognia...

18 września 1939 roku

Dziś Niemcy ogłosili, że Prezydent i Rząd opuścili Polskę. „Zdrada narodu i tchórzliwa ucieczka”, tak napisali. Nie mogę uwierzyć, by nasi przywódcy zrezygnowali z niepodległości, dopiero co przecież odzyskanej. Ojciec chyba bardziej sceptyczny.

Wszyscy jesteśmy przybici, smutni. I bardziej zdenerwowani. Ojciec mrukliwy, częściej dla Mateńki nieprzyjemny, ja staram się mu schodzić z drogi. Różia też.

Duszości mnie łapią, gdy pomyślę o tym, co przed nami. Można mieć plany, świetlaną przyszłość przed sobą widzieć, a tu los inaczej zarządzi.

Dwunasty dzień od mojej wizyty na poczcie, dwudziesty trzeci od naszego ostatniego spotkania. I żadnych wieści.

Myślę, czuję, że Staszek mógł się zaciągnąć. Co za okropna sytuacja – bo jak tu się gniewać, że wybrał Ojczyznę, która w przeogromnej potrzebie, przedkładając nad to swoją nieutuloną tęsknotę? Zresztą – czy gdyby nie miał walecznego serca i duszy patrioty, to czy wciąż bym go podziwiała?

Niepewność losu zżera mnie i dusi.

22 września 1939 roku

Wciąż odtwarzam tę wczorajszą chwilę w pamięci. Było popołudnie. Nastroje jak ostatnio, niedobre. Ojciec w papierach, Mateńka coś wyszywała, Różia w kuchni, a ja uczyłam się francuskich słówek. Wierzę, że jeszcze kiedyś mi to będzie potrzebne, a skoro na razie normalnej nauki być nie może, to sama się kształcę.

A zatem siedzieliśmy, każde w swoich zajęciach i w swoim świecie, gdy usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Różia poszła otworzyć, usłyszałam strzępy rozmowy i chyba męski głos. Po krótkiej chwili Różia podchodzi i mówi, że to do mnie. „Jakiś kawaler chce się z panienką widzieć”. Wstałam od zeszytów i poszłam do przedpokoju. A tam...

Staszek! Staszek!!!

Zmęczony, zmizerowany trochę, widać, że dobrego stołu i wygodnego łóżka od dłuższego czasu nie zaznał. Ale żywy i tu, obok mnie. Mój Staszek!

Zaraz przyszli i Mateńka, i Ojciec, zaniepokojeni, bo w taki czas to każdy dzwonek do drzwi trwożę budzi. Staszek się przywitał, Mateńka go Ojcu przedstawiła.

Przeszliśmy do salonu, Różia poszła do kuchni coś przyszykować, Mateńka zaordynowała.

Co się okazało: Staszek, gdy tylko wojna wybuchła, postanowił się zaciągnąć do wojska. Ruszył w kierunku Krakowa, a potem dalej, w rejon Miechowa, Raclawic i Buska, gdzie walczyła Armia „Kraków”. Jak się skończyło, to już wiedzieliśmy...

Od kilku dni w Krakowie było bardzo wzmożony ruch. Przyjeżdżali tu ludzie z ziem zachodnich, Polacy z za Sanu i z za Bugu, którzy uciekali przed Armią Czerwoną, oraz powracający ze Wschodu uchodźcy wojenni. To też już wiedzieliśmy, teraz zaś od Staszka się dowiedzieliśmy, że w Krakowie zbierają się zarówno wojskowi, jak i cywile, którzy chcą się przedostać na Węgry, przez granicę słowacką, by walczyć. Duża część osób miała tu umówione adresy, pod którymi czekał na nich nocleg i wyżywienie. Inni, jak Staszek, szli na ślepo. A on z wiarą, że skoro ma mój adres, to może...

Listu nie zdążył wysłać, mój już go w domu nie zastał.

Ojciec zaproponował, żeby Staszek zamieszkał przez tych kilka dni, nim wyruszy na Południe, w służbówce jednego z opuszczonych mieszkań. Jakoś mnie to zabolalo, że kuchennymi drzwiami go zaprosił, ale Ojciec ma dość twarde zasady, jeżeli idzie o podział ludzi – wedle zamożności i pochodzenia. Ubogi góral z Jabłonki mógł chyba tylko na taką gościnę liczyć. Choć może jestem niesprawiedliwa, bo Ojciec od razu się zarzekł, że oczywiście prowiant, jakieś ubrania i co tam będzie potrzebne, to da.

Siedzieliśmy razem przy stole ze dwie godziny, potem Ojciec zaprowadził Staszka do tego mieszkania na czwartej kondygnacji. Równie duże jak nasze, też jedno na całe piętro, z dwoma oddzielnymi wejściami. Tym drugim, służbowym go wprowadził i udostępnił pokoi i kuchnię.

Z tych emocji nie mogłam spać. Staszek jest w Krakowie, tak blisko! Radość miesza się z lękiem, bo przecież chce się zaciągnąć do wojska. Na razie jednak ważne, że jutro i przez kilka kolejnych dni się będziemy widzieć. No i dumna z niego jestem, że taki jest

dzielny, że nie boi się walczyć za Ojczyznę. Wielu mężczyzn tak robi, to prawda, ale i nie brakuje takich, którzy się próbują dogadać z Niemcami, albo liczą, że „jakoś to będzie”, samo się ułoży. A od kiedy to rzeczy „same się układają”? A Staszek to prawy i dobry człowiek, patriota.

I taki przystojny, kochany chłopiec.

23 września 1939 roku

Poszliśmy ze Staszkiem na spacer. Bardzo słabo zna Kraków, wcześniej tylko raz tu był.

Przedziwna sytuacja – na ulicach ruch wzmożony, jedni opuszczają miasto, inni do niego przyjeżdżają. Atmosfera nerwowa, choć chyba dużo jest nadziei, że ład, naruszony chwilowo przez Hitlera, powróci.

A wśród tej ciżby ludzkiej, rozmów, gwaru, my dwoje, jakby w bańce mydlanej się unoszący. Napatrzyć się na siebie nie mogliśmy, rozmów nam ciągle było mało.

Tak, oboje czujemy, że jesteśmy sobie pisani. I oboje uczynimy wszystko, by razem iść przez życie, nieważne, ile razy trzeba będzie się wspinać pod górę, ile ostrych zakrętów pokonać, jak trudna może to być droga. Wiemy, że z dwóch różnych światów jesteśmy, ale złączymy go w jeden, wspólny.

Po dwóch godzinach ja musiałam do domu wrócić, Staszek zaś do punktu zbiorczego pójść. Umówiliśmy się na jutro, w samo południe.

Wieczorem będę wypatrywać, czy w oknach u niego zaświecone. Tak blisko siebie jesteśmy, tak blisko.

24 września 1939 roku

Wieczór już. Mateńka przed chwilą była, sprawdzić, czemu u mnie wciąż jasno. Nie powiedziałam, choć tak na mnie spojrzała, że chyba się domyśla. Serce matki wie wszystko. Pogłaskała mnie tylko po głowie i wróciła do sypialni.

Staszek wyjeżdża w poniedziałek, 26 września. To, że opuści

miasto, oczywiście było od samego początku, ale odsuwałam tę myśl od siebie. Radości starczyło do dziś.

Oboje jesteśmy smutni. Staszek oczywiście mężniejszy, patriota przecież. I mnie tak bardzo imponuje, że dla Ojczyzny na tyle gotów. Egoizmem jest myśleć w takiej sytuacji o sobie, ale miłość jest egoistyczna.

A dziś... Dziś się pocałowaliśmy, jak wtedy, w górach. Już wróciliśmy ze spaceru, Staszek mnie odprowadził pod drzwi, bo sam zaraz miał iść za swoimi sprawami. Wszedł jeszcze ze mną do sieni. Chwilę postaliśmy, ujął moje dłonie, pocałował je, raz, i potem jeszcze. Przytuliłam się do niego i... nasze usta same się znalazły. A jego dłonie...

Wypieki mam, kiedy to piszę. Było wprost niebiańsko. Przeczuwałam, że to coś cudownego, ale przeczuć to jedno, a poznać – to drugie.

Ależ ja go kocham!

25 września 1939 roku

Odliczałam czas do spotkania ze Staszkiem, kiedy przyszedł Ojciec i powiedział, że po mszy pójdziemy do ciotki. Zaskoczyło mnie to, bo planów takich nie było wcześniej. Powiedziałam, że spacer Staszкови obiecałam. Ojciec na to, że chyba jego siostra kimś ważniejszym jest dla mnie niż chłopak z gór, który zaraz pojedzie i nigdy go nie zobaczę. Aż mnie ścisnęło w środku na te słowa. Cały mój lęk, który starałam się przegnać, wrócił. Jeśli ja rzeczywiście już go nie ujrzę?...

Na nic się zdały moje prośby, Ojciec nie dał się przekonać i od razu po kościele poszliśmy do na ten proszony obiad. Staszкови nie miałam jak przekazać, że nie będę czekała w umówionym miejscu. Ależ ja się denerwowałam i jak mi smutno było. Cóż on sobie pomyśli? Pewnie od zmysłów odchodzić będzie. Albo może mu do głowy przyjdzie, że mnie nie zależy, że tylko się tak bawiłam? Żołądek miałam ściśnięty na supel.

Wróciliśmy przed czwartą. Ojciec poszedł do swoich papierów,

Mateńka się położyła. A ja nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca. Chodziłam po pokoju jak lew po klatce, gorączkowo się namyślając, jakby tu się wymknąć, żeby Staszka jeszcze przed wyjazdem zobaczyć, żeby mu tę swoją nieobecność wyjaśnić. Kłamać nie umiem, zresztą to grzech. A co by Ojciec powiedział, gdybym mu oznajmiła, że do Staszka idę? Panienska sama do kawalera?

I kiedy już się wydawało, że wszystko stracone, Różia przyszła do salonu i powiedziała, że umyślny przyniósł list dla Ojca. Okazało się, że wspólnik go zaprasza na spotkanie, na szóstą. I Ojciec zaraz się zaczął szykować, a niedługo potem wyszedł. Mateńka spała, Różia miała wychodne. Przeżegnałam się i cicho się wymknęłam z domu. Z bijącym sercem wyszłam przed kamienicę i spojrzałam do góry. Za zasłoną było jasno. Światelko nadziei i we mnie rozbłysło! Weszłam do sieni, a potem schodami na czwarte piętro. Gdy stanęłam przed jego drzwiami, serce mi waliło mocno jak dzwon Zygmunt! Wydawało mi się, że już pukać nie muszę, bo i tak słychać, że tu jestem. Zastukałam jednak i po chwili w drzwiach pojawił się Staszek. Zdziwiony, ale i bardzo uradowany. Zaczęłam nieskładnie opowiadać, dlaczego nie przyszłam, a potem mocno się do niego przytuliłam. I łzy mi same pociekły po twarzy – z ulgi, z radości, z lęku przed przyszłością. Rozmawialiśmy znów długo – szczerze, czule.

A potem...

Nie umiem tego opisać, brak mi odpowiednich słów. W żadnej książce ich nie czytałam, bo „takich” książek nie czytam. Zresztą tam to pewne raczej splugawione emocje się przedstawia, a tymczasem ja... My... Boże, wziął mnie w ramiona, a ja mu się oddałam. Cała i w pełni. Zjednoczyliśmy się na zawsze. Ma moje serce i moje ciało.

Rozdział jedenasty



– Dzień dobry!

– A, dzień dobry! – Dzwonek przy drzwiach musiał działać sprawnie, bo pani Florczyk bardzo szybko wychynęła z zaplecza. – Zlecenie gotowe, już przynoszę – powiedziała i zniknęła za grubą kotarą.

Po chwili pojawiła się znowu, niosąc zafoliowany materiał, który przełożyła sobie przez rękę.

– Czyściutkie, pachnące. Na pewno w pokoju zrobi się ładniej. – Odchyliła folię, z dumą pokazując kawałek zasłony. Rzeczywiście, materiał wydawał się o odcień jaśniejszy. – Byłoby dobrze nie trzymać ich za długo w tej paczce, tylko rozwiesić, to się ładnie rozprostują.

– Powieszę dziś. Już się prawie uporałam z porządkami. Nawet pomalowałam pokój.

Nie wiem, dlaczego jej o tym powiedziałam. Chyba potrzebowałam pochwały. Lubiłam, kiedy mnie chwalono – w szkole, na studiach, w pracy, w domu. Emilia i Elżbieta dopieszczały mnie słowami: „jaka grzeczna”, „jaka posłuszna”, „jaka dobra”. Puchłam wtedy z dumy. W oczach Doroty nie mogłam się raczej przeglądać, bo mama na pierwszym miejscu stawiała bycie w zgodzie ze sobą. *Be yourself!* Chętniej by mnie chwaliła, gdybym się buntowała, a nie karnie wypełniała polecenia. Kiedyś

opowiedziałam jej, jak zostałam po godzinach w aptece, bo wprowadzaliśmy nowy system komputerowy i trzeba było poprzemienić dane, co się okazało dość skomplikowane i czasochłonne. „Skończyliśmy po północy, ale wszystko się udało. Szef mi pogratulował”. I na takie same słowa czekałam od Doroty. Ona zaś odparła: „Miło. Ale chyba bardziej by cię docenił, gdyby dał ci premię, prawda?”. W sumie to miała rację, ale nic nie odpowiedziałam. Tym bardziej nie powiedziałabym tego szefowi.

Pani Florczyk tylko częściowo spełniła moje oczekiwania:

– Sama? To muszę powiedzieć, że bardzo jest pani dzielna. A nie lepiej to było komuś zlecić? Dla kobiety to jednak zbyt forsowne zajęcie.

– Nic takiego, łatwizna – zbagatelizowałam te obawy, choć furtka do użalania się nad sobą została niebezpiecznie uchylona.

– Tak? – Spojrzała na mnie trochę podejrzliwie, ale z sympatią. – No może. Teraz młode dziewczyny to inaczej żyją, odważniejsze są, bardziej samodzielne. Świat stoi przed nimi otworem.

Furtka cicho się domknęła. Tak czy owak, w jednym Dorota na pewno miała rację: opierałam się na opiniach innych ludzi, zupełnie jakbym nie miała zaufania do siebie. Moje samopoczucie w dużej mierze zależało od tego, co usłyszałam na swój temat.

Już miałam się pożegnać, gdy na blacie pod ścianą zauważyłam paczuszkę z bardzo kwiecistym materiałem. Przykuwała wzrok wśród stonowanych barw oddawanej do czyszczenia i prasowania pościeli.

Pani Florczyk zauważyła moje spojrzenie.

– To od klientki z tej samej kamienicy.

A jednak, nie myliłam się. Styl Jadzi był nie do podrobienia.

– Bardzo kolorowa osoba – zauważyłam.

– O tak. Wszystko ma takie barwne. Mówi, że nie lubi burości. Że kolor ją optymistycznie nastraja do życia. Powiem pani, że ja to nie przepadam za taką pstrokacizną, oczy by mi uciekały na boki, gdyby wokół tyle się działo. Choć teraz to modne. I kolor, i łączenie różnych stylów i epok. Przynosi mi do prania i prasowania rzeczy

taka zaprzyjaźniona klientka, która jest stylistką. Zajmuje się wnętrzami. Ustawia meble, dobiera dodatki, decyduje o kolorach, a potem zdjęcia z jej projektami ukazują się w tych modnych czasopismach o domu, które kosztują po kilkanaście złotych za egzemplarz. Ona sama bardzo dobrze zarabia. Pieniądze ma nie tylko z tych zdjęć, lecz także od ludzi, którym urządza mieszkania. Ile niektórzy są w stanie zapłacić, żeby im ładnie serwetki poukładać i doniczki wybrać, to trudno uwierzyć. A najśmieszniejsze jest to, że ona większość tych materiałów i dodatków to kupuje za małe pieniądze na naszej tandecie!

– Na tandecie? – nie zrozumiałam.

– No tak się u nas zawsze mówiło na targ z używanymi ciuchami. Na placu Żydowskim. Wie pani, gdzie to?

– Żydowskim?... A, chodzi o plac Nowy?

– Nowy to nikt ze starszych nie powie, ale tak, to ten plac. W tygodniu jedzenie tam sprzedają, w niedziele – ubrania. Byłam kilka razy, ale nie po takie nowinki czy oryginały jak ta moja Olga. Te zasłony na przykład kupiłam – powiedziała, z zadowoleniem biorąc do ręki mięsisty materiał kotar. – Teraz bym takich nie dostała, nie ta jakość. Skróciłam, podszyłam, wyczyściłam i jeszcze ładnych paręnaście lat posłużą, jak nie lepiej, a kosztowały dwadzieścia złotych.

Nagle przyszło mi do głowy, żeby też się tam wybrać. Skoro tak tanio, to może kupię kilka ożywczych drobiazgów, które dobrze wyjdą na zdjęciach? Jeden dzień przerwy w sprzątaniu dobrze mi zrobi. Po południu miała mnie odwiedzić babcia, to rano mogę się przejść na plac. Z Wiślniej to kwadrans spacerkiem. Dzisiaj jeszcze czekało mnie malowanie jadalni i wizyta pana Mirka. Jutrzejszy niedzielny wypoczynek zdecydowanie mi się należał. Ze zdziwieniem zauważyłam, że właśnie mija połowa mojego urlopu. Tak się bałam przyjazdu tutaj, samotności w osieroconym przez prababcie Emilię mieszkaniu, wyciskających łzy wspomnień po Pawle, trudności związanych ze sprzedażą i z formalnościami, a jednak jakoś się to wszystko udawało. Życie się toczy, bez

względu na nasze humory i nastroje. Płyn albo zgiń, jak głosi ulubione powiedzenie Doroty. Jednak nauczyłam się pływać – styl nie był mistrzowski, ale wystarczył, by się utrzymać na powierzchni, a to już jakaś pociecha.

Do czasu, jak się okazało.

Pan Piecyk zastał mnie w trakcie malowania jadalni. Zastanawiałam się, czy nie poczekać na jego wizytę w trochę elegantszym i czystszy stroju, ale chciałam się uporać z malowaniem mniejszego pokoju przed niedzielą, więc wyciągnęłam pochłapane dzinsy, a do nich włożyłam mocno powyciągany T-shirt i zabrałam się do pracy. Po mniej więcej godzinie usłyszałam dzwonek domofonu, a po chwili w drzwiach wejściowych stanął spec i mój przyszły wybawiciel od zimnych kąpiel. Wyglądał zwyczajnie, co przyjął z ulgą. Miły, normalnie ubrany sześćdziesięciolatek z pękatą skórzaną torbą z różnymi narzędziami.

– Widzę, że to będzie szerszy zakres robót. – Uśmiechnął się.

– Wszystko naraz – odparłam. – Już pokazuję piecyk. Tak jak powiedziałam przez telefon, nie grzeje wody.

Zostawiłam pana Mirka w łazience i wróciłam do malowania. Szło mi nawet całkiem nieźle. Do odświeżenia ścian najwyraźniej nie potrzeba talentu, wystarczy doświadczenie i dużo samozaparciu. Pokój był prawie dwa razy mniejszy od salonu, więc i pracy o połowę mniej.

Po kwadransie pan Mirek zjawił się w jadalni.

– No niestety, dobrze nie jest – oznajmił z posępną miną.

– To ja wiem, bo jakby było dobrze, tobym po pana nie dzwoniła. – Żart zwykle potrafi rozładować sytuację, ale najwyraźniej ta była poważna, bo wąsy pana Mirka tylko leciutko drgnęły.

– Właściwie to jest źle.

– A jak źle?

– Cóż... – Pan Mirek bezradnie rozłożył ręce. – Na dziesięciostopniowej skali, gdzie jedynka to „wszystko w porządku”,

a dziesiątka to wybuch piecyka, daję mu dziewiątkę. Mocną. Właściwie to powinna się pani cieszyć, że nikomu się nic nie stało. Palec boży w tym, że się popsuł.

– Rany – wydusiłam z siebie.

W tej informacji było wszystko: że się dziś nie wykąpię, że naprawa nie będzie prosta i na pewno nie będzie tania, że nie wystarczy jedna wizyta pana Piecyka.

– Właśnie. A ostatni przegląd to kiedy pani robiła? – Pytanie zabrzmiało jak zadane przez srogiego nauczyciela.

– No nie wiem... To mieszkanie prababci, widzi pan...

Twarz pana Mirka ciut złagodniała.

– Całe szczęście, że się pani tym zainteresowała, bo starsza pani mogłaby mieć duże kłopoty. No ale widzę, że sytuacja idzie ku lepszemu, nawet mały remoncik się szykuje. Rodzina to jest jednak siła.

Jak kulą w płot, pomyślałam, ale milczałam.

Nie milczał natomiast pan Piecyk:

– No dobrze. To skoro inwestujecie panie w mieszkanie, to już po całości. Piecyk nadaje się tylko na złom, trzeba zainstalować nowy. Proponuję trochę lepszy model, żeby spokojnie wytrzymał z dziesięć lat. Koszt z robocizną to około tysiąca złotych.

Jęknęłam w duchu. Tysiąc złotych! Jęknięcie musiało się odmalować na mojej twarzy, bo pan Piecyk pospieszył z wyjaśnieniami:

– Jednorazowo koszt może się wydawać duży, ale to się przecież rozłoży na lata. Ja wiem, że z renty ciężko taką sumę wyskrobać, ale pani na pewno wspomozę prababcię. Poza tym, proszę wybaczyć bezpośredniość, ale seniorka nie będzie żyć wiecznie, a po co potem znowu wydawać pieniądze? Jest pani młoda, zaraz się pewnie pojawi mąż, dzieci, rodzina. Trzeba myśleć perspektywicznie.

Oklapałam. Krakowskie doświadczenia nauczyły mnie jednego – ludzie najczęściej nie są wścibscy, nie mają złych intencji. W Warszawie bym się zjeżyła, prychnęła, nie skomentowała. Choć właściwie nigdy nie było takiej potrzeby, bo nikt nie odpytywał

mnie z życia, co raczej było wynikiem braku zainteresowania, a nie jakiejś szczególnej delikatności. Tak, w Warszawie żyło się anonimowo, z plusami i minusami takiej wolności. Tu sprawy miały się inaczej, choć, nawet trochę wbrew sobie, musiałam przyznać, że moi nowi znajomi nie byli konfrontacyjnie do mnie nastawieni. Przeciwnie, odczuwałam ich życzliwość, tyle tylko, że ich ogląd świata nie uwzględniał odstępstw od reguły. A reguła była taka, że trzydziestolatki mają mężów i dzieci. Najnormalniejsza w świecie sprawa. A skoro tak, to ze mną jednak było coś nie w porządku. Odetchnęłam głęboko i postanowiłam panu Mirkowi, jako czwartemu – ta liczba zaczynała mnie prześladować! – przedstawić swój nieszczęsny los.

– Prababcia nie żyje, umarła ponad dwa miesiące temu.

– Strasznie mi przykro. – Widać było, że naprawdę jest mu przykro.

– Dziękuję. A ja teraz porządkuję mieszkanie i...

– No to tym bardziej warto zainwestować w piecyk! Bezpieczeństwo i wygoda.

– Tak, tylko że ja tu nie będę mieszkać.

„Przepraszam, a mogę zapytać dlaczego?” – byłam przekonana, że te słowa zaraz padną. Mogłabym postawić na to wszystkie swoje oszczędności.

I słusznie.

– Przepraszam, a mogę zapytać dlaczego?

– Bo już mam mieszkanie.

– A, to zmienia postać rzeczy. Choć muszę powiedzieć, że to piękna lokalizacja. Centrum, a blisko Wisły i spokój. No i te lipy. Ja bym się na pani miejscu zastanowił.

– Mam mieszkanie w Warszawie. I tam mieszkam.

– No to w ogóle bym się nie zastanawiał, tylko przenosił. Porównania przecież nawet nie ma.

No tak, odwieczny konflikt na linii Kraków–Warszawa. Nie opowiadałam się za żadną ze stron, bo choć z urodzenia byłam warszawianką, to z Krakowem też łączyły mnie silne więzi. W te

genealogiczne zawiłości nie chciałam już jednak wchodzić.

– Żeby to było takie proste – westchnęłam tylko.

– Życie jest proste, tylko ludzie mają taką naturę, żeby je komplikować. No ale to się dopiero z wiekiem rozumie. Wcześniej to każdy musi przejść swoją ścieżkę, i tyle. To co robimy z piecykiem?

Znowu westchnęłam.

– A czy mam jakiś wybór? – zapytałam bezradnie.

– Wie pani, mój tata powtarzał, że w życiu zawsze jest tak, że albo ma się na coś wpływ, albo się go nie ma. I cała sztuka polega na tym, żeby umieć odróżnić te dwie sytuacje. Jak się ma wpływ, to trzeba działać. Jak się nie ma, to trzeba akceptować.

Czasem jest tak, że jakieś przypadkowe zdanie nas dopadnie i natychmiast przetasuje nam myśli w głowie. Rzeczywiście, tu wybór był oczywisty, więc po co tracić czas na marudzenie i próżne rozważania.

– Wymieniamy. A dziś pan da radę?

Pan Piecyk się uśmiechnął.

– Klient zdecydowany to klient hołubiony.

Może wreszcie i mnie życie dopieści, jeśli będę zdecydowana?

Rozdział dwunasty



26 września 1939 roku

Staszek przyszedł się pożegnać. Różia go wprowadziła do salonu, Mateńce się oczy zaszkliły, szepnęła, że będzie się za niego modlić. Ojciec powiedział, że jest zbudowany jego postawą i że tacy młodzi mężczyźni pozwalają wierzyć, że niedługo Polska odzyska wolność. Ja nic nie mówiłam, ale w środku aż dygotałam. Ojciec zaproponował, że wspólnie pójdziemy na umówione, zakonspirowane, miejsce zbiórki. Z jednej strony to bardzo ładny gest był, a z drugiej – marzył mi się samotny, to znaczy tylko we dwoje, spacer. Takie ostatnie wykradzione pół godziny.

Poszliśmy we czworo. Na miejscu młodzi i trochę starsi mężczyźni, odprowadzani przez siostry, matki, narzeczone, żony. Atmosfera podniosła – nadzieje, męstwo, łzy rozstania, choć to wszystko ukradkiem, by nie wzbudzić podejrzeń. Rodzice życzyli Staszкови, by szybko cały i zdrowy wrócił, wywalczywszy uprzednio Ojczyźnie wolność. Gdy trochę się odsunęli, ja podeszłam i szepnęłam Staszкови do ucha: „Będę na ciebie czekać, z nadzieją i miłością”, a on odparł: „To wspólna nadzieja i miłość. Wrócę”. Pocałowałam go w policzek, a on na króciutką chwilę mnie przytulił.

Jak ciężko mi było go tam zostawiać! Jak bardzo serce bolało! W drodze powrotnej do domu nic nie mówiłam, dbałam tylko o to, by się nie rozplakać. Nie mogłam dać po sobie poznać, że tak bardzo

mi na Staszku zależy, że połączyło nas coś znacznie więcej niż wakacyjna znajomość.

Ojciec był w dobrym humorze, zaprosił nas na ciastka do Noworolskiego. „Budująca postawa społeczeństwa, która daje nadzieję na pomyślnie zakończenie wojny”, powiedział, pijąc kawę. Mateńka odparła, że podziwia tych młodych chłopców, ale gdyby była matką jednego z nich, to drżałaby teraz ze strachu, czym ta wyprawa się zakończy. Ja wciąż milczałam, dłubiąc widelczykiem w szarlotce i w samotności przeżywając swoje lęki. W końcu Ojciec zapytał, czy aby chora nie jestem. Odparłam, że ostatnie tygodnie tak niepokojące i burzliwe były, że to ich wina.

Wieczorem, gdy już się kładłam spać, usłyszałam rozmowę rodziców. „Czy tobie się nie wydaje, że Klara się w tego Staszka za mocno zapatrzyła?”, zapytał Ojciec. „To miły chłopiec, trudno go nie lubić”, odparła Mateńka. „Może miły, ale na pewno nie dla Klary. Wojna czy nie, pewne zasady są niezmiennie. Dobrze, że tak się to rozwiązało”.

Zadrzałam. Nie sądziłam, że Ojciec coś zauważy, byłam przecież taka ostrożna. Głęboko w środku mam też nadzieję, że kiedyś, gdy już będzie po wszystkim i Staszek znów się zjawi u naszych drzwi, to przez wszystkich zostanie powitany z radością. Nie wiem, na czym opieram tę wiarę, Ojciec zawsze był stanowczy i zasadniczy. Kiedy już trochę ochłonęłam, postanowiłam się tym nie zamartwiać na zapas. Może coś się zmieni? Przecież Ojciec podziwia patriotyzm Staszka i na pewno doceni, kiedy wróci on zwycięski z tej wojennej wyprawy. No i Ojciec go wcale prawie nie zna, nie wie, jaki to mądry i pracowity chłopiec.

Tak, będzie dobrze, trzeba do siebie zapraszać tylko takie myśli.

3 października 1939 roku

Od wyjazdu Staszka minął tydzień. Nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca, ale to się już powoli zmienia. Nie mogę pozwolić, by lęk i tęsknota nade mną panowały. Co mi z tego przyjdzie? Co nam z tego przyjdzie? Kiedyś ta wojna się przecież skończy, zwykłe życie

wróci. I do tego trzeba się sposobić – uczyć, czytać. Lekcje wciąż zawieszono, na razie dostałyśmy listę lektur i zalecenia nauki francuskiego. Siedzę więc teraz nad słówkami. Muszę się uczyć – dla siebie, dla nas.

7 października 1939 roku

Dziś Ojciec poprosił mnie o przepisanie kilku stron z książki rachunkowej. Był na spotkaniu ze współnikiem, z którego wrócił w złym humorze, tak że lepiej mu z drogi schodzić.

Różia też coś nieswoja, a kiedy ją Mateńka zapytała, czy co się stało, tylko płaczem wybuchła.

Nastroje podminowane, ale dziś taki brzydki, ponury dzień, może dlatego.

Ja też rozsypana. Nie liczę na list, nie teraz, w tych warunkach. Po prostu trudno się w karbach trzymać, gdy lęk ciśnie.

Tęsknię, tęsknię.

12 października 1939 roku

Dzień do dnia podobny. Trochę czytam, trochę się uczę, chodzę na Planty.

Bardzo tęsknię. O ile inne czynności na pół gwizdka wykonuję, to tęsknocie się oddaję w całości. Próbuję z tym walczyć, póki co jednak – przegrywam.

Mateńka zaniemogła. Najpierw były migreny, a teraz, widać nimi osłabiona, się przeziębila, gorączkę ma, kaszel, katar i tak od kilku dni. Doktor powiedział, że potrzeba jej nie tylko rosołu, lecz także spokoju, bo często złe stany ducha fizyczną chorobą się objawiają.

18 października 1939 roku

Różia poprosiła o pięć dni wolnego, mówiąc, że siostra ją do siebie zaprosiła, jakieś sprawy rodzinne mają. Ojciec chyba nie chciał się zgodzić, ale Mateńka pozwoliła. Nie jestem pewna, bo rozmawiali za zamkniętymi drzwiami. W każdym razie głosy mieli podniesione, nawet się pokłócili, bo ciche dni teraz nastały w domu.

Och, losie. Znikąd ukojenia.

26 października 1939 roku

Gubernator Hans Frank ogłosił utworzenie Generalnego Gubernatorstwa na terenach centralnej Polski z siedzibą rządu w Krakowie. „Skończyły się nadzieje”, powiedział Ojciec. „Nie będzie tak jak podczas poprzedniej wojny”. Mateńka wciąż słaba, tylko łzy jej pociekły. Ojciec najwięcej się zna na polityce, ale mimo to trudno uwierzyć, żeby Niemcy, taki kulturalny naród, byli zdolni do haniebnych czynów.

Z tych nerwów i niepewności także i mój organizm uległ rozstrojeniu. Źle się czuję, mdłości mnie męczą, osłabiona jestem. Dobrze, że Różia wróciła, choć jej cudowny rosół teraz mniej pomaga.

Żadnego znaku życia od Staszka. Ponad miesiąc już od naszego ostatniego widzenia upłynął. Mógłby ktoś zapytać: cóż jest miesiąc wobec całej przyszłości? Ale gdy przyszłość niepewna, a przeszłość – nieodległa – była tak intensywna, tak emocjami nasycona, to czas zupełnie inaczej płynie.

Całuję Cię, Staszeńku, każdego wieczoru przed snem.

6 listopada 1939 roku

A jednak, aresztowano i wywieziono do Niemiec prawie dwustu naukowców, a w Forcie Krzesławickim codziennie rozlegają się salwy egzekucyjne. „Wymażą Polskę z mapy”, powiedział Ojciec.

Boże, jakie to wszystko jest okropne!

A gdy pomyślę, że przecież z cywilami się lepiej obchodzą niż z tymi, co walczą, to...

Musi być dobrze, musi. Zaklinam los.

17 listopada 1939 roku

„Od świętej Salomei zima jest w nadziei”. To dzisiejsza kartka z kalendarza. To, co tak mnie ostatnio dręczy, i co od siebie odpycham, wróciło ze zdwojoną mocą. Wciąż jeszcze czuję się chora

i słabowita, ale to chyba nie przeziębienie, bo...

23 listopada 1939 roku

Na ulicach pojawili się Żydzi z białymi opaskami z niebieską Gwiazdą Dawida na rękawach, co jest wynikiem niemieckiego zarządzenia. Ojciec powiedział, że zabierają im firmy, sklepy, konfiskują majątki i nakazują przymusową pracę.

Od Staszka nic nie przyszło. To już dwa miesiące od rozłąki i od...

W mojej sprawie bez zmian.

Strasznie się boję tego wszystkiego.

29 listopada 1939 roku

Andrzejki.

Mateńka chciała trochę radości przywrócić i zaproponowała lanie wosku. Różia roztopiła świecę i stary klucz od piwnicznej kłódki przyniosła. Łałyśmy; mnie wyszedł prostokątny, prawie równy kawałek, coś jakby... list, i tak wykrzyknęłam! Różia spojrzała na mnie, jakby miała coś powiedzieć, ale Mateńka ją odesłała do kuchni, po nową porcję wosku. Też chciała sobie powróżyć, ale nie mogłyśmy odgadnąć, co też los jej zapowiedział.

7 grudnia 1939 roku

Dziś się to wydarzyło. Dzień był pochmurny, trochę padało. Żadnych pomyślnych wieści z frontu.

Mateńka poprosiła Różię, żeby jutro przygotowała wcześniej śniadanie, bo chce pójść na mszę, święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny wypada.

Nie zdołałam już dłużej milczeć; nie uniosę sama tego lęku i niepewności. Poszłam do Mateńki i o wszystkim jej opowiedziałam. Najpierw zbladła, potem poczerwieniła, a na koniec się rozplakała. „Coś ty narobiła, Klaruniu?“, wyszeptała. Ja też się popłakałam. „Ja go kocham“, wykrztusiłam, ale Mateńka tylko głową pokręciła.

Po południu powiedziała, że jutro po mszy pójdziemy na wizytę do

doktora Makowieckiego.

8 grudnia 1939 roku

Jestem w ciąży.

Rozdział trzynasty



Rany, jak tu było gwarno! Jak ciasno! Dookoła placu znajdowały się kawiarnie i bary, stoliki i krzesła zajmowały cały chodnik. Ludzie siedzieli, stali, jedli, pili, rozmawiali, śmiali się, przekrzykiwali. Wąskie ulice były zastawione przez samochody zaparkowane systemem francuskim, to znaczy zderzak w zderzak. Zawsze mnie fascynowało, jak można w ten ekwilibrystyczny sposób ustawić auto i jak potem wyjechać z takiej koperty. Ja miałam prawo jazdy, ale wjeżdżałam przodem, i to tylko wtedy, gdy po obu stronach samochodu zostawał przynajmniej metr wolnego miejsca.

Stragany i stoiska rozlewały się poza wyznaczony do handlu teren – na stołach, wieszakach, rozłożonych na ziemi ceratach piętrzyły się góry kolorowych spódnic, sukienek, spodni, koszul, serwet, zasłon, butów, torebek.

Plac Nowy. Kiedy byłam mała, prababcia Emilia kilka razy zabrała mnie tu na zakupy, oczywiście nie na ciuchy, tylko po jedzenie. Też mówiła o „placu Żydowskim”, ale sądziłam, że to jej określenie, jeszcze z dzieciństwa i młodości, gdy Kazimierz był zamieszkały przez społeczność żydowską. Po wojnie to miejsce zmieniło się nie do poznania, stary świat zniknął.

Przynosiłyśmy stąd do domu warzywa i owoce. Pamiętam jędrne i chrupiące kalarepki, które dostawałam do pogryzania, pokrojone w cienkie plastry. Małe zielone główki brukselki, najpierw

gotowane, potem podsmażane na patelni na maśle. Starkingi – nieduże karminowe jabłka o pięknym zapachu i żółtym mięszu. A w okrągłym budynku pośrodku placu, zwanym Rondlem, sprzedawano zapiekanki, obiekt moich kulinarnych pragnień. Prababcia z niedowierzaniem kręciła głową, ale sięgała po portmonetkę. Chrupiąca bagietka, na zewnątrz lekko przypieczona, w środku miękka, obłożona pieczarkami i wiórkami żółtego sera, który topiąc się, zastygał w żółtą kołderkę, a na to obfita porcja keczupu. McDonald niech się schowa.

Prababcia powiedziała, że przed wojną były tu jatki, a w okrągłym budynku znajdowała się rytualna rzeźnia drobiu. Nie znałam wyrazu rzeźnia. Kiedy go poznałam i zrozumiałam, w jaki sposób mięso trafia na mój talerz, po raz pierwszy w życiu zostałam wegetarianką. Na widok jakiegokolwiek mięsa robiło mi się niedobrze, jedzenie pęczniało mi w ustach, żołądek podchodził do gardła. Potem znowu zaczęłam jeść mięso, ale rzadko, i tak jest do dzisiaj. Ziarenko świadomości zakiełkowało, choć chyba nie taka była intencja prababci Emilii. Dla niej to był naturalny cykl życia, odwieczna kolej rzeczy. Zrozumienie dla swojej wrażliwości znajdowałam za to u Doroty, która była nastawiona do życia proekologicznie i pokojowo. *Peace and love*. Najwyraźniej poglądy są nierozzerwalnie związane z tym, w jakiej epoce się ktoś urodził. Tym bardziej zastanawiający i nie do wytłumaczenia inaczej niż zrzędzeniem losu był fakt, że Majewskie miały dzieci, a nie miały mężów. Przecież dawniej takie sytuacje nie były na porządku dziennym.

Stałam trochę onieśmielona, nie wiedząc, od czego zacząć. Tłum falował, dziewczyny i kobiety nachylały się nad stołami, przykucały na chodnikach, ściągały ciuchy z wieszaków. Przykładały je do siebie, przymierzały – oczywiście, nie było tu żadnych kabin ani parawanów, wszystko odbywało się publicznie, za osłonę musiała wystarczyć jakaś chusta, trzymana przez sprzedającą lub przyjaciółkę, ale nikt się tym nie przejmował. Atmosfera wielkiego ciuchlandu pod chmurką zrobiła na mnie duże wrażenie. Nigdy nie

kupowałam ubrań w taki sposób. Zawsze szłam do sklepów stacjonarnych, przychodziłam z konkretną potrzebą, wybierałam coś dobrego jakościowo, solidnie uszytego i w miarę neutralnego stylistycznie. Kobiety na placu bawiły się modą, przebierały. Widać było, że sprawia im to radość. Ja się chowałam za ubraniami. A gdyby tak spróbować coś zmienić? Akurat swojej odzieżowej nieśmiałości nie muszę akceptować...

Najpierw jednak postanowiłam pójść na prawą stronę placu, gdzie w wydzielonej części handlowano starociami. Właściwie po to przyszłam, poza tym było tu trochę luźniej. Nie szukałam niczego konkretnego. Emilia żyła otoczona przeszłością, więc teoretycznie mogłabym wybrać kilka drobiazgów z jej rzeczy. Wszystkie drobne przedmioty dekoracyjne u prababci było jednak utrzymane w podobnej gamie kolorystycznej, brązowo-bordowej, bardzo stonowane i zachowawcze, a ja zapragnęłam czegoś ożywczego, jaśniejszego, co by pasowało do wyczyszczonych zasłon. I dobrze wyszło na zdjęciach.

Przechadzałam się między stoiskami i po niedługim czasie zrozumiałam, że takie hobby może wciągać. Każdy przedmiot był inny, każdy wyjątkowy, każdy miał swoją historię. Zatrzymałam się przy małym wazoniku. Miał prostą, geometryczną formę, delikatne rzeźbienia, ale niesamowity kolor – bardzo jasny zielony, a szkło było przezroczyste.

– Z dwudziestolecia międzywojennego – poinformował mnie sprzedający.

– Śliczny. – Wpatrywałam się w wazonik z zachwytem. – Wydaje się aż świecić.

– Nic dziwnego, bo szkło jest barwione uranem – roześmiał się. – Magia wynika z chemii. A to właściwie nie wazon, tylko pojemnik apteczny.

- No i po tajemnicy. – Odwzajemniłam uśmiech. – Ale wciąż mi się podoba, może dlatego, że jestem farmaceutką.

– No to świetnie pani trafiła, bo mam zestaw bardzo ładnych naczyń aptekarskich ze szkła oranżowego. Niech pani spojrzy. –

Sięgnął po trzy pojemniki różnej wielkości. Miały klasyczny kształt, piękną bursztynową barwę i oryginalne nalepki. – Trzymano w nich kardamon, goździki i gałkę muszkatołową. Kiedyś aptekarze leczyli przede wszystkim naturą, ale to na pewno pani wie.

Wiedziałam. Zapragnęłam mieć wszystkie te pojemniki. Dobiliśmy targu – hurtowy zakup, spora zniżka. Opakowane w stare gazety zdobycze włożyłam do płóciennej torby i poszłam w kierunku ciuchów.

Można tu było dostać oczopląsu. Kolory migotały jak w kalejdoskopie. Po raz pierwszy w życiu moda tak mnie pochłonięła. Wsiąkłam w ciuchy na prawie dwie godziny, choć wydawało mi się, że minęło nie więcej niż kwadrans. Z niedowierzaniem patrzyłam na zegarek – było dziesięć po pierwszej, a o drugiej miała przyjechać babcia. Z żalem opuszczałam plac, zaczynałam się tu coraz lepiej czuć. Nie wiedziałam, kiedy kolejny raz tu przyjdę – ciuchami handlowano tylko w niedzielę, a ja w piątek wracałam już do domu. Kupiłam małą skórzaną torebkę – niedużą listonoszkę w kolorze soczystej zieleni i z fikuśnymi frędzlami. Była prześliczna i bardzo oryginalna. I wcale nie kosztowała dużo. Mogłam sobie pozwolić na dzisiejsze szaleństwa, bo ostatecznie luksus ciepłej wody kosztował dziewięćset złotych, więc zaoszczędzoną stówkę postanowiłam wydać na siebie. Mnie też należało się coś od życia.

– Och, Klaruniu, ależ tu czysto! – Babcia była pod wrażeniem odmalowanych przeze mnie ścian.

Tak, dzisiejsza nagroda zdecydowanie mi się należała.

– Dziękuję, babciu. Poszło nawet całkiem znośnie. Trochę się namachałam wałkiem, ale warto było. Zostały mi jeszcze łazienka i przedpokój, ale to już małutko w porównaniu z tymi pokojami. Poza tym dopiero wczoraj wieczorem skończyła się wymiana piecyka, więc nie było sensu wcześniej ich odnawiać.

– Och, to grubsza sprawa – zatroskała się babcia. – Trzeba było

powiedzieć, dołożyłabym ci.

– No co ty, babciu, przecież wiem, że emeryci nie śpią na kasie.

– To prawda, ale mam oszczędności.

Kochana babcia, pomyślałam z czułością. Sama ma niewiele, a jeszcze się podzieli.

– Trochę żal, że takie inwestycje trzeba ponosić na chwilę przed sprzedażą.

– Wiem, babciu, ale mam nadzieję, że to się zwróci.

Babcia pokiwała głową, ale odniosłam wrażenie, że jej żal dotyczył jednak bardziej sprzedaży niż zapłacenia za nowy piecyk.

– Chodź, zobaczysz salon. Nie podosuwałam jeszcze mebli do ścian, bo farba dosycha, ale ogólnie jest już całkiem ładnie.

Weszliśmy do dużego pokoju.

– Och, rzeczywiście. Tak tu świeżo, czysto.

– Też mi się podoba. Nawet wyczyściłam okno i dałam do prania zasłony. Ramę by trzeba odmalować, ale na razie można przyjąć, że to taki rustykalny styl. Z tymi lipami wygląda wprost obłędnie. – Podeszłam do okna. Popatrzyłam na drzewa i na ulicę. Zobaczyłam kolorową plamę na szarym chodniku. Jadwiga.

– Babciu, chodź na chwilę – poprosiłam.

Elżbieta podeszła do okna.

– Widzisz? – Pokazałam palcem na sąsiadkę z parteru. – Znasz ją? Straszna z niej dziwaczka.

– Znam. To znaczy nie z imienia i nazwiska, ale z widzenia – tak. Kiedyś mieszkała tu jej ciotka, którą się opiekowała. Przez ostatnie lata były we dwie, a potem, kiedy ciotka umarła, została tylko ona. A dlaczego mówisz „dziwaczka”?

Zatkało mnie. Moja babcia, schludna i odprasowana jak królowa angielska, pytała, dlaczego nazwałam panią Jadzię, ubraną we wszystkie kolory tęczy i w wielkim kapeluszu, dziwaczką.

– No bo wygląda niesamowicie. I to w takim wieku...

– No to wygląda niesamowicie. I ma pewnie więcej lat niż ja. Ale to może nie dziwactwo, tylko, jak to się teraz mówi – indywidualność?

Nie, babcia się ze mnie nie nabijała. Mówiła poważnie. Ugrzecznona i schludna część mojego charakteru nie chciała jednak odpuścić.

– Wygląd to jedno. Byłam też u niej w domu i to był po prostu objazd. No mówię ci, babciu, zupełne szaleństwo. Kwiatki, szlaczki, kolor.

Babcia się uśmiechała, nic nie mówiąc. Podpuszczała mnie czy była bardziej otwarta niż ja?

– A! – powiedziałam triumfalnie, bo znalazłam coś na obronę swojej teorii. – I mówi od rzeczy.

– A co takiego na przykład?

– Coś o jakichś trzech, nie wiem kim, chyba kobietach. Stałyśmy przed drzwiami frontowymi, już właściwie wchodziłam do klatki, a ona powiedziała: „One były trzy”.

Patrzyłam na babcię, oczekując, że teraz mnie poprze w ocenie sąsiadki z parteru.

Babcia jednak milczała. Widać było, że się nad czymś zastanawia.

– One były trzy – powtórzyła. – Trzy – powiedziała trochę do mnie, a trochę do siebie, kiwając w zamyśleniu głową. – Z niczym mi się to nie kojarzy. Chyba że... Może miała na myśli Mojry? – zapytała po chwili.

– Kogo? – Nie zrozumiałam.

– Mojry. Boginie przeznaczenia.

Mojry. Coś mi zaświtało w głowie. W liceum na polskim mieliśmy lekcje z mitologii greckiej. Jakaś nitka, jedna kobieta coś przędła, inna chyba cięła. Pamiętałam jak przez mgłę, że chodziło o los, przeznaczenie.

– No dobrze, może i były jakieś Mojry, ale co to ma wspólnego ze mną?

– Z tobą to nie wiem, ale z kamienicą dużo.

Na starość ludzie dziwaczejają, i to wszyscy, pomyślałam. Jak się przed tym bronić? Może powinnam jednak brać ginko biloba albo chodzić na jogę? Robić coś, co uchroni mnie przed fatalnym obumieraniem neuronów i osuwaniem się w ześwirowanie.

– Babciu – zaczęłam powoli i spokojnie. – Jak jakieś mity mogą mieć coś wspólnego z tą kamienicą? Tu nie Grecja, tylko Kraków. I dwudziesty pierwszy wiek.

– A jednak. Dawniej na frontonie budynku była płaskorzeźba, a na niej Mojry. Mój dziadek, ojciec mojej mamy, a twojej prababci, Jan Majewski, uwielbiał mitologię. Kiedy zbudował kamienicę, wejście do niej kazał ozdobić trzema Mojrami. Nie pamiętam ich imion, ale sprawdzę w encyklopedii, zresztą tu powinien być pradziadkowy egzemplarz mitologii. Podanie mówi, że pierwsza siostra zawiązuje nić ludzkiego życia, druga ją rozwija, trzecia natomiast – przecina. Dlatego przedstawia się je z miarką, wrzecionem i nożycami w rękach. I taki obrazek był nad drzwiami wejściowymi naszej kamienicy.

– Nie wiedziałam o tym, nikt mi nie opowiedział tej historii.

– To było strasznie dawno temu, przecież prapradziadek Majewski stawiał kamienicę na początku ubiegłego wieku. Ja bardzo mgliście pamiętam te płaskorzeźby; byłam wtedy mała. Mama kiedyś wspomniała o Mojrach, a potem już nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. Teraz dopiero mi się przypomniało.

– A co się z nimi stało, z tymi Mojrami? Dlaczego już ich nie ma?

– Zniszczyły się ponoć, choć nie wiem dokładnie dlaczego, bo wojna na pewno ich nie naruszyła. Kamienica w żaden sposób nie ucierpiała. Mama zaraz po śmierci ojca odnowiła tynk, odmalowała i żeby było ładniej, to posadziła lipy przed wejściem. Teraz, jak o tym opowiadam, to przypominam sobie, że gdy kamienica miała starą fasadę, to płaskorzeźby jeszcze były. Potem, już odmalowana, miała gładki fronton.

– A dlaczego prababcia nie odtworzyła tych Mojr, skoro się zniszczyły?

– Nie mam pojęcia, a prawie nic nie pamiętam, mogę się tylko domyślać. Przecież skończyła się wojna, była bieda, ludzie mieli inne problemy. Mama została sama ze mną, ciężko jej było. Zaraz potem zaczęła się nacjonalizacja. Trudne czasy nastały. Kto by miał wtedy głowę do takich szczegółów. Mojr już nie ma, ale za to te lipy

jakie piękne.

Popołudnie minęło nam bardzo przyjemnie. Babcia przyniosła ze sobą pierogi własnej roboty, które odgrzałyśmy na patelni. Niebo w gębie, nawet Poziomka mogłaby się u babci uczyć sztuki kulinarnej. Potem poszłyśmy na spacer, nad Wisłę, trochę się powygrzewałyśmy w popołudniowym słońcu i wreszcie odprowadziłam babcię na przystanek, a sama wróciłam do domu. Byłam bardzo zmęczona, dopiero wychodziło ze mnie remontowe przepracowanie. Nalałam sobie do wanny gorącej wody i z rozkoszą zaległam w wannie. Boże, jak dobrze mi było po tym domowym spa! Mięśnie się rozluźniły jak po masażu, skóra zrobiła miękka i gładka. Poczułam się jak nowo narodzona. Na kolację zjadłam bułkę z masłem, nie chcąc niczym wyraźniejszym przykryć wspomnienia po babcinych ruskich, wypiłam miętę, umyłam zęby i wskoczyłam do łóżka, przekonana, że gdy tylko przyłożę głowę do poduszki, to zasnę. Sen jednak nie przychodził. Wierciłam się w pościeli, zmieniałam pozycję, bez efektu. W tyle głowy miałam tę rozmowę o Jadzi, kamienicy i Mojrach. Niby wszystko wyjaśnione, ale czułam, że w tej historii jest coś dziwnego, coś, co ma związek nie tylko z kamienicą, lecz także ze mną, z nami, Majewskimi. I wcale się nie skończyło zaraz po wojnie. Babcia powiedziała, że w biblioteczkę powinien być należący do pradziadka egzemplarz *Mitologii*. Nie przypominałam sobie, bym go widziała, kiedy opróżniałam półki, ale mogłam przegapić. Wstałam i podeszłam do kupki z książkami. Kucnęłam i zaczęłam się przyglądać grzbietom. Różne tytuły, ale *Mitologii* brak. Nagle zobaczyłam książkę obłożoną w szary papier pakowy i niepodpisaną. Wyciągnęłam ją ze sterty. Otworzyłam. *Mitologia!* Dlaczego nikt jej nie opisał z wierzchu? Dlaczego jako jedyna ma zakrytą okładkę?

Wróciłam do łóżka, podciągnęłam poduszkę, zapaliłam małą lampkę i usadowiłam się wygodnie. Otworzyłam książkę i odnalazłam mit o Mojrach – trzech siostrach, które mieszkały w pałacu w sąsiedztwie Olimpu, czuwając nad życiem każdego

człowieka. Kloto, czyli Przędka – plotła nić żywota, Lachesis, inaczej Udzielająca – strzegła tej nici, i Atropos, zwana Nieodwracalną – przecinała ją. Mojry rozpoczynały ludzki los i wyznaczały jego kres.

Na czarno-białej ilustracji widniały trzy kobiety. Jedna nachylała się nad kołowrotkiem, druga przejmowała od niej splecioną nić i zwijała ją w kłębek, a trzecia siedziała z założonymi rękoma, a u jej stóp leżały nożyce.

Choć były siostrami, różniły się wiekiem: Kloto była młodą dziewczyną, Lachesis – kobietą w średnim wieku, Atrops miała twarz staruszki.

Na dole strony, pod tekstem, ktoś zrobił dopisek ołówkiem: „Od wyroku Mojr nie było odwołania”.

Rozdział czternasty



22 grudnia 1939 roku

Ojciec wie. Awantura była taka, że przez dwa tygodnie nie zdołałam do pamiętnika usiąść, tak to wszystko przeżyłam. Mateńka mu powiedziała; domyśliłam się kiedy, bo najpierw usłyszałam podniesione głosy, a potem wypadł z pokoju z furią w oczach. Dopadł do mnie, potrząsnął za ramiona, a potem uderzył w twarz. Mateńka, jak to zobaczyła, podbiegła do nas, ale ją odepchnął. „Latawica”, krzyknął w moją stronę i splunął na podłogę.

Boże, jak mi źle. Wiem, że niewłaściwie zrobiłam, że panienka z brzuchem to wstyd, że takie rzeczy się nie powinny w dobrym domu wydarzać, ale to przecież z miłości. A czy miłość i nowe życie z niej zrodzone mogą być czymś złym?

23 grudnia 1939 roku

Różia przyniosła choinkę z targu. W cukierniach brak w tym roku ozdobnych cukierków, więc udekorowałyśmy ją tylko watą. Zrobiłam z tektury gwiazdę na czubek i okleiłam ją błyszczącym celofanem. Kiedy ją wieszałam, myślałam o jednym, jedynym życzeniu – żeby wieści od Staszka dostać.

24 grudnia 1939 roku

Dziś przychodzi do nas na Wigilię ciotka Ojca razem ze swoją rodziną. „Ani słowem o tym nie wspomnij”, upomniął mnie, patrząc na mój brzuch, wciąż jeszcze niewypukły. Nie powiem, ale przecież ciotka i tak się dowie, nie da się tego w nieskończoność utrzymywać w tajemnicy.

Miałam nadzieję, że choć na święta przyjdzie jakieś słowo od Staszka. Widać jednak, że wojny nie obchodzi kalendarz i uroczystości.

25 grudnia 1939 roku

Boże Narodzenie. Mała stajenka, zimny żłóbek, niepewna swego losu i losu swego dziecka matka. W tym roku wyjątkowo przeżywam święta.

1 stycznia 1940 roku

Poniedziałek, pierwszy dzień tygodnia, pierwszy dzień nowego roku. Jaki on będzie – dla mnie, dla Staszka, dla Mateńki i Ojca, dla Polski?

Ludzie mimo wszystko świętowali, dziś wyszli na spacer, pozdrawiając się i życząc sobie „wszystkiego najlepszego”. Mateńka mówi, że ona by była szczęśliwa, gdyby tylko już się gorzej nie zrobiło.

Mnie do szczęścia potrzebne tylko to, by Staszek do mnie wrócił. Do nas.

13 stycznia 1940 roku

Ależ zimno! Mróz ścisnął w połowie grudnia i wciąż trzyma. Różia pali, ale Ojciec nakazuje oszczędność, bo wszystkiego zaczyna brakować. Siedzę więc najczęściej w salonie przy ciepłym piecu, a tam pisać nie mam jak – po to się wymykam do swojego kącika, gdzie palce szybko grabieją.

1 lutego 1940 roku

Od Tłustego Czwartku do Zmartwychwstania ścisły post się

kłania – jeszcze rok temu to przysłówie oznaczało wyrzeczenia, które należało czynić, a którym trudno było sprostać. Teraz zadanie o wiele prostsze – słodyczy brak, mięsa brak. Karty żywnościowe, wydawane przez Niemców, zaspokajają zaledwie trzecią część potrzeb. Ojciec załatwił Rózi fałszywe dokumenty poświadczające pracę w niemieckim przedsiębiorstwie skupującym zioła. Z tymi papierami, dla bezpieczeństwa, Różia maszeruje pod miasto, skąd przynosi w plecaku kaszę, słoninę i mąkę.

22 lutego 1940 roku

Mojego stanu dłużej chyba nie sposób ukrywać. Dziś, kiedy się ubierałam, do pokoju weszła Różia. „Przepraszam”, powiedziała i zaraz speszona wypadła. Tę scenkę Mateńka zauważyła. Poszła do kuchni za Rózią, a potem słyszałam jej przyciszony głos. Po niecałym kwadransie zjawiała się u mnie i oznajmiła, że Różia wie tyle, ile widzieć powinna. To znaczy od dłuższego czasu podejrzewała, co wyznała Mateńce, ale – oczywiście – nie ośmieliłaby się zapytać. Ma milczeć i nikomu nic nie opowiadać, tak sobie Ojciec życzy. Różia przed Ojcem respekt wykazuje, więc na pewno dyskrecję zachowa.

Mateńka zapytała, jak się czuję. A czuję się dobrze. Po początkowych przykrościach zostało już tylko wspomnienie. Sił mam dużo, cerę ładniejszą, włosy błyszczące. Mówi się, że kobiety przy nadziei zmęczone, osłabione tym nowym życiem, z którym muszą się wszystkim dzielić, ale mnie to chyba nie dotyczy. Ta kruszyna, co we mnie wzrasta, będzie wyjątkowa, czuję to. Skoro ma takiego ojca...

17 marca 1940 roku

„Nie denerwuj się”, powtarza mi Mateńka. No ale jak tu się nie denerwować? Czuję, że już zużyłam wszystkie pokłady cierpliwości. Przecież wiem, że mnie kocha. Na pewno by napisał, gdyby mógł. A jeszcze gdyby wiedział, że nasze złączone wspólną obietnicą życie będziemy – kiedyś, kiedyś... – wieść we troje, to cudu by dokonał,

żeby jego list drogę do mnie znalazł. A tymczasem on nic nie wie, ja nic nie wiem. Rozpacz czarna...

Poszłyśmy na Rynek. Pod Sukiennicami stragany, a na nich palemki. Kupiłyśmy jedną. Potem powoli wracałyśmy do naszej kamienicy. Pogoda ładniejsza, ale dokoła coraz strasznej. Szczególnie źle się dzieje Żydom. Nie wolno im korzystać ani z tramwajów, ani z pociągów. Do czego to wszystko nas zaprowadzi?...

19 marca 1940 roku

Dziś Mateńka poszła ze mną do doktora Makowieckiego. Wszystko dobrze, dzieciątko się rozwija jak należy. Przez specjalną trąbkę doktor wysłuchał, jak mu bije serduszko. Biję szybciotko: pik-puk, puk-puk, puk-puk, jak rozpedzona lokomotywa. Doktor powiedział, że to normalne, że dopiero po urodzeniu to tempo się zmniejsza. U mnie na pewno dziś było takie jak u tej kruszynki. Doktor wyliczył, że poród nastąpi w drugiej połowie czerwca.

Staszku, Staszku, gdzie jesteś? Modlę się za Twoje życie i zdrowie.

28 marca 1940 roku

Parę dni przed świętami pisałam, że szczególnie mi Żydów żal, a zaraz potem pogrom się wydarzył. Największy ponoć w Warszawie, ale i u nas były przypadki napaści. I to chwilę przed Zmartwychwstaniem Jezusa, kiedy się w kościele w zadumie i wdzięczności klęczy. Pojąć nie mogę tej podłości, nienawiści, całej tej wojny!

15 kwietnia 1940 roku

Przez ostatnie tygodnie zapuściłam naukę; nie ma nadziei, bym w najbliższym czasie mogła się kształcić, tak jak sobie zaplanowałam. Licea polskie istnieć nie mogą to raz, a dwa, że w moim stanie to i tak by zaraz było wykluczone. Potem pewnie też. To „potem” coraz mocniej mnie angażuje. Boję się porodu, pamiętam rozmowy Mateńki z ciotką, kiedy jej młodsza córka się pojawiła na

świecie. Ciotka omal życiem tego nie przyplącała, komplikacje jakieś były, wiele lęku. Doktor Makowiecki na ostatniej wizycie polecił Mateńce akuszerkę, panią Szynel. Ma nas odwiedzić w tym tygodniu.

19 kwietnia 1940 roku

Po wizycie pani Szynel dużo więcej wiem o porodzie, choć od tej wiedzy płonęłam i bladłam na przemian. To jednak bardzo miła kobieta. Bałam się, że mnie osądzi, z wyższością traktować będzie, a ona mnie pogłaskała po policzku i powiedziała: „Panienka się nie boi, jak już się zacznie, pospieszę do panienki i z całą stanowczością i ludzkością pomogę, tak jak mnie uczono i do czego się zobowiązałam przysięgą”. Trochę mnie to uspokoiło – taki jasny punkt w morzu mroku.

30 kwietnia 1940 roku

Ojciec niezadowolony, „że się ludziom pokazuję”. Nie wiem, czy kogoś obchodzi „matka bękarta” – paskudne określenie – tży mi się same do oczu cisną, skoro wokół tyle zła. Mateńka mnie jednak w tym popiera – siedzieć w domu to i niezdrowo, lekarz zalecił przecież nieforsowne spaceru, i już całkiem by można zwariować z tej beczynności. Mam wrażenie, że gdy spaceruję, to łatwiej nie myśleć.

Piękny dzień się zapowiadał, więc po śniadaniu wybrałyśmy się z Mateńką na spacer. Wydawało mi się, że coś jest inaczej, jednak początkowo nie mogłam się zorientować co. Aż w końcu zrozumiałam – nie zobaczyłam ani jednej opaski z gwiazdą. Od wczoraj Żydom nie wolno wchodzić na Rynek ani spacerować po Plantach. Wojna pokazuje okropne oblicze, coraz gorsze. To, co miało przynieść chwilowe ukojenie, przydało mi trwogi. Drzę o Staszka jeszcze bardziej.

11 maja 1940 roku

Od kilku dni wstaję w nocy, uciśnięty pęcherz spać nie pozwala.

Bywa, że dzieciątko mnie budzi, gdzieś rączkę albo nóżkę włożywszy. Potem, rozbudzona, na powrót zasnąć nie mogę. Dziś w nocy też się tak przewracałam z boku na bok, w końcu wstałam do kuchni, żeby się wody napić. Nie miałam zamiaru budzić Rózi, ale może byłam nie dość cicho, bo ona i tak się zaraz zjawiała. Wyjaśniłam, że niczego nie potrzebuję, tylko mnie bezsenność męczy. Ona odpowiedziała, że przecież taka jej praca i że niedługo to pewnie i tak co noc będzie potrzebna. I zaraz się tego zawstydzila, jakby jakąś niestosowność popełniła. A ja, sama nie wiem czemu, pewnie z tego zmęczenia i napięcia, a może i z potrzeby ulżenia duszy, odparłam, że nie tak to wszystko miało wyglądać i że wciąż mam nadzieję, że Staszek wróci. A wtedy Rózia płaczem wybuchła, wymamrotała przeprosiny i do siebie pobiegła.

To napięcie wszystkim się chyba udziela. Mateńka, im bliżej daty wyznaczonej przez doktora Makowieckiego, tym częściej z migreną leży. Ojciec chmurny, finanse, zdaje się, źle już całkiem stoją. I mój widok, brzemiennej, też mu przykry.

Niemcy zaatakowali Danię, Norwegię, Holandię, Belgię i Luksemburg. Początek ofensywy wojsk niemieckich we Francji.

20 maja 1940 roku

Judenaussiedlung aus Krakau. Niemcy uznali, że za dużo Żydów w Krakowie, więc trzeba ich przesiedlić. Na razie do obozu przejściowego w forcie przy Mogilskiej. A potem dokąd ich zabiorą?

3 czerwca 1940 roku

Już całkiem mi ciężko, a upał tylko wzmacnia zmęczenie. Pani Szyneł dziś mnie odwiedziła i zbadła, co było trochę bolesne i jeszcze bardziej zawstydzające. Osłoda jednak była jej opinia, że wszystko wygląda prawidłowo i w tym miesiącu na pewno przywitamy dzieciątko na świecie.

10 czerwca 1940 roku

Żeby zająć czymś głowę, wróciłam do nauki francuskich słówek.

Jednak mam wrażenie, że jednym uchem wchodzą, a drugim wychodzą. Niczego spamiętać nie potrafię. Duszności mnie łapią, stopy w trzewiki nie chcą się wcisnąć.

11 czerwca 1940 roku

Włochy wypowiedziały wojnę Francji i Wielkiej Brytanii.

21 czerwca 1940 roku

Bietka, Bietka, moja kruszynka.

26 czerwca 1940 roku

Dziś w nocy po raz pierwszy od porodu wstałam. Pani Szymel pozwoliła, choć zastrzegła, żeby się nie forsować i wciąż dużo wypoczywać. Ja, mimo bólu i niedyspozycji, bardzo tego potrzebuję. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam tak unieruchomiona, pewnie w dzieciństwie, gdy na przeziębienie poważne zapadłam.

Chciałam zapisać kilka zdań o tym, jak się Bietka na tym świecie zjawiała, żeby mi potem nie umknęły, ale i tak już przepadły. Może gdybym od razu je skreśliła w tym notesiku-powierniku, byłoby inaczej. A może nie, bo jak oddać to wszystko, co się przeżyło – i cieleśnie, i duchowo – słowami?... Całkiem nie sposób. Swoje wyobrażenia na temat tego, co mnie czeka, miałam, ale rzeczywistość je zrewidowała. Pismo mówi: „W bólach będziesz rodziła”, i ból był. Do niczego porównać go nie można, włada ciałem, tak że to, co z początku wydaje się trudnym zadaniem, potem już tylko cierpieniem nazwać można. Pani Szyneł pomocna, cierpliwa. Mateńka blada, Różia biegająca z wodą gorącą i prześcieradłami. Ojciec zaś jakby odmieniony. Nerwowo chodził po korytarzu, a gdy Bietkę usłyszał, jak zapłakała, to podobno z ulgą odetchnął. Co prawda, rozczarowanie się odmalowało na jego twarzy, gdy usłyszał, że dziewczynka, ale teraz pyta o samopoczucie moje i tej kruszynki, spokojniejszy i przychylniej nastawiony. Mateńka bardzo wzruszona.

Imię córeńka moja sama sobie wybrała, 18 się rodząc, w swoje

imieniny właśnie.

Ja przeszczęśliwa. O bólu zapomniałam, gdy ujrzałam te małe niebieskie oczy i jasne włoski. Pani Szynel mówi, że większość noworodków ma niebieskie oczy, ale ja myślę, że jej się to zmieni i po Staszku kolor mieć będzie. Patrzę na Bietkę i kocham ją dwa razy mocniej – za nią samą i za Staszka.

Staszek... Dziś, może z emocji, może ze zmęczenia, przez moment nie mogłam sobie przypomnieć jego twarzy. Ależ to było okropne! Przecież pamięć i trochę słów to wszystko, co po nim mam. Czemu nie poprosiłam o fotografię? Pewnie byłaby już wytarta od głaskania i pomięta od ściskania.

Bietko, Córeńko moja, żebyś Ty wiedziała... Staszku, wymarzony mój, żebyś Ty wiedział...

9 lipca 1940 roku

Dziś pójdę na pierwszy spacer z Bietką. Mateńka jakimś cudem zdobyła wózek. Całą zimę haftowała, wyszywała, chusty na szydełku robiła, Różia to na Tandecie sprzedawała, a za zebrane w ten sposób pieniądze wózek kupiły. I to wszystko w tajemnicy przede mną! Kochana Mateńka, a i Różia, co słówkiem się nie wygadała, też zasługuje na uznanie.

Wózek piękny. Wcześniej innym maluchom służył, ale Różia go odczyściła, nową wyściótkę dała i jest jak z żurnala – na dużych kołach, z wiklinową kremową budką.

Ojciec chyba zaakceptował sytuację. Zaćwierka czasem do małej, dla mnie ma miłe słowo.

Wszystko się ułoży, tylko żeby Staszek cały był.

18 sierpnia 1940 roku

Jeśli ktoś jeszcze nie rozumiał, co nas czeka podczas wojny ze strony tych kulturalnych Niemców, to dziś pojąć to musiał. Poszłam na spacer z Bietką. Na Rynku jakieś poruszenie. Tłumy stojące dookoła kordonu policji, zawodzące kobiety. A na bruku roztrzaskany pomnik Mickiewicza.

Aż mnie w środku zakłuło. Zniszczyć naszego wieszczą, serce naszego narodu! Oni chcą nas złamać, unicestwić, zabrać nam to, co dla nas najcenniejsze. Mnie zabrali Staszka. Boję się bardzo, obserwując te okropieństwa i nasilający się terror, jaki będzie jego los. Czy walczy, czy ranny, a może w niewoli?

Mnie tu jest trudno – chciałam napisać – samej, ale przecież sama nie jestem. Mam już Bietkę, Mateńka też mnie wspiera. Jest się przy kim ogrzać, do kogo twarz obrócić. A on?...

1 września 1940 roku

Mija pierwszy rok wojny. Któżby we wrześniu 1939 pomyślał, że tyle to będzie trwać?

Wszędzie powiewają niemieckie flagi, symbol panowania Niemców nad Polską. Rynek to Adolf Hitler Platz. Wawel – tak mówić nie wolno, za to więzienie grozi! – to Krakauer Burg.

Na coś ty się, kruszynko, rodziła?...

8 września 1940 roku

Mała niespokojna w ciągu dnia, bo kolki, w nocy się kilka razy wybudza. Początkowo wszystko było idealnie, spała jak aniołek, oczka tylko otwierała na karmienie, po czym znowu odpywała w sen, tak że nawet nocne pobudki aż takim trudem nie były okupione. Od kilku dni zaś płaczliwa, marudna. Pani Szynel, zawezwana przez Mateńkę, mówi, że to kolki, że na to można koper dawać i że ja sama też powinnam go pić. Ano zobaczymy, może poskutkuje. Mnie się jednak wydaje, że Bietce udziela się nerwowość – moja i ogólna. Ogólna, bo końca wojny nie widać, w mieście coraz trudniej żyć, coraz mniej polskości, coraz więcej niemieckości. Moja, bo przez wszystkie miesiące ciąży starałam się być dzielna i zebrać siły na poród, co się udało, a teraz zaczyna ich brakować. Wcześniej napędzało mnie oczekiwanie, żywsza nadzieja. Teraz – nie ma skąd brać budulca. Przydałby się jakiś ciepły promyczek nadziei. Ile można żyć, czekając z taką samą, niezachwianą wiarą? Nie wolno mi zwątpić w dobre zakończenie.

Muszę być silna – dla siebie i dla córki. Naszej córki.

20 listopada 1940 roku

Dzień do dnia podobny, Bietka w nocy dokazuje, sama nie wiedząc, czego jej potrzeba – czy mleka, czy przytulenia, czy zmiany pieluszki. Biedna dziecina, biedna ja. „Osierococone” – daję tu cudzysłów, stan ducha oddający. Bałabym się bez niego to słowo zapisać, żeby losu nie sprowokować.

25 grudnia 1940 roku

To chyba najprzykrzejsze święta w całym moim życiu. Smutek mnie opadł i niczym go usunąć nie mogę. Próbuję być pogodną – dla Bietki, dla Mateńki, która tak się stara, by przywrócić normalność. Dla malutkiej zrobiła na szydełku misia, którego wypchała gałganami. Mnie przenicowała płaszczyk, więc sezon wiosenny rozpocznę w prawie nowej garderobie. Wśród braków różnych, kulinarnych też, cudów dokonuje. Resztkę ostatnią kawy normalnej połączyła ze zmielonymi, wcześniej na blasze upieczonymi żółędziami. Z pumpernika i jabłek szarlotkę wyczarowała. Ziemniaki na wszelkie sposoby, obierki nawet, uczy Rózię w kuchni wykorzystać.

Wigilia była więc skromna, nawet bardzo. Tylko my i Rózia. I wolne miejsce przy stole, jak tradycja każe. Dla zbłąkanego wędrowca.

Staszku...

21 marca 1941 roku

Pierwszy dzień wiosny. Czasem takie oczywistości jak zmiany pór roku wydają się cudem. Słońce zawsze niesie nadzieję, teraz też. Spaceruje dłuższe, zawsze to jakaś rozrywka, przepędzenie kolejnego dnia.

Zauważalna, przykra zmiana: Żydzi mogą przebywać wyłącznie na terytorium zrobionego dla nich getta.

23 czerwca 1941 roku

Mało ostatnio piszę, z różnych powodów. Trochę melancholii, dużo zmęczenia. Bietka roczek skończyła i dzień przed pierwszymi urodzinami cały salon samodzielnie przeszła, dopiero na progu do jadalni na pupę klapnęła. Wszyscyśmy jej brawo bili.

Ojciec, chyba z okazji tych urodzin, odbył ze mną rozmowę, „o przyszłości”. Zapytał, czy kiedy „to wszystko się skończy”, planuję sobie jakoś życie ułożyć. Początkowo nie rozumiałam, o co mu chodzi. Więc mi wytłumaczył – że gdybym zamierzała, a powinnam, wyjść za mąż, to on się postara o opiekunkę dla Bietki, a potem „się zobaczy”. I że źle się stało, bo inaczej można było rzecz ustawić, na przykład markując, że Bietka jest... moją siostrą! No wprost oniemiałam. Wydawało mi się, że sprawy się jakoś uładziły, że początkowy gniew mu minął, że zaakceptował swoją wnuczkę i mnie w roli jej matki. A tu się okazuje, że nie. No i gdzie w tym wszystkim miejsce dla Staszka? Powiedziałam, że na niego czekam, że to przecież ojciec Bietki, a mój ukochany. Popatrzył na mnie przez chwilę w ciszy, a potem odparł, że wojna pochłania wiele ofiar i naiwnością byłoby ufać, że Staszek tym prawidłem umknie. Bez żalu to powiedział, a mnie łzy rzęsiste popłynęły.

25 czerwca 1941 roku

Agresja Niemiec na Związek Radziecki.

16 sierpnia 1941 roku

Nie ma już Krakowa. Jest Krakau. Zniemczone zostały także nazwy ulic.

Jestem tak bardzo zmęczona, tak bardzo...

27 września 1941 roku

W herbie krakowskim brak orła. Niemcy go usunęli. Dowodzą, że nazwa miasta pochodzi od... Krakusa, wodza Wikingów!

Przybywa nowych Niemców, granice miasta zostały poszerzone. Wszędzie widać ich mundury, nie tylko wojskowi je noszą, lecz także

zwykli urzędnicy. Strasznie to przygnębiające. Nur für Deutsche, czyli „Tylko dla Niemców”. Wawel, Park Jordana i Park Krakowski, teatry, restauracje, tramwaje, sklepy, a nawet dworzec. Ich młodzież może się kształcić, nasza nie. Oni są rasą, a my – podrasą. Pod ich butem i szpicrutą.

Coraz częściej się czuję jak królik w klatce – małej, ciasnej, brudnej, czekający na pewną śmierć.

5 grudnia 1941 roku

General Sikorski i Józef Stalin podpisali w Moskwie deklarację o wspólnej walce z Niemcami.

Wcale nie zaglądam do notesu, bo co tu zapisywać, gdy wkoło same okropności, ale ta wieść, która się szybko rozniosła, jest warta zanotowania. Łapię się wszystkiego, co choć najmniejszą nadzieję daje na zakończenie wojny.

16 czerwca 1942 roku

Bietka kończy dwa latka. Kochany mały ludek. Rośnie sobie, przytula się, w rączki klaszcze, biega. I nie ma pojęcia, jakie okropieństwa dokoła się dzieją. Jak jej dobrze z tą nieświadomością. I z tym, że o ojcu jeszcze nic nie wie. A skoro nie wie, to i nie cierpi.

26 listopada 1942 roku

Niemcy zemścili się za zniszczenie pociągu przez partyzantów, wieszając w Płaszowie siedem osób przy torach kolejowych. Zapowiedzieli, że ciała nie zostaną zdjęte z szubienicy przez kilka dni. W celu odstraszenia następców. Za podobne akcje ma być odpowiedzialność zbiorowa i publiczne egzekucje. Jeśli cywilów tak traktują, to co robią z żołnierzami?

19 grudnia 1942 roku

W ramach odwetu za zamachy na swoich funkcjonariuszy Niemcy przesunęli godzinę policyjną – obowiązuje od osiemnastej do

siódmej. Jesteśmy jeszcze gorszymi więźniami. Może Boże Narodzenie podbuduje choć trochę wiarę.

W zeszłym tygodniu zdarzyło mi się pomyśleć o Staszku w czasie przeszłym. Ależ się tej myśli przelękałam! Czy to może być tak, że podświadomość przeczuwa coś, czego rozum żadną miarą jeszcze nie poznał?...

4 stycznia 1943 roku

Nie mogłam przestać myśleć o tej historii z poprzedniej notatki. Skoro tyle czasu już upłynęło i żadnej wieści nie mam, to sama zacznę Staszka szukać. Wydaje mi się, że wcześniej tego nie robiłam, bo wolałam niepewność od złej nowiny. Teraz jednak wybieram prawdę – jakakolwiek by ona była. Wysłałam list do Czerwonego Krzyża. Może to kwestia zmęczenia, znękania wojną, bo ileż można żyć w takim zawieszeniu, a może właśnie odwagi, mocy, by stawić czoła rzeczywistości? No i przecież nie tylko w swoim imieniu działałam – dla Bietki także. Na razie malutka ma tylko połowę rodziny; matka, owszem, najważniejsza, ale ojciec też przecież istotny. Tu jeszcze jedna przykreść – dopiero teraz się dowiedziałam, że w papierach Bietka jest tego samego co my nazwiska! Ojciec, występując o metrykę, nasze nazwisko rodowe podał. „Matka głowy do tego nie miała, ty tym bardziej, no a ojca dziecka nie było, to na siebie wziąłem ten obowiązek. Nazwisko dałem, powinnaś być wdzięczna”. Nauczona jestem okazywać rodzicom wdzięczność, ale tu nie tyle mój bunt się obudził, ile jakieś przeczucie złe – skoro Bietka ma naszą rodzinę, to tak, jakby Staszka nigdy nie było i być nie miało w jej życiu.

14 marca 1943 roku

Niemcy likwidują getto. Żydzi są przewożeni do obozów pracy. Co dalej z nimi będzie?...

23 kwietnia 1943 roku

A w warszawskim getcie powstanie. Dziś pomyślałam sobie, że

wśród wielu przykrości, którymi los mnie obdarzył, nie ma tej najokropniejszej teraz chyba – nie urodziłam się Żydówką. Czy to grzech tak myśleć?

25 października 1943 roku

Generalny gubernator Hans Frank zarządził wykonywanie kary śmierci na wszystkich osobach przeszkadzających w „niemieckim dziele odbudowy”. Na ulicach pojawiły się plakaty informujące, kto został skazany na rozstrzelanie i kiedy odbędzie się egzekucja.

Jak ja mam Bietce pokazywać ten świat?

24 grudnia 1943 roku

Czwarta wojenna Wigilia. Trzecia Bietki. Nie miałam już w tym roku tak silnej nadziei, żeby Staszek zajął wolne miejsce przy stole. Ale gdyby tak na przykład listonosz jakąś pocztę przyniósł – od niego albo z Czerwonego Krzyża?

Powiedziałam rodzicom, że szukam ukochanego. Ojciec się obruszył, że bez jego wiedzy – „przecież on jest w tym domu jedynym mężczyzną i o wszystkim wiedzieć powinien”.

Gdybym była żoną Staszka, inaczej by to wszystko wyglądało.

31 stycznia 1944 roku

W Puszczy Niepołomickiej dokonano ataku na Generalnego Gubernatora Hansa Franka. Nieudanego, niestety. Aż strach, jakie będą reperkusje.

16 czerwca 1944 roku

Bietka skończyła cztery latka. Jakaż ona jest śliczna! Oczka ma w kolorze orzecha laskowego. Trochę zielone – to po mnie, trochę brązowe – to po Staszku. Rezolutna, bystra dziewczynka. Wszystko ją ciekawi, a przy tym jest taka ułożona, spokojna. Wydaje się nad wyraz dojrzała, ale wojna na każdym to wymusza – nawet na tych, co pełnej świadomości nie mają.

24 lipca 1944 roku

Nieudany zamach na Adolfa Hitlera.

Ojciec twierdzi, że gdyby go zgładzono, wojna by się skończyła. Że Hitler jest złem wcielonym, się zgadzam, ale przecież za nim stoją tysiące popleczników. Wystarczy im wodza zabrać, by się zmienili? Bez przywódcy być może dalej nie pójda, ale czy od razu się staną dobrymi ludźmi, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

5 sierpnia 1944 roku

W Warszawie wybuchło powstanie.

5 października 1944 roku

Powstanie warszawskie się zakończyło. Klęska. Ileż osób tam zginęło, ilu mieszkańców musiało opuścić miasto! Piszę „miasto”, a tam już tylko kamień na kamieniu, cegła na cegle. Krwawym walkom ponoć przyglądała się z drugiego brzegu Wisły Armia Czerwona.

20 grudnia 1944 roku

To mają być ostatnie wojenne święta, jeśli tylko Niemcom nie uda się utrzymać Krakowa. Ale jaką cenę przyjdzie za to zapłacić?

Pomijając wszystko, oczywiście, okropnie bym się ucieszyła, choć to tylko połowa radości, bo druga część wciąż w mroku niepewności. Żadnych wieści o Staszku – on milczy, Czerwony Krzyż milczy.

18 stycznia 1945 roku

W nocy Niemcy uciekli z Krakowa, zostały jakieś niedobitki. W mieście armia radziecka!

8 maja 1945 roku

Hitler nie żyje, popełnił samobójstwo, a tydzień po tym Niemcy podpisały bezwarunkowy akt kapitulacji. Jesteśmy wolni!

Rozdział piętnasty



Sen jest balsamem dla duszy – podobno. Ostatnia noc nie spowiała mnie jednak miękkim kokonem marzeń sennych. Wręcz przeciwnie, dręczyły mnie takie koszmary, że obudziłam się zlaną potem.

Śnimy to, czym żyjemy. Wszystkie moje lęki związane z przyszłością, smutki dotyczące przeszłości i niepewność co do teraźniejszości spotkały się w tym jednym śnie.

A sen był przedziwny i straszny zarazem. W dużym pomieszczeniu, jakby hali, znalazło się sześć kobiet. Po jednej stronie trzy Mojry, a po drugiej: Dorota, Elżbieta oraz Emilia.

Mojry siedziały, milcząco przędły i snuły nić, mama, babcia i prababcia obserwowały je ze swojej ławki, coś do siebie szepcząc.

Kiedy weszłam, wszystkie spojrzały na mnie.

„To twoja nić”, powiedziała Dorota, pokazując palcem w kierunku Mojr. „Zobacz, jaka ładna”.

„Dobrze się nadaje do plecenia”, pokiwała głową babcia.

„I wiele wytrzyma”, dodała prababcia.

Podeszłam bliżej. Kołowrotek szybko się obracał, spod palców najmłodszej z sióstr płynęła gładka nitka. Średnia siostra zwijała ją w motki. Najstarsza miała na kolanach nożyce.

Stałam jak zahipnotyzowana, nie mogąc się ruszyć ani wydobyć z siebie słowa. Nie rozumiałam, co tu robię, dlaczego wszystkie

razem znalazłyśmy się w tym pomieszczeniu.

Byłam zaintrygowana, ale i onieśmielona.

A potem wszystko zaczęło się psuć. Nitka spadła z kołowrotka, trzeba ją było poprawiać. Splot nie był już taki równy. Jeden motek się poplątał, średnia siostra odłożyła go na bok. Drugi też się krzywo nawijał, więc zniechęcona przerwała pracę. Najstarsza siostra ruszyła w jej kierunku, klikając nożyczkami.

A ja wciąż tkwiłam w miejscu. Jak słup soli. Byłam przerażona. To przecież moja nitka, moje życie, poplątane, a teraz ma być ucięte! Krzyk uwiązał mi w gardle.

Dorota, Elżbieta i Emila podniosły się z ławki i coś do mnie wołały, ale nie rozumiałam ich słów.

Stopy miałam jak wmurowane, lęk mnie całkowicie sparaliżował.

Staruszka szła pewnie, a w wyciągniętej dłoni trzymała nożyce.

Rany, dlaczego mama albo babcia lub prababcia nie ruszą mi na pomoc? Dlaczego nie wytrącą jej tych nożyczek z ręki? Czy im na mnie nie zależy? Nie kochają mnie? Jak mogą na to patrzeć?

One wciąż coś krzyczały, ja wciąż stałam.

Zebrałam w sobie wszystkie siły, głos w mojej głowie skandował jak na meczu „dasz ra-dę! dasz ra-dę!”. Zrobiłam krok do przodu.

I wtedy nagle wszystko zniknęło.

Zrobiło się jasno, słonecznie, błękitnoniebnie.

A ja się obudziłam.

To już drugi raz na Wiślniej, kiedy po nocy byłam bardziej wycieńczona, niż kładąc się spać.

W domu zwykle nic mi się nie śniło. To znaczy pewnie miałam jakieś sny, ale ich nie zapamiętywałam. Człowiek potrafi odtworzyć sen, gdy się obudzi w odpowiednim momencie. A wybudzają go intensywne emocje. Rzeczywiście, w Warszawie miałam spokojne życie. Nic mi się w duszy nie kotłowało. Dopiero rozstanie – no dobrze, trzeba się trzymać faktów: porzucenie przez Pawła – i przyjazd do Krakowa potwierały dawno nieruszane szufladki z różnymi uczuciami.

Sen był jednak absurdalny. Może to przez myślenie o *Alicji w Krainie Czarów*? Jej by się mogła przytrafić taka przygoda. Albo przeholowałam z podsmażaną cebulą do pierogów? Podobno za dużo tłuszczu przed snem odbija się na wątrobie i stąd koszmary w nocy.

Nic się w tym śnie kupy nie trzymało, zwłaszcza to, że najbliższe mi kobiety nie zerwały się na pomoc, zostawiając mnie na pewną śmierć. Zupełnie bez sensu.

Na razie ani nie chciałam, ani nie mogłam się zajmować roztrząsaniem tego koszmaru. Po południu miał się zjawić pan Tomek, żeby obfotografować mieszkanie, a ja byłam w lesie z porządkami.

Ściany już pięknie poschły, firanki i zasłony wisiały, lampy błyszcząły.

Musiałam porozstawiać meble. Najszybciej poszło mi z szafą, bo nie odsunęłam jej zbyt daleko od ściany. Ciężko było, ale przez chwilę. Z łóżkiem biegałam się dłużej. Biblioteczka mnie zmęczyła, podobnie jak układanie w niej książek. Powinnam je posegregować i odłożyć te do zabrania, ale doszłam do wniosku, że przeszklona szafka głupio by wyglądała na zdjęciach pusta, miałam przecież stworzyć pozory przytulności.

O mało nie doszło do tragedii, gdy przesuwałam toaletkę. Uznałam, że ładniej będzie wyglądała przy oknie, pod odnowioną ścianą. Wcześniej nic tam nie stało, a miejsce było wprost wymarzone – z widokiem na olśniewające korony lip. Najpierw przytaszczyłam stolik, a potem lustro. I prawie je zbiłam, bo źle wymierzyłam odległość i zamiast trafić na odpowiedni bolec w blacie, rama lustra wylądowała obok, a więc nic jej nie trzymało w miejscu. W ostatniej chwili je złapałam. Niestety, za drugim razem byłam chyba zbyt niedelikatna, bo drewniany kołek się poluzował i lustro lekko się zachybotowało. Na zdjęciu nie będzie tego widać, a żeby jakoś ten bolec podkleić, trzeba by było się do niego dostać od wewnątrz, czyli od szuflady, co pochłonęłoby dużo czasu. Postanowiłam zająć się tym wieczorem, bo żal by mi było lustra,

gdyby się stłukło. Samo w sobie było ładne, no i siedem lat nieszczęść by mnie czekało, a i tak dotychczasowy bilans nie był najlepszy. Właściwie to chętnie bym zabrała tę toaletkę do domu. Tak, zdecydowanie. Gdzieś wygospodaruję dla niej miejsce.

Mieszkanie musiało żyć, przynajmniej do dzisiejszego popołudnia, dlatego po wykonaniu najcięższych prac zabrałam się za szczegóły.

Okrągłego stołu w jadalni nie przykryłam serwetą. Miał bardzo ładny blat, prawie niezniszczony, co całkiem zrozumiałe, skoro zawsze chronił go obrus.

Na środku ustawiłam tę uranową karafkę z targu w roli dzbanka na kwiaty. Zerknęłam przez okno. Na rogu ulicy stała babuleńka z konwaliami. Chwyciłam więc portmonetkę i zbiegłam na dół, żeby kupić bukiet. Po kilku minutach wróciłam. Białe dzwoneczki konwalii ślicznie wyglądały w tym wazonie. Szkoda, że zdjęcia nie będą mogły oddać także ich zapachu.

Z kuchni przyniosłam niedużą metalową ażurową tacę, a na niej porcelanową filiżankę z delikatnym kwiatowym wzorem i postawiłam obok konwalii.

Na ramie lustra zawiesiłam korale. Ze spiżarni zabrałam także flakon perfum i pędzel do pudru. Przyjrzałam się z daleka i stwierdziłam, że zielony akcent na toaletce ładnie by grał z zielenią karafki na stole. Mała kopertówka z Tandety pasowała wprost idealnie.

Przy piecu ustawiłam wyszorowany metalowy kubełek, pociągnięty białą farbą. Może wyszło trochę prowansalsko, a nie galicyjsko, ale dołożyłam jeszcze szufelkę do węgla, też wyczyszczoną, i było w porządku.

Na parapecie w jadalni pojawiła się stara waga, która się wcześniej kurzyła w spiżarnianym kącie.

Półkę kuchennego kredensu przykryłam ażurową serwetką, a na niej stanęły apteczne pojemniki. Obok nich ustawiłam drewnianą miskę z orzechami włoskimi.

Spojrzałam na swoje dzieło. Byłam z siebie naprawdę dumna. Widać, że to mieszkanie w kamienicy, z historią, ale jednocześnie

jasne i świeże. Dodatki nie przytłaczały, drobiazgi przyciągały wzrok i ocieplały wnętrze.

Idealnie.

– Idealnie – potwierdził pan Tomek, stawiając na podłodze swoją torbę. – Teraz to możemy fotografować. Jeszcze odpowiednio skadrujemy i będzie miódzio. Muszę przyznać, że bardzo ładnie wyszło, bardzo.

– Dziękuję – odpowiedziałam, kraśniejąc z dumy. – Kręgosłup wykończony, mięśnie porozciągane, paznokcie zdarte, ale dałam radę.

– No pewnie, coby pani miała nie dać rady. Jak człowiek chce, to góry przeniesie. A nie żał pani jednak zostawiać tego mieszkania? Teraz, po takim miniremoncie, wygląda o niebo lepiej, a gdyby się włożyło jeszcze trochę czasu, pieniędzy i serca, to ho, ho, ho! Perełeczka!

Zamyśliłam się. Tydzień temu marzyłam o tym, by jak najszybciej stąd wyjechać. Poprzeglądać, posprzątać, popakować, najlepiej z zamkniętymi oczami, żeby nic nie przywoływało wspomnień, nie bolało, nie rodziło wyrzutów sumienia. Nie miałam żadnego planu, żadnego pomysłu. Teraz siedziałam w odświeżonym samodzielnie mieszkaniu, a mój agent robił właśnie zdjęcia, by wystawić je na sprzedaż.

I to wszystko zrobiłam sama.

Małe kroczki, większość kobiet pewnie by ich nie zauważyła, bo na co dzień maszerują, stawiając zamaszyste kroki, ale ja byłam z siebie dumna.

Choć Wiślniej rzeczywiście było mi trochę żal. Pewnie stąd te koszmary – takie maskowane wyrzuty sumienia, że sprzedaję mieszkanie, które tyle lat było w naszej rodzinie. Zarazem postępowałam przecież rozsądnie i zdecydowanie. Nie potrzebowałam nowego lokum, miałam gdzie mieszkać. Z Krakowem niewiele już mnie łączyło; śmierć prababci Emilii kończyła pewien etap w historii Majewskich.

Patrzyłam na pana Tomka, jak obfotografowuje mieszkanie. Robił to z zapalem i poświęceniem – przyklekał, cofał się, przybliżał.

– Fantastycznie – oznajmił, gdy już skończył. – Jestem bardzo zadowolony. Dołożymy jeszcze do tego ładny opis i jestem przekonany, że zaraz nam się sypną zainteresowani. Kilka zdań o samej kamienicy, jak ładnie położona, o lipach, które zagładają do okien, o troskliwych kobiecych dłoniach, które dbały o mieszkanie, dobrym duchu tego miejsca...

Na słowo „duch” aż się wzdrygnęłam. Przed oczami stanęła mi najstarsza Mojra z ostrymi nożycami w dłoni. Mogłam zrozumieć, że prapradziadek Majewski lubił mity – te wszystkie historie opowiadające o ludzkim losie. objaśniały świat, przynosiły dreszczyk emocji. Gdy codzienność nie obfitowała w tyle wydarzeń co teraz, kiedy już mało co robi na nas wrażenie, te opowieści na pewno pobudzały wyobraźnię. Ale dlaczego właśnie Mojry? Przesłanie tego mitu jest dość przerażające. Może nie ma się co dziwić Emilii, że wcale nie chciała na nie codziennie patrzeć?

– Dobrze, to tak: umowę mamy, zdjęcia mamy, papierów nie mamy – powiedział pan Tomek, chowając aparat do torby.

– Papiery będą za miesiąc, sprawa w sądzie to formalność – odparłam.

– Więc chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żeby już wstawić ogłoszenie i zacząć pokazywać mieszkanie potencjalnym kupcom, prawda?

– Tak, właściwie tak. Jeszcze trochę tu posprzątam, posegreguję rzeczy, część zabiorę pod koniec tygodnia, kiedy będę jechać do domu, a potem sukcesywnie pousuwam resztę. Zastanawiam się jeszcze, co zrobić z meblami.

– Teraz styl vintage jest modny. Znajdzie pani chętnych, jeśli nie chce ich pani zabierać.

– Na pewno chcę zabrać toaletkę, a co do reszty, to przegadam to z mamą i babcią. Ale to i tak za chwilę, bo muszę załatwić jakiś transport. Przyjadę do Krakowa w połowie czerwca, to już będzie więcej wiadomo.

- A gdybym chciał w tym czasie pokazać komuś mieszkanie?
 - No to oczywiście, proszę.
 - Tylko że nie mam kluczy.
 - A, no tak. Gapa ze mnie. Dorobię panu komplet i nie będzie problemu.
 - Świetnie. Czyli wszystko mamy ustalone?
 - Tak.
- Tak, powtórzyłam w myślach, jakbym chciała przekonać samą siebie.

Poniedziałek dobiegał końca. W piątek wracałam do Warszawy, więc zostały mi jeszcze trzy dni w Krakowie. Dwa zamierzałam poświęcić na przejrzenie rzeczy Emilii. Drobiazgi można zabrać ze sobą do pociągu, większe przedmioty poczekają w spiżarni na zorganizowany transport. Ten koszt mnie nie ominie, bo zdecydowałam, że toaletka pojedzie do Warszawy. Przewóz będzie pewnie kosztował więcej, niż jest warta, ale co tam. Urzekła mnie – była taka ładna, delikatna, kobieca. Idealna pamiątka – ile to lustro musiało widzieć i gdyby tylko potrafiło przechowywać uchwycone obrazy...

Chociaż już leżałam w łóżku i nie bardzo miałam ochotę wstawać, to poczucie obowiązku zwyciężyło. Chyboczące się lustro nie dawało mi spokoju. Znając moje szczęście, drewniany bolec, który przytrzymywał je w pionie, mógłby się ułamać tej nocy i zamiast pamiątki miałabym tysiące szklanych okruchów do sprzątnięcia.

Zwlekłam się z łóżka i powstrzymując ziewanie, zapaliłam lampę, która oświetliła pokój miodowym blaskiem. Z drugiej strony, zza okna, do środka wpadało ciepłe światło ulicznych latarni. Toaletka, stojąca na przecięciu dwóch plam światła, wyglądała pięknie, jak ze starego obrazu.

Podeszłam i delikatnie uniosłam nadstawkę. Drewno zaskrzypiało, zgrzytnęło i kołek puścił ramę. Oparłam lustro o szafę, przykrywając je dla bezpieczeństwa kocem i podpierając krzesłem.

Wróciłam pod ścianę. Z blatu wystawały dwa bolce, na których trzymała się rama. Jeden z nich się poluzował i trochę zapadł. Trzeba go będzie wyjąć, czymś podeprzeć od spodu i zakleić. W spizarni widziałam nie do końca zużytą tubkę butaprenu, powinno wystarczyć. Spróbowałam wyciągnąć kołek – bez skutku. Kiwał się, ale nie dał się wyjąć. Otworzyłam szufladę, która znajdowała się w tym miejscu pod blatem. Wsunęłam rękę, szukając zamocowania kołka, ale on był chyba wkręcony trochę dalej. Postanowiłam więc wyjąć szufladę, żeby mieć do niego łatwiejszy dostęp. Pociągnęłam ją do siebie, ale nie udało mi się wysunąć jej w całości. Ponowiłam próbę, szarpiąc mocniej – nic. Jakby się zaklinowała.

Kucnęłam i zajrzałam pod toaletkę. Niewiele było widać, blat odcinał dostęp światła. Przesunęłam się na kolanach pod ścianę, wystawiając dłoń i po omacku dotykając tyłu szuflady. Nie dochodziła do końca, bo coś się z niej wysunęło przez poluzowaną deszczułkę i utkwilo między nią a obramowaniem biurka. Palcami wyczułam papier. Przejechałam dłonią po przedmiocie – to chyba jakaś książka, choć nieduża i niezbyt gruba. Schwyciłam róg i delikatnie pociągnęłam. Nie chciałam uszkodzić tego tajemniczego przedmiotu. Po chwili udało mi się go wyciągnąć.

Wycofałam się spod blatu i wstałam. Spojrzałam na swoje znalezisko. Wyglądało jak zeszyt, nie, na zeszyt raczej za małe, więc pewnie notes. Miało tekturowe okładki w delikatny kremowy wzorek i dwie tasiemki, z przodu i z tyłu, które służyły jako zapięcie. Były zawiązane w ścisłą kokardkę; przez chwilę się biedziłam, by ją rozsypać.

W końcu się udało. Odwróciłam przednią okładkę, odsłaniając wnętrze.

Na pierwszej stronie, poczyniony starannym pismem, widniał napis: „Pamiętnik Emilii Majewskiej”.

Rozdział szesnasty



Pamiętnik Emilii Majewskiej

Przede mną zupełnie nowe życie. Ta myśl nie opuszcza mnie od momentu, kiedy zdałam małą maturę. Egzaminy napętniały mnie lękiem, bo choć pilnie się uczyłam, to tkwiło we mnie ziarno niepewności, że może mi się nie powieść, a to byłby koniec moich marzeń. A przecież śniłam o tym od wielu miesięcy. I w końcu Ojciec dał się przekonać; niechętnie, po długim proszeniu, różnych afrontach – nie tylko wobec mnie, ale i Mateńki, co było jeszcze bardziej przykre. „Po cóż ci więcej nauki? Matura w zupełności wystarczy kobiecie. Po wakacjach możesz się przyuczyć i pomagać w buchalterii, aż w końcu wyjdiesz za mąż i praca już całkiem nie będzie ci potrzebna, ani tym bardziej dalsze nauki”.

(...) gdy wracałam znad Wisły do domu Starowiślną i w sklepie z artykułami piśmiennymi zobaczyłam ten śliczny notes. Dość duży, by swobodnie w nim pisać, twarde oprawy i to zapięcie – symboliczne, bo przecież ktoś niepowołany mógłby z łatwością rozsuptać, ale jakoś kryjące przed światem to, co w duszy się kryje i jest przelewane atramentem na te stroniczki. Kupiłam go i postanowiłam zapisywać w nim to swoje nowe życie. Mam nadzieję, że wiele jego momentów wartych będzie uwiecznienia. Takie zapiski to też pomoc w uporządkowaniu myśli, w pracy nad

sobą. Oczami wyobraźni widzę siebie za lat kilkadziesiąt, jak siedzę w fotelu, otulona pledem i z czułością patrzę na młodziutką Milkę – jej myśli, wahania, pragnienia. Ona, czyli ja teraz, nic wiedzieć nie będzie, przeczuwać tylko co najwyżej; świat to wciąż niezapisana kartka, jak w tym sekretnym notesie. Ja u kresu ziemskiej egzystencji, czyli po latach, życie będę widzieć jak na dłoni – czas przeszły, dokonany.

Kiedys obie się spotkamy. I mam nadzieję, że ta starsza powie tej młodziutkiej: Widzisz, nie trzeba się było lękać, wszystko się potoczyło tak, jak miało być.

Z tą wiarą kończę pierwszy wpis. Jest 17 czerwca 1939 roku.

O mój Boże! A więc miałam w rękach sekretne zapiski prababci! Czy ja w ogóle powinnam je czytać? Może należałoby z powrotem zawiązać te dwie tasiemki i odłożyć notes do szuflady? Przecież Emilia mi go nie podarowała, może wcale nie chciała, żebym poznała jego zawartość? Ale przecież gdyby jej zależało na utrzymaniu sekretu, to mogła się go zwyczajnie pozbyć. No tak, potrafiłam sobie jednak wyobrazić, że wcale niełatwo by jej było wyrzucić, ot tak, takiego sekretnego powiernika. A może właśnie te zapiski miały trafić do moich rąk? Prababcia nie wręczyła mi notesu przed śmiercią, bo ludzie zwykle wolą poczekać z odkryciem swojego wnętrza do momentu, kiedy już ich na tym świecie nie będzie. To dlaczego nie zostawiła notesu w bardziej oczywistym miejscu? Przecież mogłam go nie zauważyć, właściwie przypadek sprawił, że wpadł mi w ręce. A może o to chodziło? Gdybym nie była bardziej dociekliwa i troskliwa w przeglądaniu rzeczy po Emilii, to nie poznałabym jej życia. Może prababcia specjalnie tak to obmyśliła – jeśli będę zaangażowana, jeśli będzie mi zależało na przeszłości, to odkryję tę niespodziankę. A jeżeli bym sprzątała po łóbkach, to tajemnica by przepadła.

Nie mogłam wiedzieć tego na pewno, ale takie wytłumaczenie wydało mi się całkiem logiczne. No i usprawiedliwiało moje wtargnięcie w intymny świat Emilii. Ciekawe, jak długo prababcia pisała ten pamiętnik? Przekartkowałam notes – prawie cały był

zapisany równym, drobnym pismem. Jaki okres mógł obejmować? Tygodnie, miesiące, lata? Nic prostszego, niż zajrzeć na koniec. Ale tego nie chciałam zrobić. Czułam opór przed poznaniem zdania z ostatnią kropką. To by było jak rozpoczęcie lektury kryminału od zakończenia. A poza tym wolałam przejść przez te zapiski na spokojnie, chronologicznie, tak jak powstawały. No i trochę się bałam, co mnie po drodze spotka. Czego się dowiem o prababci Emilii, pierwszej niezamężnej Majewskiej, która dała początek tradycji samotnych kobiet w naszej rodzinie? Co takiego wydarzyło się w jej życiu, że po tak optymistycznym początku sprawy obrały nie najlepszy obrót? Co u kresu życia staruszka Emilia napisała młodziutkiej Milce?

Zmęczenie i senność zupełnie ode mnie odeszły. Poszłam do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę. Zwykle szybko wyjmuję torebkę, bo nie lubię zbyt mocnego naparu, ale tym razem odczekałam kilka minut. Czułam, że przede mną długa noc. Z kubkiem ciemnobrązowego płynu wróciłam do łóżka i znowu zaczęłam czytać.

Kiedy dwoje szlachetnych, dobrych ludzi na siebie trafia, a ich serca spasowane, to największe szczęście! Nie sztuka za mąż wyjść czy się ożenić. Ale trafić na drugą połówkę i z tego szczęście zbudować – to i dar, i odpowiedzialność!

Serce mi mocniej zabiło. Nie czytałam *Emancypantek*, nie przerabialiśmy w szkole, a jakoś z własnej woli do klasyki mnie nie ciągnęło. Chyba nadrobię, jak wrócę do domu, będę lepiej wiedzieć, dlaczego prababcia tak to przeżywała. *Lalkę* czytałam, bardzo mi się podobała, choć Izabela mnie irytowała. Niby była ofiarą własnej rodziny, bo zgodziła się na ślub, żeby ratować finanse, ale przecież arystokratyczne życie to wybór, nie konieczność; nie musiała. W tej parze to żal mi było Wokulskiego. Zapatrzony w nią, zakochany. Ona go nie kochała, ale nikogo innego – prócz siebie – też by chyba pokochać nie potrafiła. On zginął, a ona chciała iść do klasztoru. Widać Prus miał tylko jeden pomysł na życie dla niezamężnych

kobiet – habit i śluby czystości. Niewesoło.

Prababcia Emilia tak ładnie i tak trafnie o miłości napisała. „Dar i odpowiedzialność”. Nie że tylko fart albo tylko praca nad związkiem, ale te dwie rzeczy razem. Mądra z niej była kobieta, ba! dziewczyna wtedy. To co takiego się stało, że nie udało jej się pokierować własnym życiem według marzeń?

Wszystko to widziałam, przednio się na weselu bawiłam, choć Mateńka mnie kilka razy strofowała: „Nie wypada”, „Klaruniu, panienska nie powinna”, jednak emocje takie były, że rozum i zasady szły trochę w odstawkę. Zwłaszcza że...

Ja już wiem, jak to jest, gdy się poznaje tego właściwego chłopca.

Matko! Czy ja zaraz się dowiem, kto jest ojcem babci? Kim był ten, który nie doprowadził seniorce rodu do ołtarza, otwierając puszkę Pandory z wielopokoleniowym staropanieństwem?

Zastygłam nad pamiętnikiem. To taka dziwaczna sytuacja, którą zna każdy: z jednej strony bardzo byłam ciekawa prawdy, z drugiej – lęk wstrzymywał mnie przed jej odkryciem. Typowe: i chciałabym, i się boję.

Ciekawość zwyciężyła. Przełknęłam ślinę i pochyliłam się nad pamiętnikiem.

I wtedy spojrział na mnie. A ja na niego.

Miłość. Jak ten wyraz ładnie zabrzmiał w jego ustach!

A więc jednak! Coś się wydarzy! Staszek. Staszek...

Spojrzałam na komórkę. Dochodziła pierwsza, ale zupełnie nie byłam senna.

Marysia i Jakub odjechali do Jabłonki, zacząć nowe życie.

Smutno.

Smutno, bo Staszka już nie zobaczę, tak powinno brzmieć to zdanie, bo przecież nie o Marysię mi chodzi.

Smutno, pomyślałam tak samo jak prababcia. Choć... zaraz, zaraz, przecież coś jeszcze musiało się wydarzyć. W kolejnym roku

na świecie pojawiła się Elżbieta, czyli...

Wróciłam do czytania.

Pan Michał, mąż pani Anieli, zaczął się zastanawiać, jaki los by nas czekał, gdyby jednak do wojny doszło. Czy tak samo sprawnie by się wojsko nasze uporało z niemieckim najeźdźcą jak Marszałek w 1920 roku z bolszewikami? Mateńka twierdziła, że walk zbrojnych nie będzie, bo przecież to by znaczyło złamanie postanowień, które zatwierdzono w Monachium. Pan Michał zaś dowodził, że ktoś taki jak Hitler nie odpuści i nie zakończy swoich awantur rewizjonistycznych.

Rzeczywiście, skupiona na jednym wątku, całkiem zapomniałam, że przecież za dwa tygodnie wybuchnie druga wojna światowa. Tyle sprawa naraz, biedna Emilia. A mnie się czasem wydaje, że mam za dużo na głowie.

Pan Michał miał, niestety, rację. Oni tam sobie siedzą w pięknym sierpniowym słońcu nad szumiącym potokiem, a za kilkanaście dni ten spokojny świat, który znają, się skończy. I nigdy nie wróci.

Jestem bezgranicznie szczęśliwa!

Jak długo?, pomyślałam ze smutkiem. Za ile stron poznam tę mroczną tajemnicę prababci i dowiem się, jaka tragedia unicestwiła jej marzenia?

Jeśli się czegoś bardzo chce, to trzeba do tego dążyć i nie rezygnować, za nic. Nie będę jak Madzia Brzeska, która hodowała marzenia, dbała o nie, jak o cenny kwiat, a potem pozwoliła im umrzeć.

No to co się stało?! Było już po drugiej, środek nocy. U prababci Emilii wszystko zmierzało ku katastrofie. Ja już to wiedziałam, ona zaraz to odkryje.

Nawet te Mojry, które ojciec kazał wykuć na frontonie, mają w sobie coś przerażającego. Niby to po prostu metafora losu, ale jest w tym

groza jakaś. Może w samych mitach nie, ale kiedy Ojciec o nich opowiada...

Och! Mojry! Pewnie dlatego prababcia się ucieszyła, że uległy zniszczeniu. Muszę przeczytać całą tę prapradziadkową mitologię, kiedy skończę pamiętnik. I jeszcze *Emancypantki*. Kiedyś chyba ludzie więcej czytali. Ale atrakcji mieli mniej, pomyślałam, trochę się usprawiedliwiają. Choć właściwie jakie ja miałam atrakcje? Jedyną moją atrakcją był Paweł, ale, jak się okazało, tylko tymczasową.

Siedzieliśmy razem przy stole ze dwie godziny, potem Ojciec zaprowadził Staszka do tego mieszkania na czwartej kondygnacji. Równie duże jak nasze, też jedno na całe piętro, z dwoma oddzielnymi wejściami.

To zdanie wyrwało mnie z zaczytania. Prapradziadkowie mieszkali wraz z Emilią na parterze, po wojnie prababcia się przenieśli na czwarte piętro, tu, gdzie teraz leżałam na łóżku z jej pamiętnikiem w dłoniach. To jedno z dwóch mieszkań na klatce, bo po wojnie zmniejszono metrażę i dzielono lokale. Czy prababcia właśnie dlatego wybrała te ściany, że wśród nich Staszek spędził kilka dni przed wyruszeniem na front?

Nie umiem tego opisać, brak mi odpowiednich słów. W żadnej książce ich nie czytałam, bo „takich” książek nie czytam. Zresztą tam to pewne raczej splugawione emocje się przedstawia, a tymczasem ja... My... Boże, wziął mnie w ramiona, a ja mu się oddałam. Cała i w pełni. Zjednoczyliśmy się na zawsze. Ma moje serce i moje ciało.

Z trudem przełknęłam ślinę. Czułam się jak podglądaczka, która brutalnie weszła do sypialni w najintymniejszym momencie. Ileż tam musiało być napięcia, pożądania, emocji! I nadziei, pomyślałam już ze smutkiem.

„Od świętej Salomei zima jest w nadziei”. To dzisiejsza kartka

z kalendarza. To, co tak mnie ostatnio dręczy i co od siebie odpycham, wróciło ze zdwojoną mocą. Wciąż jeszcze czuję się chora i słabowita, ale to chyba nie przeziębienie, bo...

W nadziei, to znaczy przy nadziei! Babcia Elżbieta urodziła się w czerwcu 1940 roku, czyli... zgadza się! Ten pożegnalny wieczór ze Staszkiem był zarazem powitaniem nowego życia! Rany, co się teraz wydarzy? Jak to Ojciec i Mateńka przyjmą?

Jestem w ciąży.

Więc jednak! A gdzie jest Staszek?

Mateńka zapytała, jak się czuję. A czuję się dobrze. Po początkowych przykrościach zostało już tylko wspomnienie. Sił mam dużo, cerę ładniejszą, włosy błyszczące. Mówi się, że kobiety przy nadziei zmęczone, osłabione tym nowym życiem, z którym muszą się wszystkim dzielić, ale mnie to chyba nie dotyczy. Ta kruszyna, co we mnie wzrasta, będzie wyjątkowa, czuję to.

Babcia, pomyślałam ze wzruszeniem. Oczywiście, to tylko słowa, zapewne przeżywającej hormonalne huśtawki Emilii, ale coś w tym było. Babcia miała najczystsze serce, o innych zawsze dbała bardziej niż o siebie.

Bietka, Bietka, moja kruszynka.

Drżałam już od początku tego miesiąca, bo przecież babcia urodziła się 18 czerwca! Bietka – Elżbietka – Elżbieta.

Spojrzałam na zegarek w komórce. Do trzeciej został kwadrans. Gęste zielone gałęzie lip wpuszczały do pokoju delikatne światło. Zaczynał się kolejny piękny majowy dzień, a ja nawet oka nie zmrużyłam. Nie czułam zmęczenia, tylko ekscytację. Wróciłam do czytania.

Nauczona jestem okazywać rodzicom wdzięczność, ale tu nie tyle mój bunt się obudził, co jakieś przeczucie złe – skoro Bietka ma naszą rodzinę, to tak, jakby Staszka nigdy nie było i być nie miało

w jej życiu.

Zimny pot mnie oblał. Prababcia zapewne nie zdawała sobie sprawy z mocy tej przepowiedni. Nie tylko Elżbieta, ale również Dorota i ja wciąż nosiłyśmy to samo nazwisko. A prapradziadek Majewski nagle wydał mi się podły. Już wcześniej kilka razy się wzdrygnęłam, kiedy prababcia o nim pisała, a teraz ukłucie było mocne. Musiał być tyranem i despotą. Wtedy to pewnie było wpisane w życie, więc Emilia nie buntowała się wprost, ale ja – mimo skąpych informacji – przeczuwałam, jakim był typem.

16 czerwca 1945 roku

Nie wiem, czy będę umiała dalej żyć.

Staszek nie wróci, zginął na froncie. Przez pięć lat tuliłam nadzieję jak Bietkę. Na próżno.

Patrzyłam na ten wpis w osłupieniu, ze ściśniętym sercem. Ze zdziwieniem zauważyłam, że ostatni wyraz się rozmazał. To od moich łez, które skapywały na notes.

Biedna prababcia Emilia, biedna babcia Elżbieta.

To nie był jeszcze finał, bo kilka na kilku ostatnich stronach prześwitywał atrament.

12 stycznia 1947 roku

Mateńka nie żyje. Moja dobra, kochana Mateńka. Choroba rakowa ją zabrała, ostatnimi tygodniami skazując na okropne cierpienia. Panie, świeć nad Jej duszą.

15 października 1947 roku

Ojciec zmarł. Ponoć zawał.

Uczyliłam te dopiski dziś, żeby zamknąć tę historię. Nie ma już Staszka, nie ma Mateńki, Ojca także. Nie ma również naszego mieszkania na parterze; nowe przyszło, zmiany. Zostałam bez możliwości zajmowania tego lokalu, zresztą po cóż mi tyle metrów. Nie czuję żalu za starymi ścianami; zostawiam tam wszystko, co

bolało, co przypomina o nieszczęściu. Przenosimy się z Bietką na czwartą kondygnację. Teraz są tam dwa oddzielne mieszkania. My będziemy w tym, w którym wszystko się zaczęło. Niech dalej trwa, choć z bólem. Wszystko, co miałam w sercu, przelałam na te strony. I teraz wkładam to poranione serce do szuflady.

Emilia Majewska, Kraków, 11 lutego 1948 roku

Rozdział siedemnasty



Serce z szuflady. Tak myślałam o tym sekretnym notesiku-powierniku, jak go Emilia nazwała.

Nie miałam pojęcia, czy przeleżał tam zapomniany, czy zostawiony specjalnie. Czy Emilia nie chciała już nigdy więcej wrócić do historii, która tak ją poraniła, czy może przeciwnie – choć po śmierci, to pragnęła się podzielić tą opowieścią.

Nie byłam w stanie zebrać myśli. Prababcia, którą zawsze znałam jako powściągliwą w okazywaniu uczuć starszą panią, okazała się emocjonalną i uczuciową dziewczyną. Zakochała się tak mocno, że postąpiła wbrew obowiązującym zasadom. A potem przez wiele lat z podwójną ufnością czekała na Staszka – że wojenny los go oszczędzi i że jego uczucia będą stałe. Czy ja bym była w stanie tyle czasu żyć nadzieją, każdego dnia znosić niepewność? Tak długo czekać na ukochanego? Próbowałam wyobrazić sobie siebie za pięć lat, wciąż rozpaczającą po Pawle. Zupełnie nierealne. Pierwszy miesiąc po tym, kiedy mnie rzucił, rzeczywiście był okropny. Czułam, jakby świat mi się zawalił. Wystarczył jednak pełen wrażeń tydzień w Krakowie, żeby jego obraz zbladł, oddalił się.

Której z nas zatem trafiła się miłość – prababci Emilii czy mnie? Ta myśl mnie powaliła. Może to wszystko, co myślałam o Majewskich, nie wygląda tak prosto? Może pozory mnie zmyliły?

Było po piątej rano. Nie czułam zmęczenia, bo kotłowało się we

mnie tyle emocji. Musiałam z kimś porozmawiać, podzielić się tą historią.

Anka? Nie, choć to moja najlepsza przyjaciółka, nie zadzwonię do niej. Nie tylko dlatego, że tak bardzo jest teraz zanurzona w macierzyństwie. Czułam, że powinnam zacząć od bliskich. Mama? Chyba bym nie potrafiła przez telefon oddać tego, co mi teraz przepełniało duszę, zresztą Dorota nie była szczególnie wrażliwa. A zatem babcia Elżbieta, zwłaszcza że ta historia przecież dotyczyła także jej. Odczekałam pół godziny, żeby było już po szóstej. Formy grzecznościowe jednak obowiązują, zwłaszcza w rodzinie. Poza tym nie chciałam wystraszyć babci zbyt wczesnym telefonem.

Wybrałam jej numer. Odebrała szybko, ku mojej uldze.

– Cześć, babciu. Nie obudziłam cię?

– Nie, starsi ludzie wstają rano, choć nie muszą. Ty też nie musisz, bo masz urlop. Stało się coś?

Jak odpowiedzieć jednym zdaniem na takie pytanie przez telefon? Niby nie stało się nic, a jednocześnie czułam, że wydarzyło się coś niezwykle ważnego.

– Nie, wszystko w porządku, tylko chciałam porozmawiać.

– Aha. No to przyjeźdź, oczywiście. Może na obiad?

– A na śniadanie mogę?

– Pewnie. To znaczy ja już po, ale tobie chętnie zrobię. Klaruniu, na pewno wszystko dobrze? – W głosie babci wyczułam niepokój.

– Na pewno, nie martw się. Pogadamy, jak będę. To na razie, babciu.

Poszłam wziąć prysznic. Woda płynęła równym, gorącym strumieniem. Dziękowałam w myślach Kapeluszwowi ze Wstążką, to znaczy Jadwidze, za zamiar na pana Piecyka. Ciekawe, jaką ona ma za sobą historię, pomyślałam. Może wcale nie tak kolorową jak jej sukienki? Dlaczego z taką łatwością oceniamy życie innych – jakby byli papierowymi postaciami, płaskimi formami wyciętymi z kartonu? Człowiek przecież bardziej przypomina pudełko, w którym są poukrywane różne myśli, emocje, tajemnice.

Gdybym wybrała komunikację miejską, droga do Nowej Huty zajęłaby mi grubo ponad godzinę. W takim napięciu nie wytrzymałabym tyle czasu. Zadzwoiłam po taksówkę.

Pół godziny później siedziałam przy babcinym stole, na którym czekał już na mnie zestaw śniadaniowy z twarogiem, rzodkiewkami, konfiturą z wiśni i miodem. Oraz kakao, napój dzieciństwa. Choć wydawało mi się, że mam ściśnięty żołądek i będę się zmuszała do jedzenia, nagle poczułam, że jestem bardzo głodna. Emocje wyssały ze mnie wszystkie kalorie.

– Babciu – powiedziałam, sięgając do torebki – mam coś dla ciebie z mieszkania prababci. – Wyjęłam pamiętnik.

– Książkę? To była ta pilna sprawa?

– W pewnym sensie książkę. – Głos mi zadrżał. – Notes, a właściwie pamiętnik.

– Czyj? Twój?

Pokręciłam głową.

– Mamy? – Babcia się zdumiała. – Pisała pamiętnik?

– To znaczy, że nie wiedziałaś o jego istnieniu?

– Nie, pojęcia nie miałam, że mama spisywała swoje życie. A ty skąd wiesz?

Opowiedziałam babci o przesuwaniu mebli i przypadkowym znalezisku.

– Przeczytałaś? – zapytała, przypatrując mi się wnikliwie.

– Przeczytałam. Choć, wierz mi, miałam opory, no bo przecież takie zapiski to intymna sprawa. Tyle że początkowo wydawało mi się, że tam nic takiego nie będzie. Jakieś wynurzenia dorastającej panienki albo opisywanie prozy powojennego życia. Słowem – żadnych sensacji. A tymczasem... – Urwałam, nie bardzo wiedząc, jak opowiedzieć babci tę historię.

– A tymczasem mocno cię poruszyło – powiedziała. – Widzę, Klaruniu, że jesteś w emocjach. No to powiedz, co takiego tam wyczytałaś?

– Chodzi o to, że... – zaczęłam i utknęłam. Jak przekazać to wszystko, co mnie trzymało w bezsenności, wypiekach na twarzy

i drzeniu przez całą noc, w kilku słowach? To jakby streszczać poezję – nie da się, bo znikną emocje, a pozostaną suche fakty. – Babciu, nie umiem ci tego opowiedzieć. To znaczy jakoś bym potrafiła, ale zupełnie nie w tym rzecz. Myślę, że musisz sama to przeczytać.

– Ale teraz? Czyli to naprawdę musi być dla ciebie ważne.

– Dla ciebie też będzie, babciu – powiedziałam, wpatrując się w nią w napięciu.

Chyba zrozumiała, co chcę jej przekazać, bo stwierdziła:

– No dobrze. To przeczytam, zostaw.

– Ale teraz, babciu, dobrze? Ja poczekam. Mogę w tym czasie posprzątać – rozejrzałam się po sterylnie czystym mieszkaniu – albo coś innego zrobić. O, na przykład mogę iść na zakupy. Przyniosę, co trzeba. Chociaż to będzie za szybko. To może pożyczę od ciebie jakąś książkę, posiedzę na skwerze, poczytam, potem te zakupy. Wrócę, zrobię nam obiad, żebyś ty się nie odrywała, tylko czytała, a później porozmawiamy. Dobrze?

– Jesteś tak zdeterminowana, że nawet nie dyskutuję. – Babcia się uśmiechnęła. – Z jedną tylko poprawką – wydaje mi się, że na spacer powinnaś się udać do łóżka. Przecież ledwo na oczy patrzysz, Klaruniu.

Rzeczywiście, z każdym kolejnym kęsem kanapki i łykiem gorącego kakao robiłam się coraz bardziej senna. Napięcie, pod koniec czytania pamiętnika wielkie jak ogromna kula śniegowa, teraz topniało – od śniadania, ciepła babci, dzięki świadomości, że z niespodziewanie odkrytym sekretem nie będę już sama.

Czym jeszcze mnie życie zaskoczy, myślałam, układając się do snu na zaścielonym przez babcię tapczanie. U niej też miałam swój stały komplet pościeli – w kolorowe koła, mniejsze i większe. Wpatrywałam się w nie, a one powoli wirowały, jak zmieniane w kalejdoskopie obrazki. Zamglonym wzrokiem dostrzegłam jeszcze babcię zasiadającą w fotelu i zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, pomyślałam, że moja drzemka musiała być

długa, bo słońce przewędrowało z lewej strony pokoju na prawą.

Rozejrzałam się – fotel był pusty. Wstałam, przecierając zaspane jeszcze oczy. Włożyłam T-shirt i dzinsy i poszłam do kuchni. Babcia stała przy oknie, plecami do mnie. Podeszłam do niej i niepewnie zatrzymałam się pół kroku przed nią. Nie wiedziałam, czy mnie usłyszała. Czy nie odwróciła się dlatego, że nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności, czy dlatego, że chciała odwlec moment rozpoczęcia trudnej rozmowy. Chyba jednak to drugie, pomyślałam, kiedy zobaczyłam, że jej ramiona lekko drżą. Wydała mi się w tym momencie taka krucha i delikatna. Odruchowo ją objęłam i przytuliłam się do jej pleców. Kiedy się odwróciła, zobaczyłam, że płacze. To był drugi raz w życiu, kiedy widziałam łzy na jej twarzy – pierwszy był w kwietniu, gdy prababcia Emilia umarła.

– Babciu... – zaczęłam, nie mając pojęcia, jak ubrać w słowa to, co czułam. Od wczoraj przewalała się przeze mnie lawina emocji.

Babcia wyciągnęła z kieszeni spódnicy chusteczkę i wytarła twarz.

– Klaruniu, przepraszam, ale kompletnie się rozsypałam.

– Wiem, babciu, ja też to tak przeżywałam w nocy, kiedy czytałam. Strasznie się denerwowałam i było mi smutno. Ale potem, kiedy trochę ochłonęłam, to pomyślałam, że... – Znowu się zacięłam. Mówienie o uczuciach było jednak trudne.

Babcia popatrzyła na mnie. Oczy wciąż miała w kolorze orzecha laskowego, jak w dzieciństwie, kiedy pisała o tym prababcia – zieleń po niej, brąz po Staszku.

– Klaruniu, zrobię coś do picia. Sobie melisę, bo potrzebuję czegoś na uspokojenie, a tobie?...

– Ja sobie zaleję kawy. Przed nami długie popołudnie.

Babcia pokiwała głową.

Kilka minut później siedziałyśmy w salonie. Ja na kanapie, babcia w fotelu. Na stoliku przed nami leżał pamiętnik Emilii.

– Klaruniu, to jest dla mnie trudna rozmowa. Nikt mnie nauczył mówić o uczuciach. W naszym pokoleniu nie było takich zwyczajów. Rozmowy dotyczyły spraw praktycznych; to, co było w środku

człowieka, w środku zostawało. Czasy trudne, może to nas tak hartowało i nie pozwalało, by się pochylać nad uczuciami?... Wokół tyle trudu i znoju, kto by miał głowę, by się wzruszać... Teraz to się zmienia. Czytam gazety, oglądam różne programy. Ludzie się zwierniają publicznie, psychologowie również publicznie im radzą. Często sobie myślę, że to zbyt intymne, ja bym nigdy się nie zdobyła na takie wyznania wobec tak wielkiego audytorium. Nie uważam jednak, że to źle. Ja po prostu mam z tym trudność, co nie oznacza jednak wcale, że nie mam takiej potrzeby.

– Mnie też nikt nie nauczył, babciu. I chyba też mam potrzebę.

– Pewnie tak, Klaruniu, pewnie tak. Ja bardzo Dorotkę kochałam, no i oczywiście nadal Kocham, ale to nie taka miłość, jak się teraz proponuje – że matka i córka to przyjaciółki, że się sobie zwierniają, sztamę trzymają.

– U nas niby tak jest, a wcale nie jest dobrze – weszłam babci w słowo. – Choć oczywiście też bardzo mamę Kocham.

– Ano widzisz, miłość to taka dziwna rzecz – i najprostsza, i najtrudniejsza pod słońcem. – Babcia się uśmiechnęła.

Poczułam, że to może być przełomowy moment. Że wychodzimy ze swoich skorupki, że teraz właśnie jest szansa, by tak szczerze, od serca ze sobą porozmawiać.

– Babciu, dlaczego nigdy się o tym u nas nie mówiło? Dlaczego nigdy nie rozmawialiśmy na przykład o twoim ojcu? Nie pytałaś mamy? Nie byłaś ciekawa?

Babcia przez chwilę milczała. Nachyliła się nad stolikiem i z czułością pogładziła pamiętnik.

– Widzisz – zaczęła – człowiek się przyzwyczaja do tego, co ma. Skąd ma wiedzieć, że życie może wyglądać inaczej niż u niego w domu? Dla dziecka dom jest wszystkim, dziecku się wydaje, że życie każdego człowieka jest takie samo jak jego. Ja przez pierwsze lata chyba nawet nie odczuwałam braku ojca. Wpierw nie wiedziałam przecież, że w innych domach są ojcowie. Do przedszkola nie chodziłam, w kamienicy innych dzieci nie było, a dorośli nie poruszali takich tematów. Szok przeżyłam dopiero

w szkole. Mój tato to, mój tato tamto, a mój ojciec umie, nie, to mój jest lepszy. Za pierwszym razem, kiedy mama po mnie przysłała, od razu zapytałam: „A mój tata?”. Nagle to zaczęło być dla mnie ważne. Chciałam być jak inne dziewczynki w klasie. „Twój tata nie żyje, Elżbietko. Mówiłam ci przecież”. I to prawda, tyle wiedziałam. Nie dopytywałam, bo byłam za mała. Zorientowałam się też, bo dzieci to bardzo baczni obserwatorzy, że mama nie lubi pytań o ojca. Robi się smutna, a ja przecież nie chciałam jej zasmucać. W końcu miałyśmy tylko siebie. Na początku szkoły jednak to pragnienie zrobiło się tak silne, tak bardzo chciałam być jak pozostałe koleżanki, że stałam się nieustępliwa, nawet za cenę smutku mamy. Po prostu musiałam wiedzieć więcej, tak dużo, jak tylko to możliwe. Wtedy się dowiedziałam, że ojciec zginął podczas wojny. Mama powiedziała, że był bardzo dzielnym mężczyzną, który oddał życie za ojczyznę. Wyruszył walczyć na samym początku wojny i na wiele miesięcy ślad po nim zaginął. Mama powiedziała też, że szukała go przez Czerwony Krzyż, aż w końcu przysłała informacja, że umarł najprawdopodobniej pod Dunkierką, ale dokładna lokalizacja grobu jest nieznana. I tyle.

– Pod Dunkierką... W pamiętniku tego nie było.

– Tak, ale na pewno tak powiedziała, zapamiętałam tę nazwę. W pamiętniku, zapewne resztką sił, wpisała po prostu, że nie żyje. Przecież tylko to miało znaczenie, wszystko inne było już nieistotne.

– Pewnie tak. – Pokiwałam głową. – Coś jeszcze wiesz o pradziadku, babciu?

– Nie... To znaczy pamiętam jeszcze dwa takie ważne momenty. Jakiś czas po tej pierwszej rozmowie zapytałam mamę, czy zostały po tacie pamiątki, zdjęcie na przykład. I bardzo się zdziwiłam, bo mama powiedziała, że nie, nic nie zostało.

– A wytłumaczyła to jakoś?

– Ano właśnie nie. To znaczy mówiła coś o przeprowadzce, wojennej zawierusze, ale myśmy zmieniły tylko piętra, wciąż żyłyśmy w tej samej kamienicy. Żadnych zniszczeń ani u nas, ani

w okolicy nie było.

– To rzeczywiście dziwne. Kraków mało ucierpiał. Teraz już się wyjaśniło – prababcia po prostu nie miała żadnych pamiątek po Staszku...

– Nie miała. Wtedy, oczywiście, tego nie wiedziałam, jak i nie wiedziałam tego, że byłam nieślubnym dzieckiem. Poczekaj, coś ci pokażę. – Babcia podeszła do małej szafki pod ścianą. Wsunęła szufladę i wyjęła z niej nieduże pudełko. Położyła je na stole i zdjęła pokrywę. – Zobacz, to mój zegarek. Dostałam go od mamy na pierwszą komunię.

Zegareczek – bo taki był malutki – wyglądał cudownie. Wypukłe grube szkiełko, paski z rzemyków, przeplecione przez kółka w obudowie; oryginalna, niespotykana teraz konstrukcja.

– A tu zdjęcia moje i mamy, na Plantach. Byłyśmy u fotografa na Grodzkiej i on poszedł z nami do parku, żeby nam tam zrobić taką sesję. Tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy rok, z tyłu podpisane. I jeszcze mam zdjęcie malutkiej mamy, razem z rodzicami.

Ta fotografia została wykonana we wnętrzu. Mężczyzna, zapewne pradziadek, stał, opierając się jedną ręką o fotel, na którym siedziała kobieta, czyli prababcia, trzymająca na kolanach dziewczynkę w sukience z falbanami. Pradziadek był wyprostowany, patrzył wprost w obiektyw, wyraz twarzy miał poważny. Prababcia też wyglądała dostojnie, ale w jej oczach była życzliwość. Leciutko nachylała się w kierunku córki i mocno ją obejmowała. O ile pradziadek przypominał figurę woskową, o tyle po prababci widać było jej ciepło.

– Tyle mi zostało najosobistszych pamiątek. I strzegę ich jak oka w głowie. Są dla mnie jak relikwie. – Zamknęła pudełko i przesunęła je na środek stołu. – A potem była jeszcze jedna rozmowa, ważniejsza. Widzisz, kiedy szykowałam się do ślubu... – zamilkła na chwilę – ...z Tadeuszem, to musiałam wyciągnąć papiery, to znaczy metrykę urodzenia. I zobaczyłam, że nie ma w niej wpisanego ojca! Przybiegłam do mamy, cała rozgorączkowana, domagając się wyjaśnień. Była speszona, ale

odpowiedziała.

– Z pamiętnika już wiemy, jak było.

– Niezupełnie tak to przedstawiła. Powiedziała, że nie zdążyli wziąć z tatą ślubu, że los ich rozdzielił, nim dopełnili formalności.

– Pewnie tak by się stało...

– Pewnie tak, ale, co już wiemy, nawet nie zdążyli się zaręczyć – powiedziała babcia. – Zaraz jednak dodała miękko: – Co, oczywiście, nie umniejsza ich miłości. Była jeszcze druga sprawa – nazwiska. Uwierzysz, że ja przez te wszystkie lata myślałam, że Majewska to nazwisko po ojcu? Ja Majewska, mama Majewska, ojciec Majewski. A przecież chodziłam na grób do dziadków, którzy też byli Majewscy! I nic, zupełnie nic mi nie zaświeciło. No ale może mogłam nie wiedzieć, jak się te sprawy formalne załatwia. W każdym razie wtedy mama powiedziała, że nie zdążyli się pobrać, a nazwisko w papierach to błąd, urzędnik wpisał nazwisko matki i tak już zostało.

– Nieprawda! – aż krzyknęłam.

– Nieprawda. Dziadek po prostu nie chciał takiego zięcia i nie chciał, żeby jego wnuczka nosiła nazwisko zwyczajnego, biednego chłopaka. W pamiętniku to jasno napisane, żadnych wątpliwości co do tego mieć nie można. I wiesz, co jeszcze zauważyłam? Że mama zupełnie inaczej pisała o babci niż o dziadku.

– Tak, też to od razu wyłapałam – przytaknęłam. – Mateńka, tak czule, miękko, i ojciec – poważnie, z dystansem. Nawet kiedy umarli, to zupełnie inaczej pożegnała ją niż jego.

– Owszem. I to było widać w jakichś rzadkich wspomnieniach, gdy o nich mówiła. Albo właśnie na cmentarzu. „Do Mateńki pojedziemy”, mówiła. Jakby ojca tam nie było.

– Na podstawie opisów w pamiętniku można odnieść wrażenie, że on był srogi i nieprzyjemny. Pewnie dlatego.

– Pewnie tak. Może wszyscy ojcowie wtedy tacy byli? Teraz sobie myślę, że nie wiadomo, jakby się ich losy potoczyły, gdyby Staszek nie zginął. Dziadek pewnie by się sprzeciwił ślubowi.

– Myślisz?... – miałam wątpliwości. – Lepsza by była córka

z nieślubnym dzieckiem?

– Nie wiem. Minęło już kilka lat, ludzie powyjeżdżali, przyjechali nowi. Może lepsza taka samotna córka niż niechciany zięć?

– No ale prababcia by się chyba nie ugięła?

– Tego się nie dowiemy, Klaruniu, choć przypuszczam, że nie. Po przeczytaniu tego pamiętnika myślę, że to była niezwykle silna kobieta. Zawsze ją podziwiałam, że tak sobie dawała radę w pojedynkę, mając mnie, ale nie przypuszczałam, że tyle w niej zaparcia, wiary. To nie była lebiodka, tylko mocna, dobra kobieta.

– To tak jak ty, babciu. – Spojrzałam jej w oczy. W tej chwili nie myślałam o prababci i babci, że były ofiarami losu, tylko że były konsekwentne i dzielne. Czego nie mogły zmienić, nie zmieniły, a z resztą świetnie sobie radziły. Jak to powiedział pan Piecyk? „Jak się ma wpływ, to trzeba działać. Jak się nie ma, to trzeba akceptować”. Święte słowa. Zdaje się, że byłam jedyną Majewską, która tak nie postępowała...

– Ja... Ja to inna trochę historia. – Babcia się zamyśliła. – Widzisz, u mnie początek też był trudny. Tadzio miał przecież żonę, dawny związek, pomyłka, od lat ze sobą nie żyli, ale formalnie tego nie rozwikłali. Niespecjalnie mu na tym zależało, póki był sam, zresztą ona wyjechała za granicę. No i tak zostało. A potem myśmy się poznali, zakochali i nagle to się stało ważne. Zaczął jej szukać, i nic. Ale w tym samym czasie i ona kogoś poznała, i także chciała wyjść za mąż. Żalu żadnego do siebie nie mieli, sprawa zatem była formalnie prosta. Zrządzenie losu, pomyślałam wtedy. Naiwnie i przedwcześnie, jak się szybko okazało. Termin w sądzie był wyznaczony, ona miała się zjawić, z Francji przyjechać. Ja już tę metrykę przygotowałam i wtedy... Wtedy Tadzio umarł. Serce. Wiedział, że jest chory, ale brał pastylki. Żadne z nas nawet nie pomyślało, że tak być może, zwłaszcza że Dorotka już była w drodze... – Babcia zamilkła.

Przysunęłam się do niej i objęłam ją ramieniem.

– Babciu, ale to przecież nic złego, no, że ty i dziadek Tadeusz...

– Kochanie, ja to wiem. Teraz tak, ale wtedy to była dla mnie

tragedia. Różne mi rzeczy przychodziły do głowy. Że to było kuszenie losu, że pech, że nawet klątwa jakaś lub wola boska...

– Też tak myślałaś?! – Aż podskoczyłam.

– Też? To znaczy, że ty, Klaruniu, tak uważasz?

– No wiesz, nasze życia nie są jak z bajki...

– Nie są. Nie ma w nich smoków, złych macoch i czarów.

– Miałam na myśli brak... hmm, księcia.

Babcia się roześmiała, pierwszy raz tego popołudnia. Śmiała się długo i szczerze, aż w kącikach jej oczu pokazały się łzy.

– No co? – Trochę się naburmuszyłam. Otwieram się przed babcią, a ona się ze mnie nabija.

– Nic, kochanie, przecież nie z ciebie, tylko do ciebie się śmieję. Wiesz, że nie jestem romantyczna, więc nigdy nie chciałam być jak księżniczka.

– Małym dziewczynkom czyta się na dobranoc baśnie, chodzi z nimi do kina na *Królewnę Śnieżkę*, starszym się życzy księcia na białym koniu. Tak nas kultura ukierunkowuje. – Próbowałam się usprawiedliwić, bo mimo wszystko zrobiło mi się trochę wstyd.

– A widzisz, mnie to ominęło. Mama czytała mi klechdy i podania.

– Mnie mama czytała *Alicję w Krainie Czarów*.

– Może podświadomie też unikała baśni? Na emeryturze ma się dużo czasu, a ja lubię czytać i kiedyś w bibliotece zauważyłam na stoliku ze zwróconymi książkami pozycję o baśniach, o tym, co nam przekazują. Zaintrygowała mnie nota na okładce i wypożyczyłam ją. To była pasjonująca lektura. Bo zobacz: we wszystkich baśniach te młode, piękne kobiety są bezwolne. One tylko czekają na księcia. No, czasem zgubią pantofelek, i tyle ich działań. Zupełnie nie kierują swoim życiem!

Rzeczywiście, pomyślałam, dlaczego nigdy mi to nie przyszło do głowy? Nawet żaba miała mi szukać pierścionka.

– Więc, wracając do mnie, myślałam, że to niesprawiedliwe, że w kolejnym pokoleniu jest tak samo. Przeszło mi, gdy Dorotka się urodziła. Tak jak mama, zakochałam się w swojej córce obłędnie i postanowiłam być dla niej jak matka i ojciec razem wzięci, żeby jej

zrekompensować brak jednego rodzica. Przykład brałam ze swojej mamy, która zresztą mi pomagała. Szybko wróciłam do pracy, wtedy urlopy macierzyńskie były krótkie. Dorotka z babcią, potem w przedszkolu, ja kursowałam między pracą i domem. Zupełnie nie miałam czasu na życie uczuciowe. Nawet gdy już się uporałam ze stratą, to po prostu nikogo nie było na horyzoncie. W szkole wśród kadry przewaga pań, po szkole obowiązki w domu i tak jakoś zleciało. A kiedy Dorotka podrosła, poszła na studia i się wyprowadziła, kiedy nastał czas, że może bym drugą młodość przeżyła, to się okazało, że na świecie pojawisz się ty. I znowu się zaczęły nieprzespane noce, smoczki, przedszkole... Ale nie żałuję. Kochana jesteś, Klaruniu. Mama zresztą też.

– A mama dlaczego za męża nie wyszła? To nie jest dziwne? – To, co babcia mówiła, brzmiało sensownie i zwyczajnie, a mimo to nie potrafiłam się pozbyć przeczucia, że nasz los jest jakiś felerny.

– Dorotka... Może jeszcze nie znalazła odpowiedniego mężczyzny? Kilku ich było...

Kilkunastu, pomyślałam. Babcia okazała się bardziej wyluzowana, niż sądziłam, ale błędem byłoby nadużywanie tej nieoczekiwanej odkrytej tolerancji.

– Zastanawiam się tylko, czemu z tym Markiem ślubu nie wezmą? To taki miły mężczyzna, spokojny, kulturalny. I już się chyba wypróbowali przez tyle czasu?... – wyraziła wątpliwość.

– Też nie wiem. Przyznaję, choć niechętnie, że rzeczywiście mama chyba się ustatkowała. Może uważa, że ślub to tylko papierek, który nic nie zmienia? – Spojrzałam na babcię pytająco.

– A może. Ja przed laty bym wszystko oddała, żeby taki papierek z Tadzkiem mieć. I żeby jego mieć, to najważniejsze.

A ja pomyślałam, że gdy Paweł mnie rzucał, to bardziej mnie zabolęła myśl, że papierka nie będzie, niż że nie będzie Pawła u mojego boku.

Rozdział osiemnasty



Spodziewałam się kolejnej nieprzespanej nocy po ostatnich, pełnych emocji, dniach. Pamiętnik, popołudnie zwierzeń z babcią, nowe informacje na temat moich najbliższych – to powinno mnie schwycić i trzymać w bezsenności lub pozwolić zasnąć, ale w nocy zesłać koszmary. Tymczasem spałam jak dziecko! Gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki, od razu zasnęłam. Obudziło mnie mocne słońce, próbujące się wdrzeć przez kotary do pokoju.

Byłam w dobrym nastroju. Nie chodziło o żywiołową radość, a raczej o radosny spokój. Moje serce wciąż ogrzewała wczorajsza rozmowa z babcią. Przesiedziałyśmy przy stole kilka godzin, opowiadając sobie o różnych osobistych i ważnych sprawach. I wcale nie czułam się skępowana, babcia zresztą też nie. „Jak to możliwe, że przez tyle lat, mimo bliskości, niektóre tematy omijałyśmy szerokim łukiem?”, zapytałam ją w końcu. „Takie miałyśmy wzorce, a jak już wejdziesz na wydeptaną ścieżkę, to z wygody nią idziesz, nie zawracając, nie szukając bocznych drózek”, odpowiedziała po chwili namysłu. Jedząc śniadanie, myślałam też o prapradziadkach. Jan i Katarzyna Majewscy. Poznałam ich tylko ze zdjęcia u babci i z pamiętnika prababci. Może ich losy też kryją jakąś rodziną tajemnicę? Szkoda, że nie ma już żadnego sposobu, by to sprawdzić. Prapradziadek budził mój niepokój, za co się beształam. Był wyniosły, stanowczy, władczy, ale

chyba właśnie tak wyobrażano sobie kiedyś bycie głową rodziny. Ech, te wzorce... Praprababcia zaś jawiła mi się jako delikatna, wrażliwa, bardzo kochająca swoją córkę. Babcia powiedziała wczoraj, że ma kilka migawek z dzieciństwa z nią związanych, z czasów, gdy mieszkali na parterze. Jak bawiła się z nią szmacianą lalką, którą własnoręcznie jej uszyła, ze spaceru po Plantach, w salonie, gdy nalewa jej kakao do kubeczka. Gdy spytałam o prapradziadka, odparła, że w zasadzie go nie pamięta. Albo siedział w swoim gabinecie, albo gdzieś wychodził. Jeśli towarzyszył rodzinie, to raczej był małomówny. „Właściwie to nawet nie jestem pewna, czy rzeczywiście go pamiętam w tych konkretnych sytuacjach, czy może po latach pamięć mi płata figle i dopasowuję go do wyobrażeń. Pamiętam za to na pewno jedną bardzo nieprzyjemną scenę, już po śmierci babci. Chyba wróciliśmy z cmentarza, bo było mi bardzo zimno, co by się zgadzało, bo babcia w styczniu umarła. Rozbierałam się i marzyłam o kubku kakao. Chciałam poprosić mamę, żeby zawołała Rózię w tym celu, ale usłyszałam, jak mama z dziadkiem się kłóca. Pamiętam swój strach, schowałam się pod paltami zawieszonymi w przedpokoju na wieszaku i czekałam, aż ucichnie. A kiedy wreszcie mama się zjawiała, szukając mnie, a ja poprosiłam o to kakao, to odpowiedziała, że sama mi robi, bo Rózi już nie ma i nie będzie. I rzeczywiście, już jej nie było. Mama powiedziała, że wróciła do siebie, na wieś, rodzinie pomagać. I że teraz czasy inne, nie stać nas na pomoc. A mnie żal było, że jej nie pożegnałam, bo ją lubiłam, to była taka miła, choć lękliwa dziewczyna, trochę młodsza od mamy”.

Od razu, niesiona falą entuzjazmu, pomyślałam, że to przecież był świadek różnych rodzinnych spraw, w końcu przez kilka ładnych lat służyła u prapradziadków. Babcia jednak powiedziała, że nie ma pojęcia, jak Rózia miała na nazwisko ani skąd pochodziła. Zresztą, dodała, na pewno już nie żyje, bo była w podobnym do Emilii wieku. Szkoda, pomyślałam. Postanowiłam zapalić na Cmentarzu Podgórskim jedną świeczkę więcej, za Rózię właśnie. Po

śniadaniu zaplanowałam wizytę na grobie prababci i prapradziadków. To był impuls; dzień pogodny, cmentarz ładnie położony. Do tej pory bywałyśmy tam przede wszystkim podczas świąt lub na Wszystkich Świętych, zwykle gdy było zimno i tłoczno. Teraz to miała być spokojna wyprawa wspomnieniowa. No i przyznam, że wciąż, jak tylko mogłam, odwlekałam moment porządków. I nie chodziło już o smutek czy poczucie winy – te uczucia, pod wpływem ostatnich kilku dni i różnych wydarzeń, osłabły. Rzecz także nie w lenistwie i niechęci do sprzątanania, bo od dziecka byłam porządnicka, zawsze miałam czysto w piórniku, na biurku i w szafie. Właściwie to nie umiałam powiedzieć, dlaczego tak odsuwałam od siebie to pakowanie i czyszczenie mieszkania. Obiecałam sama sobie, że po południu się tym zajmę, już nieodwołanie.

Cmentarz Podgórski Nowy. Nazwa mogła być myląca, bo założono go w 1900 roku. Nazwano go tak wtedy dla odróżnienia od Starego Cmentarza Podgórskiego, położonego niedaleko, na którym już brakowało miejsc do pochówku. Tamten był malutki, ten – ogromny. Prababcia opowiadała mi kiedyś, że i tamten zajmował wcześniej duży teren, ale najpierw część zniszczyli Niemcy, budując linię kolejową, a kolejnej dewastacji dokonano, poszerzając w latach siedemdziesiątych biegnącą obok ulicę. Nie mogłam wtedy zrozumieć tego braku poszanowania dla zmarłych. Teraz zresztą też.

Nowy cmentarz był położony na wzniesieniu. Grób naszej rodziny znajdował się w głębi, więc żeby tam dojść, trzeba było iść dobry kwadrans centralną aleją, a potem mniejszą ścieżką ostro powędrować w górę.

Szłam powoli, nigdzie mi się nie spieszyło. Na starych kasztanowcach zakwitły piękne kwiaty. Jaśminowce osypały się pachnącymi białymi płatkami. Pod ziemią umarli, niektórzy zapomniani, inni wciąż oplakiwani, a nad nim natura, co roku budząca się do życia, bez względu na wszystko, pomyślałam.

Przyglądałam się mijanym grobom. Niektóre były skromne, prosta płyta, wyryte nazwisko. Inne z pomnikami – rzeźby kobiet z różnymi wieńcami, siedzące przy krzyżu lub złamanej kolumnie. Najbardziej wzruszające były groby dziecięce. Mogłabym ominąć ten kwartał i skręcić wyżej, ale odruchowo poszłam znaną mi drogą. Gdy byłam mała i mama wytłumaczyła mi, kto tu leży, uprosiłam ją, żebyśmy zapaliły na jakimś najskromniejszym, opuszczonym grobie świeczkę. I za każdym razem tak robiłyśmy. Teraz też miałam malutki znicz na ten „nasz” grób, gdzie leżała mała Basia, dwulatka, która zmarła w 1921 roku. Kucnęłam przy kamiennej płycie porośniętej gdzieniegdzie mchem. Przetarłam ją i na środku ustawiłam białą świeczkę, która po chwili zapaliła się mocnym płomieniem. Podniosłam się, zabrałam torbę ze zniczami i skierowałam się w stronę grobu Majewskich. I wtedy usłyszałam:

– Klara.

Podskoczyłam ze strachu. Od kiedy zesłam z głównej alei, nie zauważyłam nikogo, tym bardziej osoby, która mogłaby znać moje imię. Wydawało mi się, że skądś znam ten głos, ale nie umiałam go przypisać do konkretnej osoby. Rozejrzałam się raz jeszcze, ale wciąż nikogo nie widziałam. Duchy czy co?

– Klara!

No chyba jednak nie. Duchy nie potrafią tak śpiewnie wołać. Raz jeszcze się obejrzałam. I wtedy dostrzegłam kolorową plamę, ustawioną pod słońce. Zmrużyłam oczy i zobaczyłam, że ta plama do mnie macha. Jadzia, sąsiadka z parteru. To już chyba prędzej bym się ducha spodziewała niż jej.

Podeszła do mnie.

– Dzień dobry, mam nadzieję, że cię nie wystraszyłam. – Uśmiechnęła się do mnie.

– Nie, no może trochę. Zamyśliłam się, zresztą nie spodziewałam się spotkać żadnych znajomych w tym miejscu.

– No tak, znajomi na cmentarzach zwykle już do nas głośno nie mówią. – Wciąż się uśmiechała. – Pewnie do prababci się wybierasz?

- Tak, do grobu rodzinnego – odpowiedziałam.
- Bardzo byłam ciekawa, co Jadzia tu robi, to znaczy, do kogo przyszła. Nie miałam jednak odwagi zapytać.
- A jak pozostałe sprawy? Piecyk działa?
- Tak, już nie muszę nagabywać sąsiadów o kąpiel.
- Było mi miło być nagabywaną. Wiesz już, kiedy wyjeżdżasz?
- W piątek.
- O, to za trzy dni. Uporałaś się ze swoimi sprawami?
- Cóż – westchnęłam – nie do końca. Miałam przestój, bo... nieprzewidziane okoliczności się zdarzyły. – No, o pamiętniku to już na pewno nie będę jej opowiadać. – Ale znów się zabieram do porządków. Jakoś niemrawo mi to idzie.
- To może ja ci pomogę? – zaproponowała Jadzia.
- Ty? – zdziwiłam się, chyba mało elegancko.
- No tak. Jutro przed południem mam wolny czas i żadnych planów. Sąsiedzi powinni się wspierać. A sąsiadki to już w szczególności.
- Z tymi sąsiadkami to przesada, pomyślałam. Dwa tygodnie i znikam. Marny staż sąsiedzki. Z drugiej jednak strony... Właściwie co mi szkodziło? Jadzię już trochę poznałam, była dziwna, fakt, ale niegroźna. I, co ze zdumieniem odkryłam, dobrze się czułam w jej towarzystwie.
- Będzie mi bardzo miło – odparłam.
- No to jesteśmy umówione. Wpadnę o dziesiątej. Pa! – zakończyła śpiewnie i poszła alejką w dół, powiewając turkusową sukienką.

Stałam przy naszym grobie. Dwa górne nazwiska, wykute w kamieniu, już trochę zbladły, przybrudziły się. Trzecie – prababci – było jasne. Po siedemdziesięciu latach dołączyła do rodziców. Och, babciu, pomyślałam, dlaczego dopiero teraz choć trochę zaczynam cię poznawać. Piękny i wzruszający jest ten twój pamiętnik. I pomocny – gdybym go nie znalazła, nie pojechałabym do babci i nie byłoby tej naszej wczorajszej rozmowy. A tak to czuję,

że się zbliżyliśmy, że od teraz będzie inaczej, to znaczy lepiej. I to dzięki tobie. Trochę mi smutno, że sprzedaję mieszkanie, ale nie ma innego sposobu. Pewnie byłoby ci przykro, no bo tyle wspomnień, zwłaszcza to jedno... Ile mi się uda ocalić, ocale. Na pewno wezmę toaletkę, różne drobiazgi. Może też ten stół z pokoju? Piękny jest. Gdy wrócę do domu, to zrobię przemeblowanie. Za dużo Ikei, za mało pamiątek. Te nasze meble są fajne, ale obliczone na krótki czas używania. Dziesięć lat i koniec. Zrobione z ekologicznych materiałów, i dobrze, popieram ekologię, ale co zostanie po nas w spadku?... Na razie nie ma nikogo, kto by po mnie dziedziczył, ale mam nadzieję, że będzie. Czuję teraz, że rozstanie z Pawłem to wcale nie koniec świata. Może tak właśnie miało być? Przecież gdybyśmy byli razem, to i razem byśmy porządkowali mieszkanie, na szybko, bo skąd urlop – podróż poślubna miała trwać dwa tygodnie... Może Paweł by to zlecił jakiejś firmie? Z pewnością bym nie znalazła pamiętnika, wszystko by się potoczyło inaczej. Więc może los miał dla mnie inny plan? Może nie jestem skazana na samotność? Postanowiłam się bardziej otworzyć. Wychodzić ze znajomymi do kina, teatru, na imprezy. Tak łatwiej poznać kogoś odpowiedniego, podobnego do mnie. Jakos się ułoży, prawda, babciu?

Postałam jeszcze chwilę, pomodliłam się, a potem zapaliłam cztery świeczki – trzy dla Majewskich, jedną dla Rózi.

Powoli szłam do głównej bramy, tym razem inną drogą. Na wysokości kwartału z dziecięcymi grobami nagle się zatrzymałam. U kogo była Jadzia? Czy też na grobie jakiegoś dziecka? Chyba tak, ale nie miałam pewności. Mocno mnie to zaintrygowało. Skoro już sobie poszła, mogłam to w tajemnicy sprawdzić.

Skręciłam w bok i przeszłam kawałek, do grobu Basi. Tak, ja stałam tu, a Jadzia wyżej, pod słońce. Podeszłam w tamtą stronę. Gdzie to mogło być?... Zaraz, zaraz, Jadzia stała po lewej stronie od tego grobu z białym aniołem. Anioł jest tu, Jadzia była bardzo blisko, czyli... Tak, to musi być tutaj. Spojrzałam na grób. Był nowy, ziemny. Mały kopczyk, z wbitym krzyżem i przyczepioną do

niego tabliczką: Marysia Nowak, 2010–2015. I stał tu niedawno zapalony znicz.

Ścisnęło mnie za serce. Taka mała dziewczynka. Kim jest dla Jadzi? I jak Jadzi udaje się zachować spokój wobec takiej tragedii?

Kolejna krakowska zagadka.

Rozdział dziewiętnasty



– Rzeczywiście, kawał solidnej roboty. – Pokiwała z uznaniem głową Jadzia. – Musiałaś się napracować.

– Trochę – przyznałam. – Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, że to tak wyczerpujące zajęcie. Gdybym wiedziała, jak to będzie wyglądało, to na pewno bym się za to nie wzięła.

– Święte słowa – przytaknęła Jadzia.

A jednak jest rozsądną kobietą, pomyślałam.

– Dlatego czasem lepiej nie wiedzieć – dodała z tym swoim nieprzeniknionym uśmiechem.

A jednak nie.

– Oj, to chyba rada nie dla mnie – westchnęłam. – Nie lubię niepewności. Nie lubię nie wiedzieć, nie lubię zmieniać planów.

– Strasznie dużo tych „nie”. „Nie mów nie, bo będę myślał, że nie. Powiedz tak, to słowo lepszy ma smak” – zanuciła.

– Masz bardzo ładny głos – zauważyłam ze zdumieniem. – Mogłabyś śpiewać w jakimś chórze albo solowo nawet. No, w każdym razie występować na scenie. Nigdy ci to nie przyszło do głowy?

– Właściwie to byłam związana ze sceną. Tyle że pracowałam od zplecza.

– Jak to? – Nie rozumiałam. – To znaczy co robiłaś? Jakieś sprawy techniczne? – Zupełnie nie wyobrażałam sobie Jadzi

w tiulowej spódnicy, neonowej bluzce i z kombinerkami w dłoni.

– Nie – roześmiała się. – Byłam suflerką.

– Kim? – zdębiałam. To było chyba jeszcze bardziej egzotyczne niż bycie złotą rączką.

– Suflerką – odparła. – Podpowiadałam aktorom tekst podczas przedstawienia.

– Budka suflera! – skojarzyło mi się natychmiast.

– No, budki to były kiedyś, z przodu sceny. Potem stało się za kulisami.

– Jadziu, przepraszam, ale to dość niezwykle. Jak się zostaje suflerką?

– Ma się dziecko, z którym chce się spędzać czas w ciągu dnia, więc praca wieczorami jest idealna. Do tego jest się bibliotekarką z wykształcenia i lubi się czytać. I jeszcze ma się dobrą pamięć oraz refleks. A poza tym to było bardzo miłe zajęcie. Duch teatru, znani aktorzy, życie w oparach sztuki.

– A, to stąd te twoje kolorowe stroje! – Nagle mnie olśniło.

– A, nie. Kiedy pracowałam w teatrze, ubierałam się na ciemno. Miałam być możliwie niewidoczna. Z tyłu, zakamuflowana, a światła reflektorów skierowane na aktorów. Kolor przyszedł do mnie później.

Patrzyłam na Jadzię z rosnącym zaciekawieniem. Kim była ta intrygująca starsza pani?

– Życie zawodowe spędziłam w teatrze. W tym czasie odchowałam córkę i pochowałam męża.

– Bardzo mi przykro – bąknęłam.

– Taki los, dziecko. Przeżyliśmy razem wiele wspaniałych lat, a on po prostu pierwszy ten świat opuścił. To było chwilę przed moją emeryturą. A kilka lat wcześniej Marysia, moja jedynaczka, wyjechała do Anglii, szukać lepszego życia. Znalazła je tam, więc zostałam sama.

Zeszliśmy na temat, który ostatnio mnie prześladował i odbierał radość. Samotne życie. Pusty dom. Smutek. Choć przecież Jadzia wcale nie wyglądała na smutną?

Sąsiadka chyba czytała we mnie jak w otwartej księdze, bo powiedziała:

– Pobyć samemu czasem nie jest źle, własne towarzystwo może się okazać bardzo inspirujące, ale człowiek jest istotą stadną i potrzebuje innych ludzi dokoła siebie.

No właśnie, pomyślałam, zdecydowanie potrzebuje. Puste miejsce na palcu serdecznym lewej ręki nagle mnie zapiekło.

– A czasem bywa tak, że to inni ludzie bardziej potrzebują nas niż my ich.

– To znaczy? – Nie zrozumiałam.

– To znaczy, że zaczęłam pracę w hospicjum dla dzieci. Przychodzę tam jako wolontariuszka trzy razy w tygodniu. Obejrzałam program w telewizji. Nowo otwarta placówka, dobrze wyposażona, lekarze i pielęgniarki profesjonalni i oddani. Brakowało jednak osób do pomocy. Nie takich z wykształceniem medycznym, tylko z chętnym sercem i czułymi dłońmi. Więc się zgłosiłam.

– To chyba bardzo trudne? – zapytałam. – Przecież w hospicjum ludzie...

– Umierają – dokończyła za mnie Jadzia. – Trudne. Ale popatrz na to w ten sposób: dla kogoś, kogo choroba zabiera na drugą stronę, to jest jeszcze trudniejsze. A to on jest tutaj najważniejszy.

– Ale dzieci?... – Głos mi zadrżał. Wszystko mnie bolało na samą myśl o małych cierpiących istotach. A co dopiero stanąć z tym nieszczęściem twarzą w twarz.

– Dzieci też umierają. I to jest straszne, ale skoro już się tak dzieje i nie można tego zmienić, to trzeba pomóc tym odchodzącym najlepiej, jak się da. Na pewno nie wolno płakać. – Spojrzała na moje załzawione oczy. – Trzeba być pogodnym i wesołym, stąd te moje kolorowe stroje, które spodobały mi się tak bardzo, że noszę je nie tylko w pracy, czyli w hospicjum, lecz także w cywilu, na co dzień. Początkowo myślałam, że tylko ja daję, ale szybko się okazało, że i bardzo dużo dostaję. Czuję się potrzebna, poznałam fantastycznych ludzi. Mam bardzo dobre, treściwe życie.

– Więc tam, na cmentarzu, byłaś u...

– U dziecka, którego już z nami nie ma. Mała Marysia, imienniczka mojej córki. Bardzo ją polubiłam, więc dalej ją odwiedzam.

Patrzyłam na Jadzię z mieszanką zdumienia i wstydu. Za pierwszym razem, gdy ją zobaczyłam, pomyślałam, że to lekka wariatka. Dzidzia piernik. Leciwa pani, która nie potrafi się dopasować do swojej roli. A tą rolą, zawstydziłam się jeszcze bardziej, miało być przesiadywanie w domu, popatrywanie w okno, wkładanie stonowanych ubrań i godne starzenie się. Po raz kolejny życie rewidowało moje przekonania. A to wszystko tu, w Krakowie, podczas niecałych dwóch tygodni pobytu.

– No dobrze, kochana, bo my tu tak siedzimy i mówimy tylko o mnie. A jak wygląda twoje życie?

Jak wygląda moje życie? Właściwie to już nie wiedziałam. Miałam w głowie straszny mętlik.

– Cóż. – Rozłożyłam bezradnie ręce. – Kilka tygodni temu się posypało.

– To trzeba pozbierać.

– Ba, żeby to było takie proste...

– Może proste nie jest, ale też nie ma co demonizować. Kilka miliardów ludzi żyje na Ziemi, planeta wciąż się rozwija, więc to nie może być aż takie trudne – żyć – zwłaszcza że czasy i lokalizacja nam sprzyjają. Nie dręczą nas plagi, wojny, bieda. Mamy wspaniały świat.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób – przyznałam.

– A o czym zawsze myślałaś?

– Żeby nie być sama. To znaczy, żeby mieć u boku kogoś. Mężczyznę. Męża.

Rzeczywiście tego chciałam. Tyle tylko że teraz to zabrzmiało jakoś tak... Rozpaczliwie. A do tego egoistycznie. Bo moje życie – w porównaniu do życia Jadzi, czyli starszej pani na emeryturze – było puste i nijakie.

– Aha. To całkiem zrozumiałe marzenie. Każdy szuka drugiej

połówki.

– No właśnie – westchnęłam. – I wiele osób znajduje. A ja nie. A moja rodzina to już ma szczególnego pecha, bo... – Zacięłam się.

Jadzia patrzyła na mnie tymi swoimi gołębimi oczami. Po tym, co mi o sobie powiedziała, uznałam, że musi być dobrym człowiekiem. Przedstawiłam jej więc swoją historię. Najpierw opowiedziałam o sobie i o Pawle. Potem o Emilii, Elżbiecie i Dorocie – że każda z nich, to znaczy każda z nas, Majewskich, idzie przez życie bez pary. I o znalezionym pamiętniku też powiedziałam. Po półgodzinie ciągłego mówienia czułam się wyczerpana, ale jakoś oczyszczona. Jadzia mi nie przerywała, nie dopytywała o nic, po prostu słuchała. Kiedy skończyłam, zapytała:

– A jakie masz plany na teraz? Wracasz do domu, to już wiem.

– Tak. Zdecydowałam się sprzedać mieszkanie. Jutro jadę do Warszawy, przyjadę tu jeszcze raz za dwa tygodnie, z jakimś transportem, bo chcę zabrać trochę mebli. No a potem sprawy formalne, to znaczy sąd, i czekam na chętnego kupca, ale to już agencja załatwi.

– A w Warszawie co?

- No po staremu. Dom, praca. A, bo nie mówiłam. Pracuję w aptece. Więc bez zmian, tylko bym chciała...

– Fakt, przecież masz dyplom farmaceuty – Jadzia nie dała mi dokończyć. – A powiedz mi, dziecko, czy ty lubisz swoje życie? Swoje mieszkanie, swoją pracę?

– Oczywiście, że tak. Wszystko jest w jak najlepszym porządku, tylko, no, ten brak faceta.

– A gdybyś mogła raz jeszcze decydować, to wybrałabyś te rzeczy tak samo? – zapytała, znowu ignorując wątek najważniejszy, czyli partnera, a skupiając się na mniej istotnych szczegółach.

– Tak, chyba, tak. Mieszkanie jest fajne, choć nie do końca w moim stylu, ale grzechem byłoby wybrzydzać, skoro mama mi je dała. Praca też okej. Może zmiany trochę męczące. I pewna powtarzalność obowiązków, ale mam etat, stałe dochody. Z mamą i babcią również w porządku, choć teraz na przykład odkryłam, że

z babcią bym mogła spędzać więcej czasu. Czyli na tym planie dobrze, tylko...

– Och, mój Boże. – Jadzia nagle się zerwała. – Przepraszam cię, słoneczko, ale już południe, a ja dziś mam wizytę w domu u naszego podopiecznego. Zupełnie mi z głowy wypadło. I widzisz, starsza pani na nic się nie przydała. Jutro rano wpadnę się jeszcze pożegnać.

– Oczywiście – bąknęłam zdumiona.

Jadzia najpierw mnie namawia na zwierzenia, a kiedy dochodzimy do najważniejszego momentu, to podskakuje jak oparzona i mówi, że musi iść. A miałam przecucie, że mogłaby mi doradzić, bo okazała się mądrą i – mimo pozorów – poukładaną osobą. Widać nie do końca, skoro zapomina o ważnym spotkaniu. Mimo wszystko zapytałam:

– Jadziu, przepraszam, ale skoro już tyle o mnie wiesz i sama, mimo różnych przeciwności losu, jesteś taką spełnioną osobą, to może byś mi powiedziała, czy powinnam coś zmienić w życiu? Co dalej? Zwłaszcza z...

Jadzia już stała przy drzwiach wyjściowych. Uśmiechnęła się swoim najpiękniejszym uśmiechem.

– Posłuchaj...

Wytężyłam uwagę, żeby nie uronić niczego z jej rady.

– ...posłuchaj przede wszystkim siebie.

I drzwi się zamknęły.

Rozdział dwudziesty



– Dzień dobry!

Pan Tomek powitał mnie szerokim uśmiechem.

– Kawy? – zaproponował.

Pachniało naprawdę dobrze. W jakimś artykule przeczytałam, że czasem sprzedający mieszkanie przed przybyciem potencjalnych kupców pieką szarlotkę lub chleb, żeby stworzyć pozory przytulności. Oglądający zapamiętują zapach i potem chętniej wybierają właśnie ten lokal, bo on im przywodzi na myśl dzieciństwo, spokój, błogość. Może agenci nieruchomości stosują podobny trik z kawą? Naprawdę miałam ochotę usiąść nad filiżanką parującego napoju, zwłaszcza że obok serwisu zobaczyłam duży przezroczysty słój z czekoladkami.

– Z żalem odmawiam. Za dwie godziny mam pociąg do Warszawy. Wpadłam tylko oddać klucze. Dorobiłam panu komplet.

– Fantastycznie. Wczoraj wystawiliśmy ogłoszenie – no po prostu miodzio, sam bym kupił takie mieszkanie, gdybym jeszcze nie miał swojego. Bartek, mój partner, cudownie się spisał.

To było ostateczne potwierdzenie, że pan Tomek pozostanie nieczuły na wdzięki kobiet. I moje. Szkoda, bo był naprawdę miły i naprawdę przystojny.

– Podeślę link. Czy w umowie podała pani mail?

– Nie, musiało mi umknąć. Już piszę. – Wykaligrafowałam swój

adres na kartce podsunętej przez pana Tomka, a on od razu wklepał go do laptopa.

– No i poszło. Jestem pewny, że bardzo szybko pojawią się pierwsi zainteresowani. Mieszkanie gotowe do pokazywania?

– Tak. Uprzątnięte, to znaczy rzeczy zostały, ale pochowane. Jest czysto i jasno.

– I o to chodziło.

– Przyjadę za dwa tygodnie, zabiorę trochę mebli. Pod koniec czerwca doślę skanem materiały z sądu, a kiedy już znajdą się kupcy, to dowiozę oryginały.

– Solidna klientka na wagę złota. – Pan Tomek posłał mi uśmiech.

Pozegnaliśmy się, a ja wróciłam na Wiślną, żeby zabrać torbę.

Warszawa czekała.

Pendolino ruszyło w stronę stolicy. Po kwadransie krajobraz zmienił się na bardziej zielony. Z dużą prędkością mijaliśmy kolejne pola, łąki, lasy, wsie i miasteczka. Widoki płynnie przesuwały się za oknem, w środku zaś było cicho i miękko. Bardzo przyjemnie.

Nie zabrałam ze sobą żadnej gazety do czytania, a folder reklamowy, wsunięty w kieszeń fotela przede mną, przejrzałam w kilkanaście minut. Trochę mi się nudziło, pomyślałam więc, że obejrzę, w jaki sposób Bartek zachwala moje mieszkanie. Próbowałam się połączyć przez kolejowe wi-fi, jednak telefon miał i miał internet, a odzewu nie było. Włączyłam więc dane komórkowe i po chwili telefon się rozpikał. Nie łączyłam się z siecią przez cały pobyt w Krakowie. Przejrzałam pocztę – prawie same zachęty do kupowania, informacje z portalu farmaceutycznego, przypomnienia o płatnościach, jeden mail od Anki ze zdjęciami Zosi (śliczna, jak z fotografii Anne Geddes), trochę spamu. I wiadomość z biura nieruchomości „Stella” z linkiem. Kliknęłam. Och, aż mnie zatkało. Moje mieszkanie wyglądało wprost bajkowo. Subtelnie sączące się światło, odpowiednie ujęcia, wypunktowane urocze

detale. Sielankowo i magicznie. Opis też był niezwykle zachęcający: „Jest takie miejsce w Krakowie, do którego pośpiech i szarość dnia nie mają dostępu. Miejsce w centrum, lecz ze zniewalającą zielenią za oknem. Miejsce, gdzie czas się zatrzymał. Miejsce absolutnie magiczne. Ulica Wiślna z widokiem na korony lip i prześwitującą między nimi Wisłę”. Niewygodne szczegóły techniczne zostały wciśnięte w tabelkę z parametrami mieszkania. Mały druczek, pomyślałam, stara sztuczka marketingowców.

Do Warszawy zostało jeszcze półtorej godziny. Postanowiłam zobaczyć, co słyshać na Facebooku. Nie byłam zbyt aktywna na tym portalu, rzadko sama coś pisałam, ale lubiłam obserwować, co się dzieje u znajomych: gdzie spędzają wakacje, na co chodzą do kina, kto kupił sobie psa. Taka kronika towarzyska. Przesuwałam palcem ekran, aż natrafiłam na Pawła. Trzy dni temu wrzucił post. Podpis: „Zakochany z użytkownikiem Alicja”. I rząd serduszek. A na fotografii on z jakąś panną. Moje przeciwieństwo, pomyślałam, powiększając zdjęcie. Dziewczyna była młoda, bardzo młoda. Może już miała maturę, a może jeszcze nie, zresztą wyglądała na taką, która się nie przejmuje wykształceniem, bo czasu jej nie starcza na szkołę, skoro trzeba do fryzjera, kosmetyczki i na solarium. Istna Barbie – ożywiony plastik. Miała długie nogi, długie blond włosy, wciętą talię i hollywoodzki uśmiech. Paweł był w nią wpatrzony jak w święty obrazek. Pierwsza napłynęła fala smutku, zaraz potem – złości. Kolejna była satysfakcja, zauważyłam bowiem, że nad spodenkami plażowymi Paweł ma fałdkę tłuszczu, a jego nieopalone ciało wygląda nieatrakcyjnie przy tej chudej karmelowej blondynie. „Poczekaj, poczekaj, niewiele czasu minie, a ona też ci zwróci wolność”.

Dwa tygodnie w Krakowie mnie zmieniły. Nie do wiary, że kilkanaście dni, kilka przypadkowych spotkań i jeden znaleziony pamiątnik mogą tak namieszać człowiekowi w głowie. A potem poukładać w niej na nowo.

Wciąż było mi smutno, że jestem sama.

Zdarzało mi się myśleć: „Czy ze mną jest coś nie tak?”.

Na dźwięk słowa „Mojry” dostawałam dreszczy.

Żałowałam, że nie ma już prababci, i tego, że nie byliśmy bliżej.

Z drugiej jednak strony...

Jeśli Paweł wybrał kogoś takiego, to znaczy, że nie był mnie wart.

Jestem zamknięta i wycofana, ale mogę to zmienić. Co więcej – chcę to zmienić.

Mitologia to tylko opowieści. Przecież nie wierzę w siły nadprzyrodzone (chyba – powinno być dopisane małym druczkiem).

Zrobiłam się odważniejsza i bardziej samodzielna – sprzedam mieszkanie.

Prababci nic nie wróci do żywych, ale są babcia i mama. Od teraz będziemy się częściej widywać, zadbam o to.

To ostatnie miało się bardzo szybko spełnić.

Stałam przed drzwiami swojego mokotowskiego mieszkania. Zupełnie inny świat, pomyślałam, rozglądając się dokoła. Brak koloru, sterylna czystość. Imponująco, choć jakby czegoś brakowało. Cóż, najwyraźniej potrzeba czasu, by się przełączyć z jednej rzeczywistości na drugą.

Sięgnęłam do torebki po klucz i wsunęłam go do zamka. To znaczy: próbowałam go wsunąć, bo wszedł tylko do połowy i dalej coś go blokowało. Spróbowałam jeszcze raz, ale bez skutku. Cholera, no, zakląłam pod nosem. Co tam się mogło popsuć? I wtedy zamek zgrzytnął, drzwi się uchyliły i stanęła w nich... Dorota.

– Mama? – zdębiałam.

– Niespodzianka – powiedziała, ale miałam wrażenie, że za tym pogodnym uśmiechem kryje się coś smutnego. – No chodź, chodź do środka – zaprosiła mnie do mieszkania. Mojego mieszkania. – Nie cieszysz się, że mnie widzisz? Sama mówiłaś, że chciałybyś, żebyśmy spędzały więcej czasu. *Well*, no to jestem.

Weszłam, wciąż oszołomiona – do tego stopnia, że nawet jej nie pocałowałam. Mama nigdy mnie w ten sposób nie zaskoczyła. Szanowała i swoją, i moją prywatność. Ogarnęły mnie złe

przecucia.

– Tak, pewnie, oczywiście, że chcę, tylko po prostu jestem zdziwiona, bo nic mi nie powiedziałaś.

– Ach, miałaś teraz tyle na głowie, że już niczego więcej nie miałam serca ci dokładać. No to co tam słyszeć? Jak sprawy?

Wpatrywałam się w mamę. Była niezdrowo ożywiona. Zwykle była bardzo energiczna, ale teraz dołączyła do tego jakaś nerwowość. I w ogóle wyglądała inaczej, to znaczy gorzej. Zawsze była szczupła, jak wszystkie Majewskie, ale ostatnio chyba schudła, co uwidoczniło się szczególnie na twarzy. Oczy gdzieś zgubiły swój magiczny zielony blask, włosy, które jako jedyna z nas fantazyjnie i krótko obcinała, były chyba w fazie zapuszczania, w każdym razie fryzura sprawiała wrażenie zaniedbanej.

– Dobrze, mamó. Wszystko dobrze, mamó. – Specjalnie powiedziałam „mamó”, zamiast „Dorota”. Zwykle ją to irytowało, teraz nawet nie zwróciła na to uwagi.

– Tak? No to doskonale. Mieszkanie się sprzedaje? – zapytała, błędząc wzrokiem gdzieś nad moją głową.

– Jest w trakcie. Agencja właśnie wystawiła ogłoszenie. Bardzo ładne, potem ci pokażę. Pan Tomek twierdzi, że zaraz się posypią chętni.

– Doskonale. Tyle że papierów brak.

– Agencja wie, ale to tylko miesiąc, więc najwyżej podpiszą umowę z przedwstępną, a potem się uzupełni formalności.

– Klara, posłuchaj...

Stężałam. Mina Doroty była poważna. Nagle przyszło mi do głowy najgorsze – mama jest chora. Śmiertelnie chora. To dlatego tak źle wygląda. Dlatego jest taka rozkojarzona. Takich rzeczy się nie mówi przez telefon, więc przyjechała. Strach ścisnął mnie za gardło.

– Mamó – wychrypiałam – widzę po tobie, że coś się stało. Czy... – Nie potrafiłam dokończyć.

– Wiesz, tak się przecież w życiu zdarza. Miałam nadzieję, że mnie to ominie. W pewnym wieku jednak...

– Mamuś, no co ty opowiadasz, przecież wciąż jesteś młoda! Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! Na pewno można coś zrobić, nie ma sytuacji bez wyjścia – zebrałam razem wszelkie możliwe słowa otuchy. Podeszłam do mamy i objęłam ją nieporadnie. Czułam, że za chwilę się rozpłaczę.

– Nie mam siły teraz o tym myśleć. Potrzebuję po prostu odpocząć, zresetować się. *Take a rest*. Dlatego przyjechałam.

– Oczywiście, mamusiu, oczywiście. Tylko wiesz, z pewnymi sprawami nie można zwlekać, żeby nie doprowadzić do pogorszenia.

– Pogorszenia?... Tu sytuacja jest jednoznaczna. Gorzej już nie będzie.

Boże, Boże, Boże! Dlaczego moja mama? Dlaczego właśnie ona? Czy całe zło tego świata musi mi się zwałać na głowę?

– Mamo, a możesz powiedzieć coś więcej na ten temat? – wyszeptalam. I chciałam wiedzieć, i bałam się tej wiedzy.

Dorota spojrzała na mnie smutno:

– Rozstałam się z Markiem.

– Słucham? – Już drugi raz w ciągu ostatnich miesięcy zdarzyło mi się, że byłam odbiorcą czyjejś wypowiedzi, rozumiałam każde jej słowo, a i tak ogólny sens mi umykał.

– Z Markiem się rozstałam. Nie jesteśmy już razem.

Zdębiałam. Jakie „rozstałam się z Markiem”? Przecież mama jest umierająca!

– To ty nie jesteś chora? – zapytałam osłupiała, odsuwając się od niej.

– Nie, skąd ci to przyszło do głowy?

– No bo przyjechałaś, o niczym mnie wcześniej nie uprzedziłaś, widzę, że jesteś zdenerwowana. To co miałam pomyśleć?

– Że są inne powody smutku niż śmiertelna choroba? – odparła już swoim zwyczajnym tonem.

– A dlaczego właściwie się rozstaliście? Co się stało? Po tylu latach?

– Wspólnie spędzone lata nie są żadną gwarancją.

– No dobrze, nie są. Ale w czym rzecz? Zdradził cię? Może... bił? Znęcał się w inny sposób? – Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy, ale przecież właściwie nie znałam tego faceta. Widywaliśmy się kilka razy w roku, a oni mieszkali daleko – i ode mnie, i od cywilizacji. Każde cztery ściany mogą skrywać mroczną tajemnicę, zwłaszcza takie, które nie mają bliskiego sąsiedztwa innych domów.

– Nie, nic z tych rzeczy. Marek to w gruncie rzeczy dobry facet. – Mama pokręciła głową.

– No to się wydarzyło?

– Widzisz... – zaczęła powoli – za trzy lata skończę sześćdziesiąt lat. I czuję, że to ostatni moment, żeby sobie odpowiedzieć na pytanie, czy moje życie jest takie, jakbym chciała. Czy ja i mój mężczyzna wciąż patrzymy w jednym kierunku. Całkiem często się zdarza, że dobiera się dwoje fajnych ludzi i kłapa. Bo oni są fajni pojedynczo, a nie w parze, to znaczy – nie w tej parze.

– Po dziesięciu wspólnych latach naszły cię takie rozmyślania? – Z trudem hamowałam złość. Skoro nic się nie stało, to co matce strzeliło do głowy?

– Widzisz, na początku było super, ale z czasem... Im bardziej się wypalała namiętność, tym szarzej było w codzienności.

– Nad związkiem się pracuje – wygłosiłam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Dlatego pracowałam. Ale ludzi się nie da zmienić. Można zmienić siebie, swoje oczekiwania, poglądy. Pytanie tylko, po co i jak bardzo. Chcę czegoś więcej niż emerytury w lesie. Czuję, że świat jeszcze ma dla mnie coś ciekawego w zanadrzu. Marek woli wsunąć stopy w papucie, siąść w fotelu przy kominku i czytać „Naszego Leśnika”. Spaceruje po puszczy, a poza tym już spokój, tylko święty spokój.

– A wcześniej ci to nie przeszkadzało? – zapytałam z przekąsem. – Wcześniej był inny?

– Był młodszy. Więcej energii, więcej testosteronu. Duża chemia. To wiele ułatwiało – odparła Dorota. – Ja też byłam inna – wtedy

akurat chciałam się odciąć od świata. Marek mi wystarczał. Wyjazd do puszczy wydawał mi się dobrym pomysłem. Od początku wiedziałam, że jesteśmy różni, ale może tak chciałam ustatkowania, że sobie wmówiłam, że to nie ma znaczenia, że wszystko się ułoży? Starczyło mi tego napędu na dziesięć lat. – Spojrzała na mnie. Teraz byłyśmy od siebie oddalone od dobrych kilka kroków; mimowolnie się od niej odsunęłam.

– Mamo, ty jesteś... jesteś niedojrzała! – podniosłam głos. Zupełnie zapomniałam o niedawnej chęci zacieśniania więzi. Paralizujący lęk o jej życie odpłynął, zabierając ze sobą gotowe do użycia pokłady czułości i troski. Byłam wściekła.

O dziwo, Dorota była spokojna.

– A ty jesteś dojrzała? – zapytała, patrząc mi prosto w oczy.

– Na pewno bardziej niż ty.

– I czym to się przejawia?

– Że jestem odpowiedzialna.

– Czyli?

– Mam pracę.

– Ja też mam pracę. – Dorota wciąż nie spuszczała ze mnie wzroku. Zachowywała się jak winny, który jednak sam nie ma sobie nic do zarzucenia.

– Nie podchodzę lekko do związków.

– A mimo to się kończą.

Zabolało. Poczułam pod powiekami łzy – tym razem były to łzy złości i bezsilności.

– Sama się zajmuję różnymi sprawami, na przykład spadkiem. – Tu Dorota nie mogła mi niczego zarzucić.

– Właśnie, skoro mowa o mieszkaniu... Musimy porozmawiać o tym, jak tu przemeblować.

– A to czemu?

– Bo nie wracam pod Suwałki.

– I?...

– I będę mieszkać tutaj.

– Ale jak: tutaj? Przecież tu to ja mieszkam.

– Próbowałam ci to delikatnie zasygnalizować podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej, bo już wtedy wiedziałam, że opuszczę leśniczówkę. To mieszkanie jest moje. Twoje jest to w Krakowie.

Rozdział dwudziesty pierwszy



– Jak ona mogła? – Pociągałam nosem, siedząc u Anki w kuchni. Przyjechałam tu rano, od razu po wstaniu, nawet bez śniadania. Właściwie to najchętniej bym u niej nocowała, ale kiedy się ma w domu noworodka, to nawet przyjaciółka staje się dość kłopotliwym gościem.

– No wiesz... – Anka była trochę rozkojarzona i z trudem hamowała ziewnięcia. – Przepraszam cię, to silniejsze ode mnie. Ty pij kawę, bo możesz. – Postawiła przede mną parujący kubek i wsypała do niego dwie czubate łyżki cukru. – Ja zostanę przy herbatce koperkowej, której nienawidzę. No mów, mów, słucham cię, tylko wolno myślę.

Właściwie to ja też wolno myślałam. Również się nie wyspałam, bo w nocy adrenalina we mnie buzowała i wciąż się nakręcałam złością.

– Powiedziałam mamie, że jest niepoważna. I wiesz, co mi odpowiedziała? Zapytała, czy oznaką powagi ma być chodzenie z nosem na kwitnę i bycie starym od młodości. Że to niby ja! Ja, rozumiesz?!

– Domyśliłam się. – Pokiwała głową Anka. – Wiesz, ja cię oczywiście rozumiem, ale...

– Ale? – Nie wierzyłam, że Anka mogłaby mnie zdradzić.

– Chcę tylko powiedzieć, że powinnaś się zająć sobą, nie Dorotą.

To jej życie i, szczerze mówiąc, jej wybory. Owszem, też jestem zdziwiona, bo myślałam, że tamto było już na zawsze, no ale co nam do tego, tak właściwie? To twoja matka, to ona mogłaby ci truć, jak moja na przykład. Zawsze gotowa, by udzielić dobrej rady.

No tak. Mama Anki była typem nadopiekuńczym. Jeszcze na studiach chętnie by jej robiła kanapki na zajęcia i prasowała koszule.

– Ha! Mogłaby, gdyby ją interesował ktoś inny niż ona sama. Egoistka. A ja myślałam, że nam się lepiej ułoży, zwłaszcza teraz, po przeczytaniu tego pamiętnika, kiedy już wiem...

– Jakiego pamiętnika? – zdziwiła się Anka.

– Widzisz, z tego wszystkiego zapomniałam ci powiedzieć. Pamiętnika prababci Emilii. Znalazłam go w szufladzie toaletki. I teraz już wiem, jak to było. Zakochała się w Staszku, góralu, którego poznała na wakacjach w Poroninie. Wakacje się skończyły, ona z mamą wróciła do Krakowa, akurat na rozpoczęcie wojny. Staszek się tam zjawił, by się zaciągnąć do wojska. No ale zanim to się stało, to...

– To co? – Anka nie zrozumiała, co miało oznaczać to moje zawieszenie głosu.

– No, a potem: kropka, kropka, kropka – wyjaśniłam i patrzyłam wyczekująco, aż załapie.

– Jezu, jaka kropka? – Anka patrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Jak w *Mamma Mia*. Kropka, kropka, kropka, czyli...

– A, ciąża! – Ankę olśniło.

– Tak, prababcia zaszła w ciążę – potwierdziłam, ze zdumieniem stwierdzając, że trochę mnie ten fakt zawstydzia. Jezu, czy ja naprawdę jestem taka niedzisiejsza mieszcza?

– Postępowo – skwitowała z widocznym podziwem.

– Uczuciowo raczej – westchnęłam. – No w każdym razie ślubu nie było, bo okazało się, że Staszek zginął pod Dunkierką – tak Czerwony Krzyż napisał pod koniec wojny. Wraz z nim umarły marzenia prababci.

– Smutne.

– Bardzo. I muszę ci powiedzieć, że kiedy czytałam ten pamiętnik, to pomyślałam, że prababcia znalazła swoją drugą połówkę, tylko los nie dał im szansy na długie wspólne życie. Podobnie zresztą jak babci Elżbiecie. – Opowiedziałam i o naszej rozmowie. – Co innego ja i mama. Dorota miała wiele prób, ale zawsze pudłowała. Ja – jedną, ale też nieudaną. – Aż się wzdrygnęłam na wspomnienie tego zdjęcia z Facebooka. – To samo w sobie nie jest wesołe, ale teraz na pierwszy plan wysuwa się sprawa mieszkania.

W tym momencie dobiegło nas ciche kwilenie, które dość szybko zmieniło się w całkiem donośny płacz. Zosia przypomniała o swoim istnieniu.

– Poczekaj chwilę, już słucham, tylko ją przyniosę. – Anka podźwignęła się z krzesła i poszła do sypialni. Wróciła z córeczką, już mocno czerwoną na buzi i głośno domagającą się jedzenia.

– Nakarmię ją, to znowu będziesz mogła mówić.

Fakt, teraz z trudem słyszałam własne myśli.

Anka przystawiła Zosię do piersi. Bunt natychmiast ustał. Mała łapczywie się przyssała. Patrzyłam na nie. Matka i córka. Na tym etapie żyć bez siebie nie mogą. Anka wskoczyłaby za Zosią w ogień, dla Zosi Anka będzie najważniejszą osobą na świecie przez kilkakilkanaście najbliższych lat. A potem? Zrobiło mi się smutno, ale złość wciąż jeszcze górowała nad wszystkimi innymi uczuciami.

– No więc z powodu tego rozstania Dorota sprowadziła się do mnie, o przepraszam – do siebie – zaakcentowałam ironicznie to „do siebie” – na stałe.

– Fakt! Już prawie zapomniałam, że kiedyś mieszkaliście tam razem.

– Ale bardzo niedługo, bo potem się wyprowadziła. Gdy tylko zaczęłam studia! I powiedziała, że mogę mieszkać, ile zechcę, bo ona nie potrzebuje tego mieszkania!

– No przecież wcale cię teraz nie wyrzuca, prawda? – zapytała Anka, z czułością gładząc Zosię po policzku.

– Prawda. Ale nie wyobrażam sobie tego. Mam trzydzieści cztery lata, właśnie zostawił mnie facet i znowu zamieszkałam z mamą.

Boże, jak to brzmi! Jak smutna historia życiowego pechowca!

– No, może rzeczywiście... – Anka pokiwała głową. – Trudna sprawa. Ona przecież też potrzebuje dachu nad głową. No i jednak mieszkanie jest jej, to fakt. To dlatego mieszkanie w Krakowie prababcia zapisała tobie, żeby było sprawiedliwie.

Dziękuję za taką sprawiedliwość, pomyślałam. Życie wcale nie jest sprawiedliwe, a mnie to już szczególnie po macoszemu traktuje.

– Właściwie, z tego, co mówiłaś, to całkiem fajny lokal, ten Pod Trzema Lipami. Miejscówka w centrum, z superwidokiem, no i twoja. Gdyby nie to, że w Krakowie, to nic, tylko się przeprowadzać.

A gdyby tak?, pomyślałam nagle. Dlaczego nie przyszło mi to do głowy? Bo to Kraków, nie Warszawa, odpowiedziałam sobie. Trzysta kilometrów od domu. „Dom na stałe to ma tylko ślimak. A człowieka los może różnie rzucać”, usłyszałam panią Florczyk. Może...

– No i się przeprowadzę. Do Krakowa właśnie.

Kiedy tylko wyszłam od Anki, poczułam, jak moja odwaga się kurczy. Tę deklarację wygłosiłam pod wpływem impulsu. „Wracam do Krakowa”. Łatwo to powiedzieć, łatwo nawet zrobić, tylko co dalej? Mimo wszystko postanowiłam, że się nie cofnę. „Zaakceptować lub zmienić”, brzmiało mi w głowie inne krakowskie motto. Zaakceptować nie potrafiłam, pozostawała zatem zmiana.

Odwlekałam moment powrotu do domu. Nie wiedziałam, czy mama jest, czy może dokądś poszła. Strasznie się wczoraj pokłóciłyśmy i teraz – mimo że wciąż byłam na nią zła i wciąż uważałam, że pochopnie się rozstała z Markiem – było mi trochę wstyd za te moje wybuchy złości. Może się zagalopowałam? W końcu córka nie powinna się wtrącać w życie uczuciowe matki. Dorota szanowała moją prywatność, nawet aż za bardzo, ale musiałam przyznać, że gdy Paweł mnie rzucił, nie dopytywała o szczegóły, nie próbowała mnie głupio pocieszać. „Życie się na nim

nie kończy”, powiedziała ciepło. Wtedy jej nie wierzyłam, teraz musiałam przyznać, że miała rację. Z drugiej jednak strony ona też mi nie pozostała wczoraj dłużna. Nigdy wcześniej się tak nie poraniłyśmy. Im bardziej się nakręcałyśmy, tym więcej przykrych słów fruwało w powietrzu – i moich, i jej. Nie wyobrażałam sobie, że miałybyśmy teraz usiąść przy jednym stole.

Usłyszałam dzwonek telefonu. Jeśli to Dorota, nie odbiorę, pomyślałam. Jeżeli Anka, też, bo mogłaby mnie próbować odwieść od tego pomysłu. Potrzebowałam trochę spokoju, żeby pomyśleć, co dalej. Spojrzałam na wyświetlacz – Monika, koleżanka z apteki. No właśnie, pozostawała jeszcze apteka. Muszę zanieść podanie o dodatkowy urlop i poinformować, że po nim już nie wrócę do pracy. Jak ostre cięcie, to ostre cięcie.

– No cześć, Moni, co tam?

– No właśnie po to dzwonię, żeby ci powiedzieć. Bo ty nic nie wiesz, prawda?

– Ale o czym bym miała wiedzieć? Przecież nie było mnie przez ostatnie dwa tygodnie. I właściwie może znowu mnie nie będzie, bo...

– No, na pewno cię nie będzie. Nikogo nie będzie. Ale heca, mówię ci.

– Ale jak to: nikogo nie będzie? – Zbaraniałam.

– Od wczoraj mamy w aptece kontrolę. Kilku facetów w ciemnych strojach, jeden bardzo przystojny, taki wysoki, wysportowany czterdziestolatek. No obłędny! Ale dobra, bo to temat poboczny. Więc tacy faceci, co to od razu widać, że jakieś służby, przyjechali rano, zapukali do tylnych drzwi. Akurat ja im otworzyłam. Najpierw się przestraszyłam, ale byli bardzo kulturalni, pokazali odznaki i nakaz przeszukania i zabezpieczenia apteki.

– Jezus, jak to?! Czego można szukać w aptece? Przecież my sprzedajemy leki, nie narkotyki.

– Szwindlu! Oczywiście, na początku nic nie chcieli powiedzieć, bo tajemnica, ale poprosili o przekazanie dokumentów i raportów, i tak od słowa do słowa... Okazało się, że Jaruś, nasz szef, to

przekręciarz! Oszustwa z lekami refundowanymi, z receptami na inwalidów wojennych, no gruba sprawa! Miliony złotych! Miliony! – Monika była podekscytowana. – To dlatego mu tak świetnie szło. Co dwa lata nowa fura, wypasiony dom, jakieś egzotyczne wakacje. A nam nawet żałował premii. Szuja!

Przypomniała mi się ta nocna praca przy zmianie systemu. Wtedy byłam z siebie dumna, że tak sprawnie udało nam się to przeprowadzić. I za darmo. O moja naiwności, westchnęłam w duchu. Mama miała rację, niechętnie przypominałam sobie uwagę o braku dodatkowego wynagrodzenia za tę pracę.

– Jarek nie jest może najlepszym szefem, ale od bycia sknerą i gburem jest jeszcze kawałek drogi do stania się przestępcą. – Mimo wszystko trudno mi było uwierzyć, żeby taka sprawa jak z *Faktów* mogła się wydarzyć właśnie w naszej aptece.

– Sprintem ją pokonał – zaśmiała się złośliwie Monika.

– No dobrze, to co teraz będzie? Co to oznacza dla nas?

– Jego przymkną na trzy miesiące, a apteka przez najbliższy tydzień na pewno będzie zamknięta. Ten przystojny mi powiedział, że tydzień to mówią nam teraz, a doświadczenie uczy, że takie sprawy się ciągną miesiącami. Mamy nie przychodzić do pracy, właśnie po to dzwonię. Odpoczywamy, a Jaruś nam płaci – oznajmiła z nieukrywaną satysfakcją w głosie. – Możesz sobie jeszcze posiedzieć w tym swoim Krakowie.

Jeśli czekałam na jakiś znak od losu, to właśnie go dostałam.

Wróciłam do domu. Z bijącym sercem wsuwałam klucz do zamka. Wszedł gładko, co znaczyło, że mamy nie ma. Pewnie też wolała się ewakuować z pola bitwy. Ucieszyło mnie to. Nie miałam ani siły, ani ochoty, żeby teraz z nią rozmawiać.

Wyciągnęłam z szafy największą walizkę i zaczęłam układać w niej ubrania. Dobrze, że jest już ciepło, to nie potrzebuję ciągać grubych ciuchów. Potem poszłam do sypialni, w której stało moje biurko. Z szuflady wyjęłam teczkę z dokumentami, w której między innymi trzymałam dyplom ukończenia studiów. Nawet najdłuższa

kontrola kiedyś się skończy, a wtedy Jarek pewnie nas zwolni, bo z więzienia trudno kierować interesem. Z torby, której nie zdążyłam wczoraj rozpakować, zabrałam brudne ciuchy. Wpakowałam je do worka na śmieci i włożyłam do walizki. Nie zostawię ich przecież mamie do prania. Na dnie zostały kosmetyczka i pamiętnik prababci. Kosmetyczkę upchnęłam w walizce. Notes niepewnie trzymałam w ręku. Chciałam go dać mamie do przeczytania przy najbliższej okazji, bo przecież też miała prawo poznać rodzinną historię. Wyobrażałam sobie, jak wręcam jej te wspomnienia przewiązane wstążeczką, a potem wspólnie rozmawiamy o prababci Emilii. Ech... Biłam się z myślami. W końcu włożyłam pamiętnik do górnej szuflady komody stojącej w salonie. Poszłam do kuchni i rozejrzałam się za jakąś kartką. Samoprzylepne się skończyły. Może mam coś przy sobie? Sięgnęłam do tylnej kieszeni dzinsów – wciąż nosiłam w niej karteczkę od Jadzi z zamiarem na pana Piecyka. Była już trochę sfatygowana, ale trudno. Złożyłam ją na pół i przerwałam. Część z pismem Jadzi schowałam z powrotem, na drugiej napisałam: „Wracam do Krakowa”. Na niezadrukowanym odwrocie zaś zrobiłam dopisek: „Zajrzyj do górnej szuflady komody”. Kartkę przyczepiłam magnesem do lodówki, robiąc miejsce wśród ulotek i pocztówek.

Sprawdziłam połączenia kolejowe z Krakowem. Najbliższy pociąg odjeżdżał za godzinę.

Dopięłam walizkę i obrzuciłam mieszkanie pożegnalnym spojrzeniem, a potem zamknęłam za sobą drzwi.

Rozdział dwudziesty drugi



W rubryczce z minusem wpisałam:

Nie mam lodówki.

Prawie nie mam pralki (frania się stara, ale to zdecydowanie nie automat).

Nie mam ogrzewania. Teraz to nie problem, ale za cztery miesiące już to odczuję.

Kuchenka ledwo dyszy.

Nie mam pracy. Tu mogę chwilę poczekać, skoro szczęśliwie dla mnie Jarek okazał się oszustem.

W rubryczce z plusem napisałam:

Odmalowałam ściany.

Naprawiłam piecyk.

Meble są.

Mam oszczędności.

Pracę znajdę.

Mogę liczyć na babcię.

I Jadzię (tak czuję).

Siedziałam przy stole w salonie. Za oknem lekko się kołysały zielone gałęzie lip. Piękny widok. Dwa tygodnie temu doprowadził mnie do szloch, teraz działał kojąco.

Właściwie byłam spokojna. Człowiek jednak uczy się życia w boju.

Dopóki nie musiałam się mierzyć z przeciwnościami losu, tkwiłam sobie bezpiecznie w swoim kokonie. A potem w tak krótkim czasie tyle się wydarzyło: prababcia umarła, Paweł mnie rzucił, pojechałam do Krakowa, postanowiłam sprzedać mieszkanie, znalazłam pamiętnik Emilii, wróciłam do Warszawy, mama rozstała się z Markiem, wyjechałam do Krakowa. Skoro do tej pory jakoś się utrzymałam na powierzchni, to miałam nadzieję, że dalej może być tylko lepiej.

Najważniejsze to ustalić plan działania. Postanowiłam zacząć od remontu. Sprzęt mogę kupić w każdej chwili, a kucie, prucie, zaklejanie, montowanie trochę potrważą. Wyszukam dziś telefony do ekip remontowych i jutro, od poniedziałku, zacznę dzwonić. Nie miałam pojęcia, ile to będzie kosztowało, ale po kilku rozmowach na pewno wyrobię sobie zdanie. Na koncie oszczędnościowym miałam osiemnaście tysięcy złotych. To chyba powinno wystarczyć.

Postanowiłam zadzwonić do babci i powiedzieć, że znowu jestem w Krakowie. Wybrałam numer.

– Cześć, babciu.

– O, dzień dobry, Klaruniu. Jak podróż?

– Dobrze. W jedną i w drugą stronę dobrze.

– Nie rozumiem, kochanie. Jak to w jedną i drugą stronę?

– Bo znowu jestem w Krakowie.

– W Krakowie? A co się stało? Zapomniałaś czegoś? Jakieś problemy w mieszkaniu? Trzeba było powiedzieć, to przecież bym podjechała i sprawdziła czy wysłała, co tam potrzeba. Po co tak się męczyć, wte i wewte jeżdżąc? – Babcia się zdenerwowała.

Może powinnam była powiedzieć jej to inaczej. Tylko jak, skoro sama byłam jeszcze oszołomiona.

– Babciu, to bardziej skomplikowane. Ja tu przyjechałam na stałe.

– Mój Boże, jak to na stałe? Tak nagle? Co się zmieniło w ciągu jednego dnia?

– Mama zostawiła Marka i leśniczówkę. Wróciła do Warszawy, więc ja nie mam gdzie mieszkać – oznajmiłam.

– Dorotka kazała ci się wyprowadzić?! – Babcia wychwyciła ten wątek, pomijając rewelację o rozstaniu.

– No, aż tak to nie, ale przecież jasne, że nie będziemy razem mieszkały – przyznałam, przełamując niechęć. Miałam nadzieję na oburzenie wobec Doroty i współczucie dla mnie.

– Rozumiem, choć przez jakiś czas, póki nie sprzedasz tego mieszkania, to byście mogły. Czy tu nie chodzi przypadkiem o coś innego, Klaruniu?

– Pokłóciłyśmy się. Bardzo.

– O mieszkanie?

– O to właściwie najmniej. O Marka. O życie. O różne sprawy. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego mama przekreśla to wszystko, co zbudowała.

– A co ci powiedziała? Ja jeszcze o niczym nie wiem.

– Że się wypaliło. Że przestała widzieć sens, że nie chce takiej przyszłości. Takie tam niepoważne teksty.

– Dla niej może poważne.

– Naprawdę tak myślisz, babciu? – Z trudem hamowałam irytację.

– Myślę tylko, że nie jestem Dorotą. Staram się nie oceniać – odpowiedziała babcia spokojnie.

– I jeszcze mi powiedziała, że jestem teoretykiem, bo zawsze wybieram bezpieczniejsze opcje, byle się tylko nie skonfrontować z życiem. No to właśnie się konfrontuję i zostaję w Krakowie.

Babcia przez chwilę milczała, a potem zapytała:

– A ta rewolucyjna decyzja to przypadkiem nie na zasadzie, że na złość mamie odmroziś sobie uszy?

– No, może na początku... – przyznałam niechętnie. – Najpierw się uniosłam honorem. Ale potem pomyślałam, że to jest jakieś rozwiązanie. Przynajmniej na pewien czas. A kiedy się jeszcze okazało, że apteka będzie zamknięta, bo właściciel jest podejrzewany o jakieś oszustwa, to uznałam, że nie ma się co zastanawiać. No i jestem.

– No to skoro już jesteś, to przyjeźdź. Upiekę szarlotkę

i porozmawiamy. To nie jest rozmowa na kabel czy tam światłowód.

Drugi raz w ciągu ostatniego miesiąca siedziałam z babcią przy stole w jej mieszkaniu i rozmawiałam na naprawdę ważny temat w naprawdę szczerzy sposób. Zupełnie jakby czas nagle nabrał przyspieszenia. Tyle lat spokoju, a teraz karuzela zdarzeń wirowała coraz szybciej. Żebym tylko z niej nie spadła, pomyślałam. Babcia musiała wyczuć moje zdenerwowanie, bo delikatnie poklepała mnie po dłoni.

– Klaruniu, chcę, żebyś wiedziała, że na mnie zawsze możesz liczyć.

– Jesteś kochana, babciu – rozczuliłam się. – Zawsze to wiedziałam. A teraz jeszcze widzę, jaka jesteś wyrozumiała. Wiem, że mama dawała ci popalić, i do tej pory wydawało mi się, że ty to po prostu dzielnie znosisz, pewnie z trudem, nie pokazując po sobie, że ci się to nie podoba. A teraz wydaje mi się, że ty mamę... akceptujesz, tak prawdziwie akceptujesz, z tymi wszystkimi jej odpałami i szaleństwami. Ja to podziwiam – dodałam – choć jestem zdziwiona, bo jakoś mi to nie pasuje do ciebie.

– Do starszej konserwatywnej pani? – Babcia się uśmiechnęła.

– No też. Ale w ogóle do ciebie, takiej spokojnej, zrównoważonej, odpowiedzialnej. No bo ktoś taki pewnie chciałby mieć podobne dziecko. Tymczasem mama... – Zawiesiłam głos. Patrzyłam na babcię – schludną, elegancką panią, a potem przed oczami stawała mi Dorota – szalona i nieokiełznana. Matka i córka. Para nie do wiary.

– Przyznaję, że pokusa takiego myślenia jest ogromna. I powiem ci, Klaruniu, że o mało nie popełniłam podobnego błędu, żeby próbować Dorotkę ulepić na swoje podobieństwo. Od małości niezwykle żywiołowa była z niej istota. Nie byłam na to przygotowana, bo sama zawsze byłam bardzo ułożona, nawet w dzieciństwie. Moja mama, czyli prababcia Emila, również. No, może to zakochanie w Staszku wyłączywszy, ale przecież wiadomo, co miłość potrafi zrobić z człowiekiem... Aż tu nagle się pojawia

mały diabełek, tak wtedy myślałam. Wszędzie było jej pełno. Nie potrafiła usiedzieć w jednym miejscu, z placu zabaw przychodziła ze zdartymi kolanami, w przedszkolu panie się skarżyły, że gorsza od najgorszego chłopaka. Wtedy tłumaczyłam to sobie brakiem ojca – że może przeżywa ten deficyt, w naszej rodzinie nie ma równowagi, a ja sama jestem pozbawiona odpowiednich wzorców, więc te niekorzystne czynniki zewnętrzne tak wpływają na jej zachowanie. W końcu umówiłam nas do pani psycholog, zwłaszcza że Dorotka poszła do pierwszej klasy i problemy jeszcze się nasiliły. I dziękuję opatrności za specjalistkę, do której trafiłyśmy. Wiesz, wtedy w powszechnej opinii psycholog był jak psychiatra. Nie odróżniano tego. Jak kto szukał pomocy, bo mu się w głowie i duszy zapętlilo, to od razu mu łatkę wariata przyklejano. Z zaufanego polecenia trafiłyśmy do doświadczonej pani psycholog, już na emeryturze. Cudowny człowiek. To spotkanie, ta rozmowa odmieniły moje życie.

Słowa, które odmieniają życie. Nagle wróciły do mnie wszystkie ważne zdania z ostatnich dni, po których zaczynałam patrzeć na świat inaczej. Wcześniej bym uznała, że takie stwierdzenie jest przesadą, teraz zaś pomyślałam, że spotkanie z odpowiednim rozmówcą może nadać życiu inny bieg.

– A co dokładnie ci powiedziała ta pani psycholog?

– Otworzyła mi oczy. Pierwsza sprawa, o której już wspomniałam: dziecko może być jak rodzic, ale i może być całkiem różne. Rodzic by wolał ten pierwszy wariant, bo tak mu jest wygodniej, wtedy wie, czego się spodziewać, jak się zachować. Wspólny, wygodny, bezpieczny świat. Mnie się trafiło inaczej. Dorotka była dla mnie zagadką, niewiadomą. Wydawało mi się, że nic ze mnie – jeśli chodzi o wnętrze – nie ma. I w takiej sytuacji dorosły próbuje zmienić dziecko, bo boi się tego nieznanego świata, nie ma do niego klucza. Nie chce się konfrontować, nie chce wychodzić ze swojej norki. Pani psycholog poobserwowała Dorotkę, porozmawiała z nią i stwierdziła, że nie widzi u niej żadnych niepokojących cech. Owszem, jest bardzo żywiołowa i potrzebuje wciąż nowych

bodźców, ale to nie wada. Taki temperament. Powiedziała mi wtedy bardzo ważną rzecz: rodzic jest opiekunem, to znaczy że ma podążać za dzieckiem, a nie ciągnąć je za sobą. Najpierw trzyma je za rączkę, potem rączkę puszcza, ale asekuje, później pozwala na swobodę w zasięgu wzroku, a ostatni etap jest wtedy, gdy dziecko znika z radaru rodzica. I żeby płynnie weszło w samodzielne życie, rodzic powinien do tego czasu zaszczyć w nim poczucie bezwarunkowej miłości. Takie dziecko nie będzie potrzebowało kontroli i będzie chciało wracać do domu.

– To brzmi jak bezstresowe wychowanie – stwierdziłam z powątpiewaniem.

– Ach, wcale nie! – zaprzeczyła babcia. – To pojęcie wiele złego zrobiło, sugerując rodzicom, że nie trzeba zasad, hulaj dusza, wszystko wolno. Diabeł tkwi w szczegółach – w angielskim się mówi *permissive parenting*, co oznacza wychowanie permissywne, czyli pozwalające na swobodę, ale w ramach granic. To mi właśnie Dorotka objaśniła, kiedy, wiele lat później, już po studiach, tłumaczyła materiały na jakąś konferencję i poznała oryginalny tytuł tej teorii pedagogicznej. Polska wersja poszła w zupełnie inną stronę, wypaczając ideę.

– Widzisz, ja w dzieciństwie chyba wolałam, żeby mama mi dawała więcej nakazów i zakazów. Wcale nie miałam ochoty być tak bardzo samodzielna – westchnęłam.

– Może tak być, Klaruniu. Dorotka zaś, zawsze niezależna, nie miała takich pomysłów wychowawczych wobec ciebie, co wcale nie znaczyło, że cię zaniedbuje lub że jej na tobie nie zależy.

– Ale miała łatwiej niż ty, bo ja byłam poukładana i porządna.

Babcia przyglądała mi się przez chwilę, a potem z uśmiechem zapytała:

– A może dla niej, niebieskiego ptaka, zaakceptowanie córki, która jest poukładana jak pod linijkę, wcale nie było łatwe?

Oślupiałam. Nigdy, przenigdy bym nie pomyślała o tym w ten sposób.

– Wiesz, babciu, taka interpretacja do głowy by mi nie przyszła.

Choć... – Przypomniałam sobie wszystkie chwile, gdy kurczowo się trzymałam stałego, znanego lądu, a mama delikatnie mnie próbowała wypchnąć na szerokie, nieznane wody. „Zatrapku” i „boidudku kochany”. – Och, babciu, jak wiele zależy od tego, jak się na coś patrzy... No, dobrze. – Nagle się ożywiłam, bo jednak było coś, co Dorotę pogrążało, i to na pewno nie tylko w moich oczach. – A te różne miłostki mamy? Czy ty wiesz, co mi powiedziała, gdy już byłam dorosła i chciałam się czegoś więcej dowiedzieć o tacie? Wcześniej mnie zawsze zbywała, że to przeszłość, że od tylu lat nie żyje, że pochowany w Stanach, że to krótko trwało. Ale ten jeden raz zebrało jej się na szczerość, która mnie wbiła w ziemię. „Właściwie to wcale nie było takie pewne, że poznasz ojca z imienia i nazwiska. Historia była bardziej skomplikowana, niż ci o tym mówiłam. Czasem tak bywa, że...” Babciu, a ty o tym wiesz? – nagle się zreflektowałam. Nie chciałam fundować seniorce szoku.

Babcia pokiwała głową, choć nie wyglądała na szczególnie poruszoną. Pewnie po tylu latach zdążyła się otrząsnąć.

– No tak... Więc powiedziała: „No nie patrz na mnie w ten sposób. Badań genetycznych wtedy nie było. Kochałam ich obu. A Dezerter tak grał...”. I że gdyby się potem nie okazało, że jeden z tych „narzeczonych” nie może mieć dzieci po przebytej śwince, co wyszło, kiedy się ożenił z inną dziewczyną, to do dziś bym myślała, że jestem córką dwóch ojców! No czy to jest normalne?!

– Klaruniu, a pamiętasz taki film *Mamma Mia*? Podobał ci się. A tam Meryl Streep...

– No wiem, wiem! Nawet wczoraj mówiłam o nim Ance, tylko że to jest film! Zmyślona historia, a nie fakt! Podobał mi się jako żart, konwencja, nie jako życie, i to w dodatku moje!

– Najlepsze fabuły ponoć się z życia biorą... No, a tak poważnie, to myślę, że Dorotka nosiła w sobie lęk przed zakochaniem się w kimś na śmierć i życie, bojąc się, że śmierć zwycięży i zostanie sama już na zawsze. Że się tak zdarza, to przecież wiemy... Może dlatego się rzuciła w wir przygód? Jedno jest natomiast pewne –

ucieszyła się z ciąży i z ciebie bardzo się ucieszyła – powiedziała babcia ciepłym tonem.

Przetrawiałam te słowa. Lęk przed miłością na śmierć i życie.

– Ale przecież prawdziwa miłość, taka na życie, się zdarza, prawda?

– Na pewno. I może Dorotka wciąż ma na nią nadzieję? I może właśnie dlatego nie brak jej odwagi do samotności?

– Rany – jęknęłam. – Babciu, to, o czym mówisz, wywraca moje dotychczasowe myślenie do góry nogami.

To już nie karuzela, to rollercoaster, pomyślałam. I wtuliłam się w gościnne, serdeczne ramiona babci.

Rozdział dwudziesty trzeci



– Dzień dobry, dzwonię w sprawie ogłoszenia, szukam ekipy do remontu.

– Szeefowaa poszeka momenciik... – zbulgotał ktoś po drugiej stronie.

– Halo? Halo?

– Juszz... juszz... Rano trudno się skupić... hik, hik – To ostatnie zidentyfikowałam jako czkawkę i to było tyle, co udało mi się wycisnąć z tej konwersacji. Najwyraźniej poniedziałkowy ranek w naturalny sposób selekcionuje fachowców.

Wybrałam kolejny numer z listy.

– Dzień dobry, dodzwonili się państwo do firmy remontowo-budowlanej Krakex. Proszę wybrać numer wewnętrzny lub poczekać na zgłoszenie się operatora. – Głos był miły i profesjonalny, a w tle nastrojowo sączyła się muzyka poważna, czyli zmiana klimatu o sto osiemdziesiąt stopni.

Pierwsze śliwki robaczywki, pomyślałam, nie wszyscy zaczynają tydzień od wtorku.

– Dzień dobry, Anna Kowalska, firma Krakex. Czym mogę służyć?

Ta pani też była bardzo miła, co upewniło mnie, że trafiłam pod właściwy adres. Od razu poprawił mi się humor.

– Dzień dobry, Klara Majewska z tej strony. Szukam ekipy do

remontu mieszkania.

– Mieszkanie gdzie jest zlokalizowane?

– W Krakowie, w centrum, na Wiślniej.

– Dobrze, teraz proszę podać zakres prac.

– No, tak dokładnie to nie umiem powiedzieć, pomyślałam, że państwo będziecie wiedzieli, co trzeba zrobić.

– Co do szczegółów technicznych, to oczywiście, że tak. Proszę po prostu opisać stan mieszkania. – Pani wciąż była uprzedzająco miła, żadnego poirytowania czy nerwowości.

– Zły – wyznałam otwarcie. – Choć ściany pomalowałam – dodałam szybko, żeby ta sympatyczna i kulturalna osoba nie pomyślała, że dzwonię z jakiejś spelunki. – Jest piec kaflowy, a chciałabym mieć kaloryfery. – Czy ja kiedykolwiek wcześniej marzyłam o kaloryferach? – Trzeba wycyklinować parkiet. Skuć kafelki w łazience i położyć nowe. Piecyk gazowy jest dopiero co zamontowany. – Drugi punkt na liście dumy. – No, pewnie trzeba jeszcze jakieś kable powymieniać, bo korki w przedpokoju wyglądają, jakby były przedwojenne. Więc tak, z grubsza właśnie tak to wygląda.

– Rozumiem. – Pani była oazą spokoju i wyrozumiałości. – To się kwalifikuje jako remont całościowy. Zaczniemy, oczywiście, od kosztorysu i wyceny, potem ustalimy harmonogram. Zaraz zaproponuję datę... Może być 27 maja?

Dziś był 23 maja, więc termin doskonały. Los mi jednak sprzyjał.

– Tak, oczywiście. A o której godzinie?

– Wstępnie wpisuję dziesiątą rano, ale jeszcze sobie potwierdzimy, dobrze? To dużo czasu, mogą nastąpić delikatne przesunięcia.

– Nie, nie, jeśli chodzi o mnie, to już mogę potwierdzić, że w piątek rano będę czekała na kogoś od państwa. Zależy mi na tym remoncie, więc się dostosuję.

– Ach, nie. – Pani się roześmiała perliście. – 27 maja przyszłego roku. To jest nasz pierwszy wolny termin. Halo, halo, jest tam pani jeszcze?...

Tym razem to mnie odebrało głos. Po chwili doszłam do siebie i podziękowałam za ofertę. Może to i byli świetni fachowcy, ale rok czekania? Litości!

Trzeci numer.

– Dzień dobry, szukam ekipy do remontu.

– A, dobry dzień! A szto dokładnie czeba zrobić? – zapytał radośnie kobiecy głos z silnym wschodnim akcentem.

– No wyremontować czeba. Znaczy trzeba. Kaloryfery zamontować, kafelki skuć i położyć, parkiet odnowić... – Nie zrażałam się faktem, że rozmawiam z obcokrajowcem, a właściwie obcokrajowczynią. Kiedy ktoś wyjechał za chlebem, to jest chętny do każdej pracy, nawet w poniedziałek rano. Pewnie pracują razem: żona przyjmuje zlecenia, a mąż, złota rączka, zajmuje się konkretem.

– A, panimaju, panimaju. A poszondek poczebny?

I jeszcze posprzątają po sobie, cudownie, cudownie, aż podskoczyłam na krześle. Wielofunkcyjny duet, bardzo dobry pomysł rodzinno-biznesowy.

– Jasne, ale to już po.

– Pszepaszam, a po czym?

– No, po tych grubych pracach. Kuciu, wierceni i takich tam.

– A nie, nie. Ja tylko szpszontam. Bardzo dobsze szpszontam.

Oklapłam.

– No tak, na pewno, to może ja zadzwonię potem, bo na razie to chyba potrzebuję kogoś innego.

Wykreśliłam kolejną pozycję z listy i wstukałam na telefonie czwarty numer.

– Tak, halo? – przywitał mnie męski głos. Może niezbyt wylewny, ale za to trzeźwy.

– Dzień dobry, chciałabym wyremontować mieszkanie – zaczęłam bez przekonania.

– Dobrze, da się zrobić.

Ostrożnie zaczęłam nabierać nadziei, że mi się uda.

– Tak?

– No pewnie.

– Ale w tym roku?

– No, czemu nie?

Opisałam front robót.

– Bez oglądania to nie umiem dokładnie wycenić, ale tak na oko... to będzie jakieś trzydzieści tysięcy.

– Ile? – wydusiłam zdziwiona.

– No, materiały, robocizna, wywóz gruzu, utrudnione warunki, bo czwarte piętro, windy brak, dodatek za ekspres, bo termin szybki...

– Niby rozumiem to wszystko, ale żeby tyle zarobić, to ja muszę pracować z osiem miesięcy. Nie jedząc, nie pijąc, nie używając światła, wody....

– Zawód to trzeba dobrze wybrać. To co, decyduje się pani?

Podziękowałam grzecznie. Do tej kwoty brakowało mi dwunastu tysięcy, a szykując się do malowania ścian, czytałam, że szacowane koszty remontu rosną przeciętnie o trzydzieści procent, bo zawsze wychodzą jakieś nieprzewidziane wcześniej poprawki i naprawy.

Westchnęłam ciężko. Samodzielność kończy się wraz z pieniędzmi lub umiejętnościami.

Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu. Anka.

– Cześć! – dobiegł mnie ledwo słyszalny szept.

– Cześć! Dlaczego tak cicho mówisz? Ledwo cię słyszę. – Mimowolnie też ściszyłam głos.

– Kurczę, już mi to w nawyk wchodzi. Boję się obudzić Zosię. Uwierzysz, że zasypia przy włączonym odkurzaczu albo wirującej pralce, a budzi ją zwykła rozmowa?

– Wiesz, po ostatnich wydarzeniach uwierzę już chyba we wszystko...

– Dobra, zamknęłam się w kuchni, może tu nas nie będzie słyszeć. Zasnęła przed chwilą, powinnam mieć pół godziny, nim znów ją głód dopadnie.

– Rany, to ile ona je?

– Nie pytaj. Zjada mnie żywcem. No, opowiadaj. Jak nastrój?

– Chyba dobrze. – Zastanowiłam się chwilę. – Mimo wszystko

dobrze. Mogę nawet powiedzieć, że odczuwam coś na kształt spokoju, co mnie samą dziwi. Wczoraj miałam długą i bardzo serdeczną rozmowę z babcią. Jaka to cudowna osoba! – rozmarzyłam się, kierując myśli ku niedzielnemu popołudniu. Do domu wróciłam syta dobrym jedzeniem i dobrymi emocjami.

– Zawsze tak o niej myślałam.

– Ja też, ale wczoraj to zdecydowanie poczułam. Właśnie, coraz więcej spraw zaczynam czuć, jakby mi się odblokował jakiś kanał w głowie.

– Chyba w sercu.

– Nie, w głowie. To znaczy potocznie się mówi, że w sercu, ale w rzeczywistości wszystko się dzieje w głowie, bo przekaźniki...

– Dobra, dobra, ty się znasz na tych sprawach, farmaceutko. O, właśnie, bobym zapomniała, z czym do ciebie dzwonię. Jeszcze kilka tygodni w takich warunkach i do końca stracę pamięć albo zwariuję. To podobno jedna z większych tortur, żeby nie dawać więźniom spać, wszystko można potem z nimi zrobić... Poczekaj, poczekaj, o czym mówiłam ostatnio?

Westchnęłam.

– O pralce, odkurzaczu, kuchni, niespaniu, farmacji...

– Właśnie! Farmacja! Słuchaj, nie powiedziałam ci ostatnio, ale wtedy jeszcze nie mogłam, no bo nie wiedziałam. Tomek ma kolegę, Maćka. Czterdzieści lat. Z Warszawy. Lubi dzieci i zwierzęta. Normalny, miły facet. Przystojny. A do tego biolog. A do tego właściciel firmy biotechnologicznej. I trzecie „a do tego” – wolny i na dodatek absolutnie normalny! Od razu pomyślałam o tobie! No po prostu pasujecie do siebie jak nic! Ludzie się powinni dobierać na zasadzie podobieństw – zbliżone wykształcenie, pochodzenie społeczne, poglądy polityczne, religia, status materialny... A nie, właściwie to ostatnie może być na korzyść faceta i w tym przypadku zdecydowanie jest.

– To dlaczego jest sam? Musi być jakiś haczyk. – Nie potrafiłam wykrzesać z siebie entuzjazmu.

– Ty też jesteś sama – odparowała natychmiast Anka. – Bez

haczyka. Naprawdę. Jakiś związek miał, ale ona wyjechała do Stanów, tam robi karierę, a on tu ma wszystko. Nie szukaj drugiego dna. Tomek zaręcza, że to bardzo fajny facet.

– Kazesz mężowi szukać mi męża? – jęknęłam.

– Nie, to przypadkiem. Tak od słowa do słowa... Zresztą nawet jeśli, to czy to coś złego pomagać losowi? Słuchaj, możemy go zaprosić na kolację, ty też wpadniesz. Zobaczysz, że między wami zaskoczy.

– Tak, ale ja właśnie wyjechałam, przypominam ci.

– No przecież wiem, aż tak źle ze mną nie jest. Czyli to tak na serio? Definitywnie?

– Definitywna to jest śmierć, ale od wczoraj jestem tutaj. Kolejny raz. Nie będę tak wciąż kursować, to nie podmiejski, tylko pendolino.

– Więc naprawdę chcesz zostać w Krakowie? – zapytała Anka z wyraźnym niedowierzaniem w głosie.

– Nie wiem. Naprawdę to nie wiem. Ale ochłonęłam, odsunęłam złość na bok i chyba spróbuję, choć na razie mi idzie kulawo. Dziś na przykład szukałam ekipy do remontu.

– I co?

– Trzeba było zostać budowlańcem, nie farmaceutką, tak mogę ci streścić te poszukiwania. Albo pijany, albo zarobiony, albo proponuje co innego, albo mnie nie stać.

– Fiu, to jeszcze gorzej niż z szukaniem faceta... No, pamiętam, jak nam się spłuczka zepsuła w toalecie. Rany... Ledwo ubłagałam jakiegoś specja, przyjechał na drugi dzień, zainkasował dwie stówy, a ja wtedy byłam na bezpłatnym stażu... Może być ciężko.

– Wiem – odparłam mężnie – ale się nie poddam. To dopiero cztery telefony. Po obiedzie zrobię kolejną rundkę obdzwaniania.

– Klara, a właściwie to ile ty tak możesz siedzieć bez pracy? Sześć dał ci kolejny urlop?

– Ach, bo ty nic nie wiesz. Kiedy już wyszłam od was, zadzwoniła Monika z mojej apteki.

– Ta rozrywkowa?

– Ta sama. I powiedziała, że właśnie jest kontrola i wszystko wskazuje na to, że Jarek oszukał państwo na grube miliony, realizując lewe recepty, pomysłowo księgując wpłaty i coś tam jeszcze, dokładnie to nie wiem, bo nie znam się na szwindlach.

Anka aż gwizdnęła.

– Niezły numer! Ale to dla ciebie chyba źle, że zamykają aptekę? – oprzytomniała nagle.

– Wręcz przeciwnie. Wcale jej nie zamykają. Karawana jedzie dalej.

– Bez woźnicy?

– Bez. Woźnica w areszcie.

– Czyli nie pracujesz, a kasa wpływa na konto?

– Tak.

– Praca idealna – rozmarzyła się Anka. Chyba za głośno, bo nawet ja usłyszałam rozpaczliwy płacz, jakby Zosia walczyła o przetrwanie. Rozmawialiśmy dokładnie dwadzieścia osiem minut.

Popołudnie nie przyniosło rozwiązania w kwestii remontu. Wykonałam kilka kolejnych telefonów, lecz nie umówiłam żadnej ekipy. Nie miałam pojęcia, że to tak trudne i wyczerpujące zadanie. Naszym niedoszłym gniazdkiem zajmował się mój niedoszły teść, ja się tam miałam wprowadzić już po ślubie, kiedy wszystko będzie wykończone na tip-top. Może rzeczywiście do tej pory żyłam pod kloszem?

Zniechęcona i głodna poszłam na obiad do Poziomki. W barze rozpoznałam kilka znajomych twarzy usianych zmarszczkami. Miło się uśmiechnęły na mój widok. Poczułam, że zadomawiam się w tym miejscu. Rosół i kopytka były wyśmienite. Po obiedzie, który optymistyczniej nastroił mnie do świata, postanowiłam zrobić sobie spacer i wybrałam okrężną drogę do domu.

Znałam Kraków, bo wiele razy tu przyjeżdżałam, ale jednak zawsze bywałam w tym mieście na prawach gościa. Teraz patrzyłam na otaczający mnie świat oczami mieszkańca. No

dobrze – potencjalnego mieszkańca. Myśl o przeprowadzce krzepła w mojej głowie, powoli się do niej przyzwyczajałam. W gruncie rzeczy nie była przecież wcale taka niedorzeczna. Cóż z tego, że do tej pory zawsze miałam warszawski meldunek? Nie musiałam się kurczowo trzymać tej miejscówki. My, Polacy, jesteśmy tacy zasiedziali, choć pewnie ci młodzi to już nie. Ludzie na całym świecie się przeprowadzają, są mobilni. W Stanach w poszukiwaniu zajęcia zmieniają miejsce zamieszkania kilka-kilkanaście razy w ciągu życia. Ba, kilka razy w życiu to zmieniają zawód! O to akurat chyba nie musiałam się martwić. W każdym mieście są apteki, wszędzie potrzeba farmaceutów. Pewnie zarabia się tu trochę gorzej niż w stolicy, ale i koszty życia są niższe. No, może z wyjątkiem remontów... Szłam w kierunku Podgórze, by zrobić pętelkę i wrócić do domu z drugiej strony, kiedy nagle się zatrzymałam. Mimo zamyślenia kątem oka uchwyciłam coś, co kazało mi stanąć. Cofnęłam się o kilka kroków i teraz miałam przed sobą aptekę. Aptekę w pięknym narożnym budynku, do której wchodziło się zaokrąglonym wejściem, zwieńczonym fikuśną wieżyczką. Zarówno wejście, jak i środek, co było widać przez dużą witrynę, przenosiło kupujących do czasów przedwojennych. Na wystawie stały stare naczynia apteczne. A między nimi, na sporej białej kartce, starannie wypisane ogłoszenie: „Apteka Pod Wieżą poszukuje magistra farmacji”.

Rozdział dwudziesty czwarty



Piana prawie się wylewała z wanny. Wyciągnęłam się wygodniej, rozkoszując się ciepłem i błogością. Moczenie się w pachnącej kąpieli już samo w sobie było przyjemne, a poczucie satysfakcji wzmacniał fakt, że była dziewiąta rano. Wtorek, dziewiąta rano. Masy ludzi właśnie zaczynały pracę przy biurkach, wcześniej odstawszy swoje w korkach i walcząc z niedospaniem, a ja dopiero witałam dzień, i to niespiesznym spa.

Sama byłam zdziwiona moim zachowaniem. Spicie i wieczna nerwowość gdzieś się ulotniły. Postanowiłam wrzucić na luz. Niechętnie, lecz jednak przyznałam mamie rację – do tej pory byłam spętana różnymi ograniczeniami, które w większości sama sobie narzuciłam. Wiecznie w gotowości, wiecznie przygotowana na jakieś potknięcia i zawsze chętna, by się besztać. A zarazem lękliwa i niepewna. Ktoś bardziej spontaniczny mógłby parsknąć śmiechem, że długą poranną kąpiel uważam za szczyty wyluzowania, ale dla mnie to był całkiem duży i odważny krok. Nigdzie się nie spieszyłam, uspokoiłam myśli, równo oddychałam, czerpiąc spokój i radość z ciepła i ciszy...

I nagle aż podskoczyłam!

W korytarzu coś zachrobotać. Najpierw przyszło mi do głowy, że to mysz. No bo cóż innego? Ale nie – dźwięk był zdecydowanie odmiennego rodzaju. Bardziej metaliczny, natarczywy.

Ktoś próbował się dostać do mojego mieszkania.

Wyskoczyłam z wanny i owinęłam się ręcznikiem.

Struchlałam. Pierwsza myśl – komórka. Zadzwonię na policję.

Druga myśl – komórka jest w salonie. Rozładowana.

Trzecia myśl – zgaszę światło w łazience i zamknę się od środka.

Na czwartą myśl nie miałam już czasu, bo gmeranie przy zamku ewidentnie przyniosło oczekiwany efekt. Usłyszałam skrzypnięcie drzwi i obcy wszedł do mojego mieszkania.

Du-du, du-du, du-du, tak głośno waliło moje serce, a nogi miałam jak z waty. W ustach kompletnie mi zaschło. Teraz zrozumiałam ludzi, którzy opowiadali, że ze strachu nie byli w stanie się ruszyć ani dobrać z siebie głosu.

W napięciu oczekiwałam na ruch przeciwnika. Przez chwilę słyhać było tylko szuranie. Czegoś jednak nie rozumiałam; odgłosy były zróżnicowane, zupełnie jakby pochodziły nie od jednej, a od kilku osób. Po chwili ktoś coś powiedział, a ktoś inny mu odpowiedział. Tak, do mojego mieszkania weszło przynajmniej dwoje ludzi. I niespecjalnie się kryli ze swoją obecnością, bo usłyszałam, jak się śmieją. Jezu, o co tu chodzi?! Co jest grane?!

Zebrałam się na odwagę, zwłaszcza że rozmowa za ścianą, chyba już w kuchni, a nie w przedpokoju, trwała w najlepsze. Nic nie mogłam zrozumieć, bo mury na Wiślniej były grube, dobiegały do mnie tylko strzępki wyrazów.

Zapaliłam światło i delikatnie przekręciłam zamek. Leciutko uchyliłam drzwi. W wycinku mieszkania, który ukazał się moim oczom, nikogo nie dostrzegłam. Otworzyłam więc drzwi trochę szerzej i wyszłam do przedpokoju. Poczułam, że zaczynam się trząść. Zimna już woda skapywała z moich niewytartych włosów na plecy. Na nogach i rękach miałam gęsią skórę. Cicho przeszłam przez próg oddzielający przedpokój od jadalni.

– Jezus Maria! – krzyknęliśmy jednocześnie.

Ja i pan Tomek.

Staliśmy naprzeciwko siebie. Ja, mokra, z potarganymi wilgotnymi włosami, zawinięta w ręcznik, który nie pozostawiał

wiele miejsca na wyobrażanie sobie, jak wyglądam nago. Pan Tomek – jak zawsze prezentujący się z gustem, klasą i pewną nonszalancją.

Oraz para – ona i on. Na oko pięćdziesięcioletni, dobrze sytuowani. I także ubrani.

– Przepraszam – wydusiłam. – Po prostu zrobiłam sobie kąpiel i właśnie leżałam w wannie, kiedy usłyszałam jakiś hałas przy drzwiach, więc najpierw się przestraszyłam i bałam się odezwać, a potem jednak... No i stoję tu... trochę nieprzygotowana do spotkania...

– Dzień dobry, pani Klaro! – Promiennie uśmiechnął się pan Tomek. – Cóż za zabawny przypadek. Byłem święcie przekonany, że wyjechała pani do Warszawy i mogę dowolnie rozporządzać mieszkaniem, dlatego nie uprzedzałem o wizycie. Właśnie pokazuję państwu ten śliczny lokal. Tak bardzo spodobała im się oferta na naszej stronie internetowej, że jak najszybciej chcieli obejrzeć mieszkanie na żywo, zwłaszcza że zainteresowanie jest spore. No i państwo są pod wrażeniem, prawda?

Małżeństwo zgodnie kiwnęło głowami. Miałam nadzieję, że wrażenie było pozytywne i dotyczyło mieszkania, nie mnie.

– Dzień dobry! – bąknęłam, czując się bardziej niż niekomfortowo.

Potencjalni kupcy musieli być dobrze wychowanymi ludźmi, bo nic nie dając po sobie poznać, grzecznie odpowiedzieli na moje powitanie.

– Pani Klaro, to może my pójdziemy do agencji, zaproszę państwa na kawę i po kwadransie wrócimy. Tyle czasu pani starczy na dokończenie porannej toalety?

Musiałam wyglądać jak kupka nieszczęścia, bo pan Tomek dodał:

– Naprawdę nic się nie stało, proszę nie robić sobie wyrzutów. Nieporozumienie już puszczone w niepamięć.

– Cóż – wydukałam, wpatrując się w mokrą plamę na dywanie dookoła moich stóp. – To nie jest jedyne nieporozumienie. – Podniosłam głowę i spojrzałam przepaszająco na swoich gości. – Nie sprzedaję mieszkania.

Kiedy coś przeszkrobiemy i sumienie nas gniecie, to wolelibyśmy, żeby poszkodowany na nas nakrzyczał, zezłościł się, powiedział coś niemiłego, bo dzięki temu nasze poczucie winy słabnie. Kiedy zaś osoba, wobec której zachowaliśmy się nie fair, jest względem nas uprzejma, poczucie winy rośnie w siłę.

I tak było w przypadku pana Tomka. Zupełnie nie dał po sobie poznać, że jest rozczarowany moim niepoważnym zachowaniem. Uśmiechnął się wyrozumiale, ładnie przeprosił niedoszłych kupców, którzy byli na tyle oszołomieni nietypową sytuacją, że w żaden sposób jej nie skomentowali, oddał mi klucze, żebym mogła „się spokojnie kąpać”, i poszedł wraz z nimi.

Czułam się źle. Taki miły człowiek, tak się starał, a ja go tak brzydko wystawiałam. Oczywiście, że niespecjalnie, to było zwykłe niedopatrzenie. Nie sądziłam, że tak szybko znajdą się pierwsi zainteresowani. Miałam odkręcić umowę w tym tygodniu – nie zdążyłam. Postanowiłam, że pójde do agencji z przeprosinami. Żeby były bardziej przekonujące, chciałam dać panu Tomkowi jakiś prezent, nie miałam jednak żadnego pomysłu, co by to mogło być. Postanowiłam przejść się po mieście i czegoś poszukać.

Gdy byłam na parterze, spotkałam Jadzię.

– O! Dzień dobry! – przywitała mnie radośnie.

Właściwie to się ucieszyłam na jej widok, bo zdążyłam ją polubić. No, może z wyjątkiem jej dociekliwości. Pomyślałam, że zaraz mnie zapyta, co tu robię, skoro kilka dni temu się zegnałyśmy przed moim wyjazdem. Gorączkowo się zastanawiałam, jak zrelacjonować ostatnie wydarzenia. Z jednej strony chciałam być szczerą, bo Jadzia wydawała się życzliwym człowiekiem, no i trochę już się jej pozawierzałam, z drugiej jednak wciąż nie znałyśmy się zbyt dobrze, a to była dość intymna opowieść, zwłaszcza nie najlepsze rozstanie z mamą.

O dziwo, Jadzia o nic nie zapytała. Zachowywała się tak, jakbym wcale nie wyjechała. Kiedy nie ma powodów, to wszyscy mnie wypytują o sprawy osobiste, a teraz, kiedy powód podany jak na

widelcu, to Jadzia wcale nie jest dociekliwa, pomyślałam. Nie wytrzymałam więc i sama zapytałam:

– Jadziu, a ty nie jesteś ciekawa, skąd się tu wzięłam?

Szare oczy Jadzi wesoło błysnęły spod kapelusza:

– Trochę jestem. Ale pomyślałam, że wzięłaś się tu z Warszawy – roześmiała się.

– No tak. – Ja też się uśmiechnęłam. – Jeden zero dla ciebie. Ale ja co innego miałam na myśli.

– Tego też się domyślałam. Ale jeśli tak bardzo chcesz, to możesz mi o wszystkim opowiedzieć. Zapraszam cię na kawę, chyba że masz inne plany.

Miałam, lecz odwołanie momentu wizyty w agencji było mi bardzo na rękę. Może Jadzia mi doradzi, jak ładnie przeprosić pana Tomka?

Godzinę później wciąż siedziałyśmy w jej kuchni. Zdążyłam wypić dwie filiżanki kawy z mlekiem, zjeść duży kawałek pysznego sernika i zrelacjonować Jadzi wszystko, co mi się przytrafiło w ciągu kilku ostatnich dni. Słuchała w skupieniu, nie przerywając i nie dopytując o nic.

– I tak to właśnie wygląda – zakończyłam zwierzenia. Wiernie streściłam przebieg ostatnich wydarzeń, niczego nie zataiłam.

– A jak ci z tą nową sytuacją? – zapytała Jadzia.

– Chyba dobrze – odparłam. – To znaczy, wszystko jest na tyle nowe, że się gubię w emocjach. Szczerze mówiąc, to podjęłam tę decyzję o powrocie do Krakowa pod wpływem impulsu.

– Impuls wcale nie musi być taki zły. Bywa, że nasza podświadomość wyprzedza świadomość. I wcale się nie myli.

– Masz na myśli intuicję?

Jadzia pokiwała głową.

– Nie przypuszczałam nawet, że ją mam – westchnęłam.

– Każdy ma, tylko niektórzy zupełnie nie dopuszczają jej do głosu. Tymczasem jej podszepty są bardzo cenne. Warto ich słuchać.

– Nie mówię, że nie. Rzecz w tym, że ostatnio wszystko mi się

pomieszało: fakty, lęki, wyobrażenia. Kiedy przyjechałam do Krakowa po raz pierwszy, to znaczy dwa tygodnie temu, miałam zupełnie inne plany i podły nastrój. Porzucona narzeczona, smutek po prababci, odnaleziony pamiętnik, różne rodzinne tajemnice, fatum... O, właśnie! – Aż podskoczyłam na krześle. – O co chodzi z tymi Mojrami? – Zapomniałam zapytać o to Jadzię przed wyjazdem.

– Jakimi Mojrami? – Sąsiadka była szczerze zdziwiona.

– No tymi, na które patrzyłaś, kiedy się poznałyśmy. To znaczy teraz ich tam nie ma, ale były. Od zbudowania kamienicy do czasów tużpowojennych. Na frontonie, nad wejściem.

Spojrzenie Jadzi nie mogło kłamać. Naprawdę nie rozumiała, o czym mówię.

– Nic nie wiem o żadnych Mojrach. To znaczy, oczywiście, znam mit o ludzkim losie, który jest w rękach Mojr, ale to tyle.

– Ale wtedy, przy drzwiach wejściowych, powiedziałaś przecież: „One były trzy. Ty jesteś czwarta”. – Z napięciem zawiesiłam na niej wzrok.

– Rzeczywiście, coś takiego powiedziałam, ale zupełnie co innego miałam na myśli! – Jadzia żywo gestykulowała. – Kiedy mi się przedstawiłaś, to znaczy powiedziałaś, że mieszkasz pod trzynastką, domyśliłam się, że jesteś krewną pani Emilii. Widać było wasze fizyczne podobieństwo. Wiedziałam o córce w Krakowie, pani Elżbiecie, i o wnuczce w Warszawie. Za młoda jesteś na wnuczkę, więc szybko sobie przeliczyłam: pani Emilia, pani Elżbieta i wnuczka, której imienia nie znałam, to trzy Majewskie. One trzy, ty czwarte pokolenie, czyli prawnuczka. I pewnie powiedziałam to na głos, bo jak się samemu mieszka, to człowiek często tak ze sobą rozmawia.

– I tylko tyle? – Byłam zawiedziona.

– A ty naprawdę wierzysz w fatum? – Jadzia zaprezentowała dołeczki w policzkach.

– No... – zaczęłam z ociąganiem – racjonalna część mnie mówi, że nie. Ale... – Zawiesiłam głos.

– Ale co? – Jadzia siedziała naprzeciwko mnie w swojej kolorowej, ukwieconej kuchni i przyglądała mi się z zainteresowaniem.

– Czy ja wiem... Te różne znaki zaczęły mi się układać w jakąś spójną opowieść. Mojry, fatum, samotność kolejnych Majewskich. No, to była całkiem sensowna...

– Wymówka – dokończyła za mnie Jadzia.

– Chciałam powiedzieć: historia – zaprzeczyłam, choć słabo. – Ale twoja wersja jest chyba lepsza – dodałam po chwili zastanowienia. – Zaczynam rozumieć to, co mi powiedziałaś poprzednim razem – że mam słuchać siebie. Tyle tylko, że nie zawsze się dobrze słyszę.

– Słuchanie jest najtrudniejsze. I jeśli chodzi o kogoś, i jeśli chodzi o siebie. No dobrze, to jakie plany na najbliższy czas?

– Zadanie specjalne – przeprosić pana Tomka. Chciałabym mu dać coś, co wzmocniłoby moją słowną skruchę, tylko nie mam żadnego pomysłu.

– A ja chyba mam – powiedziała Jadzia. Podała mi rękę i poprowadziła w głąb kuchni.

O drugiej byłam gotowa do wizyty w agencji. W głowie miałam ułożone przeprosiny, a w torbie pięknie pachnący śmietankowo-czekoladowy keks. To był pomysł mojej sąsiadki. „Włóż w przeprosiny serce”, doradziła. I tak zrobiłam. Serce było moje, kulinarny kunszt – Jadzi, która użyczyła mi pomieszczenia i doświadczenia.

– Dzień dobry! – powiedziałam, wchodząc do agencji.

Pan Tomek siedział przy swoim biurku i na szczęście był sam.

– Panie Tomku, przyszałam, bo naprawdę jest mi głupio. Ta poranna wpadka nie świadczy o mnie najlepiej. Postawiłam pana w niezręcznej sytuacji, bo cóż mogli sobie pomyśleć klienci? Tymczasem wina leży wyłącznie po mojej stronie, choć zupełnie nie miałam złych intencji. Zwykle gapiostwo spowodowane tym, że ostatnio w moim życiu osobistym działo się dużo i nie zawsze dobrze. Dlatego przychodzę do pana ze skruchą i ciastem. Proszę

się nie gniewać – wyrecytowałam.

– Zupełnie nie miałem takiego pomysłu, żeby się na panią gniewać. – Pan Tomek zerwał się z krzesła i w dwóch tanecznych podskokach znalazł się przy mnie, odsuwając mi krzesło. – Proszę siadać. Kawy? – zapytał, błyskawicznie zamykając temat przeprosin.

Byłam już po dwóch kawach wypitych u Jadzi, a do tego buzowała we mnie adrenalina spowodowana przeprosinami, więc czułam się całkiem pobudzona. Nieśmiało zapytałam:

– A może być herbata?

– Nasz klient, nasz pan!

– No, z tym klientem to nie wyszło za dobrze...

– Nie teraz, to może kiedy indziej. Czarna, owocowa, zielona? – Pan Tomek stał przy szafce, na której urządzono kącik bufetowy.

– A owocowa to?...

– Gruszka albo malina.

– Gruszka. Nigdy nie piłam.

– Esencja łagodności. Biała herbata z gruszką plus nuta karmelu. Poezja. – Pan Tomek postawił przede mną parującą filiżankę. Sobie przyniósł kawę. – Ciasta ukroić?

Pokiwałam głową. To były najdziwniejsze przeprosiny w moim życiu. Od skruchy do bratania się minęło około pięciu minut.

– No dobrze. Czyli plan jest taki, że jednak zostaje pani w Krakowie? Jeśli oczywiście mogę spytać. – Pan Tomek miał w sobie coś zjednującego, co sprawiało, że odpowiadałabym na każde jego pytanie.

– Oczywiście, że pan może. – Uśmiechnęłam się. – Tak, zostaję.

– No i bardzo dobrze. Co do mieszkania, to pewnie lepiej, że się go pani nie pozbyła. Zainteresowanie naprawdę było duże. Jeśli potraktować ogłoszenie jak test, to może być naprawdę niezła inwestycja na przyszłość. – Pan Tomek elegancko podniósł filiżankę do ust i wziął bezgłośny łyk.

– O, to miłe. Szkoda tylko, że na razie trochę się sypie, a na horyzoncie żadnych sensownych fachowców...

– A rozglądała się pani?

– Tak. I właśnie to tak mocno mnie pochłonęło, że zapomniałam wypowiedzieć umowę. No a efekt jest zerowy. Fachowców jak na lekarstwo. Albo nie wytrzeźwieli, albo mają terminy za rok, albo takie ceny, że kapcie z nóg spadają.

– Właściwie... – pan Tomek lekko się nachylił nad blatem biurka w moją stronę – to może mógłbym pomóc.

– Agencja świadczy też usługi remontowe? – zdziwiłam się.

– No skąd! – Pan Tomek zamachał przecząco wypielegnowanymi dłońmi. – Ale... Parę lat temu zrobiliśmy z Bartkiem taki eksperyment – kupiliśmy mieszkanie, piękna kamienica, świetna lokalizacja, ale w środku – ruina. Mogliśmy tylko pośredniczyć w transakcji, jak zwykle, ale sprzedający się spieszył, ja lubię wyzwania, więc czemu nie? Chwilę wcześniej na Facebooku odnalazłem kolegę z podstawówki, który zajmował się remontami. I tak od słowa do słowa... Mieszkanie wyszykował na błysk, wyszło miodzio. Sprzedaliśmy je bardzo korzystnie, podzieliliśmy się zyskiem. Od tego czasu minęło siedem lat. Krzysiek ma już swoją ekipę i pięknie chłopcy działają.

– I mogliby się zająć moja ruinką? To byłoby wprost fantastycznie! – Aż się podniosłam na krześle z radości.

– Mogliby. Tylko że od lipca, bo teraz są zajęci.

No tak. W każdej radoszej informacji musi być jakieś „ale”.

– Ale tak się fortunnie składa, że do ekipy Krzyśka ma dołączyć jeszcze jeden chłopak, który mógłby zacząć już teraz jakieś drobniejsze prace.

To drugie „ale” było zdecydowanie bardziej optymistycznie.

– A ten nowy chłopak to jakiś sensowny? Bo jak nowy, to może nie wiadomo, a...

– O, tu akurat mogę wystawić gwarancję. Złota rączka, pracowity, uczciwy. Zresztą to prywatnie moja rodzina. Nie jakaś bliska, cioteczny kuzyn, lecz na pewno będzie dobrze.

– No to świetnie, biorę w ciemno. A ten pan to kiedy by mógł przyjść?

– Pewnie bardzo niedługo. Teraz go nie ma w Krakowie, ale ma się lada dzień zjawić, gdy tylko uporządkuje u siebie.

– Też remontuje mieszkanie? – zaciekałam się.

Pan Tomek się uśmiechnął.

– Życie raczej remontuje, tak bym to ujął. To co, dać znać, kiedy będzie gotów?

– No pewnie, bardzo, bardzo dziękuję, panie Tomku.

Wracając do swojego mieszkania, myślałam, że moje życie zaczyna przypominać puzzle, w których z chaosu wyłania się solidny zarys obrazka.

Rozdział dwudziesty piąty



– No co nie odbierasz? Dzwonię i dzwonię, a u ciebie grobowa cisza. Zupełnie jakbyś się z życia wypisała. Tymczasem tu się tyle dzieje! Była dziś w aptece pani Beatka, wiesz, żona Jarka. Przyszła, żeby pograć męża. Wcześniej, to znaczy w domu, chciała mu pomóc. Dał jej cynk z apteki, że jest kontrola, i miała znaleźć i zniszczyć obciążające go dokumenty. No i się okazało, że oprócz tych papierów znalazła jakieś listy czy kartki od innej kobiety. Miśku, kotku, serduszka i takie tam, słowem – Jaruś miał pannę na boku. Pani Beatka była w takim szoku, że nie wiedziała, co robić. Ale jak szok jej minął, to poszła, gdzie trzeba, i sama zaniósła te obciążające dokumenty, a mężowi wysłała SMS, żeby mu kochanica przynosiła do więzienia paczki z jedzeniem.

– No cześć, Moni – powiedziałam, wykorzystując moment, gdy Monika musiała zaczerpnąć powietrza. – To rzeczywiście ciekawe, ale skąd ty o tym wszystkim wiesz?

– Ma się dojścia. – W jej głosie słychać było dumę.

– W prokuraturze? – zdziwiłam się.

– E, tam to sami nudziarze. W służbach.

– Ale jak?... – I nagle mnie olśniło. – To ten...

– No, ten sam. Przystojniacha, mówię ci. I do tego jak zbudowany. I jeszcze mi pokazał...

Zesztywniałam na myśl o tym, że będę musiała słuchać, co agent

pokazał mojej koleżance z pracy. Szybko więc weszłam jej w słowo:

– No, to zazdrość.

Po drugiej stronie rozległ się pomruk zadowolenia i dumy.

– Słuchaj, a oprócz tego coś wiadomo? To znaczy: ile to potrwa, ten stan zawieszenia?

– A, no właśnie, bo po to dzwonię. Właściwie głównie po to.

Westchnęłam w duchu. Monika była na swój sposób urocza, ale bardzo rozkojarzona i bardzo rozrywkowa, jak słusznie ją podsumowała Anka. Jakim cudem jeszcze nigdy się nie pomyliła przy wydawaniu leków, pozostawało dla mnie tajemnicą.

– Więc sprawy wyglądają tak: apteka będzie wyłączona z użytku przez dwa tygodnie. Po tym czasie Jarek może zacząć działać, ale nie w sensie sprzedaży, tylko ruchów kadrowych.

– Czyli wtedy nas zwolni?

– Czyli tak. Ale to już będzie czerwiec, a liczą się pełne miesiące, więc do końca października mamy luz. Nic, tylko brać z życia garściami – Monika znowu się rozmarzyła, a ja wolałam się nie zastanawiać, czego te garście będą pełne.

Kiedy tylko się rozłączyła, telefon znowu zawibrował. Spojrzałam na wyświetlacz: babcia. Szybko przejechałam palcem po zielonej słuchawce.

– Cześć, babciu! – rzuciłam radośnie.

– Dzień dobry, Klaruniu. Nie obudziłam cię?

Co prawda wciąż jeszcze byłam w łóżku, ale telefon od Moniki skutecznie mnie wyrwał z zaspania.

– Nie – zaprzeczyłam energicznie. – Jestem jeszcze przed śniadaniem, ale szybko się uwinę i jestem do twojej dyspozycji.

Cisza po drugiej stronie trwała odrobinę za długo; akurat tyle, by się zorientować, że babcia nie zadzwoniła po to, żeby się ze mną umówić.

– Klaruniu, wiesz, że ja zawsze na ciebie czekam, ale dziś wyjątkowo nie mogę się spotkać. Mam coś do załatwienia.

– A coś się stało, babciu? Jakaś wizyta u lekarza? Rehabilitacja może? Bo jakby co, to mogę ci towarzyszyć, gdzieś z tobą podjechać.

Żaden problem.

– Nie, kochanie, dziękuję, to coś innego. Dam sobie radę. – Babcia miło, ale stanowczo dała do zrozumienia, że dziś się nie zobaczymy.

– Aha. No dobrze. – Jakoś mnie zabolęła ta odmowa. A jeszcze bardziej to, że babcia nie chciała powiedzieć, dokąd się wybiera. Po wpadce z Dorotą starałam się nie myśleć o najgorszym, czyli o jakiejś poważnej chorobie, no ale babcia była o pokolenie starsza od mamy, więc prawdopodobieństwo poważnego schorzenia też było większe. Dobrze, że będę w Krakowie, blisko niej, przecież nie robi się coraz młodsza, pomyślałam. Z tych rozważań wyrwał mnie jej głos:

– Dzwonię z czym innym. Rozmawiałam wczoraj wieczorem z Dorotką. O wszystkim mi powiedziała.

– Pewnie się na mnie skarżyła – bardziej stwierdziłam, niż zapytałam.

– Nie, zupełnie nie. Była bardzo miła i trochę jakby smutna. – W głosie babci też zaczęła pobrzmiwać nuta smutku.

– Z powodu Marka?

– Nie, Klaruniu, z twojego powodu. Dorotce jest przykro, że się tak gwałtownie rozstałyście. Bardzo ją to gryzie.

Wątpię, pomyślałam. Nawet pamiętnik nie poruszył jej na tyle, żeby się zdobyła na telefon. Nie chciałam jednak robić babci przykrości, więc zachowałam tę myśl dla siebie. Trochę wbrew sobie powiedziałam jednak:

– Dobrze, babciu, zadzwonię do mamy.

– Bardzo się cieszę, kochanie. Tak samo uspokajałam Dorotkę, zwłaszcza że jutro Dzień Matki.

Na śmierć zapomniałam! Gdyby nie babcia, pewnie bym przegapiła to święto. Od dwóch tygodni żyłam trochę poza czasem.

– Właśnie. To się dobrze składa. Zawsze łatwiej zacząć rozmowę od życzeń.

– Czyli mogę być o was spokojna? – zapytała babcia.

– Pewnie babciu, przynajmniej ty nie bądź zatrapkiem – zaśmiałam się do słuchawki. – A ja mogę być spokojna o ciebie?

- Oczywiście, czemu w ogóle pytasz?
 - No bo jakaś jesteś tajemnicza.
 - Ach, ty to masz na myśli... Tak, Klaruniu, wszystko jest w porządku.
 - No to całuję, babciu, zadzwonię jutro.
 - Pa, kochanie.
- Nie zdążyłam nawet spuścić nóg z łóżka, gdy telefon rozświetlił się po raz trzeci. Anka.
- Rany, Kla, z kim ty tak gadasz! Od dwudziestu minut próbuję się do ciebie dodzwonić, a tu ciągle zajęte! A mnie się czas kurczy, bo Zosia w każdej chwili może się obudzić!
 - No przepraszam cię, przecież nie wiedziałam, że się do mnie dobijasz, a dziś rano wszyscy nagle zapragnęli ze mną pogadać! Babcia, Monika. Przy okazji – mam wolne przez cztery miesiące. Firma stawia.
 - Super. A Dorota też dzwoniła?
 - Nie, mama akurat nie. Ja zadzwonię do niej jutro, Dzień Matki, pamiętasz?
 - No pewnie, moje pierwsze święto. – W głosie Anki pobrzmiwała duma.
- Drobna, malutka igielka zazdrości leciutko mnie drasnęła. Mimo wszystkich trudów macierzyństwa Anka miała kogoś, dla kogo była całym kosmosem. I kogo ona kochała bezgranicznie, całą sobą.
- I twojej mamy – dodałam.
 - To też wiem – potwierdziła, już zdecydowanie mniej radośnie.
- Lubiłam mamę Anki, bo miała to wszystko, czego brakowało Dorocie – była pełną ciepłą gospodynią domową, która troszczyła się o każdego domownika. Ze wszystkim musiała być na bieżąco, zawsze miała dobrą radę i czas, by porozmawiać, czyli stanowiła przeciwieństwo mojej mamy. Pewnie dlatego ja uważałam, że jest fajna, a Anka wzdychała, że Dorota jest jej idolką. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma – to była taka sytuacja.
- Dobra, ale ja nie po to dzwonię, a nie wiem, ile mamy czasu, więc będę się streszczać. – Anka zwinnie zmieniła temat. –

Pamiętasz Maćka?

– Nie. Ja chyba nie znam żadnego Maćka.

– No nie znasz, bo dopiero możesz poznać. Chyba jednak nie słuchałaś, kiedy się tak produkowałam w poniedziałek. Maciek, kolega Tomka.

– A, tego Maćka. No tego to pamiętam, po prostu imię mi wyleciało z głowy.

– Cóż, oryginalne nie jest. Dzwonię z propozycją kolacji.

– Ale ja jestem w Krakowie. Ty chyba też nie słuchałaś bardzo uważnie. On w Warszawie, ja w Krakowie. Kolacja musiałaby być na odległość.

– Wypraszam sobie, ja zawsze cię słucham!

Fakt. Anka była urzędniczką państwową, robiła jakieś ważne rzeczy w ważnym sekretariacie ważnego ministerstwa i była zorganizowana nawet bardziej niż ja, a to znaczyło, że trzyma naprawdę wysoki poziom życiowej logistyki. Urodziny, imieniny, kto się z kim zaręczył, a kto kogo zostawił, nazwisko po mężu koleżanki z podstawówki – Anka to wszystko wiedziała, zupełnie jakby miała w głowie odpowiednie szufladki.

– Więc oczywiście, że wiem, gdzie jesteś. Po prostu sytuacja przyspieszyła. Maciek i Tomek będą w Krakowie, zawodowo. Maciek ma spotkanie z niemiecką firmą badawczą, podpisują umowę na współpracę. Tomek występuje tam jako jego prawnik. Z drugiej strony jest przedstawicielka tej firmy ze swoją prawniczką.

– Ale dlaczego spotykają się akurat w Krakowie? – zdziwiłam się.

– Niejako przy okazji, bo akurat w Krakowie odbywa się międzynarodowa konferencja poświęcona bardzo skomplikowanym technologiom, którymi oni się zajmują. Połączą jedno z drugim. Podpiszą papiery, ta prawniczka wraca do Niemiec, a tu zostaje Karen, Maciek i Tomek.

– No dobrze – powiedziałałam, powoli się orientując w tej układance – ale ja to tam po co? Brakuje im czwartego do brydza podczas tej kolacji?

– Nie kpij. – Anka udąła, że się obraża. – Sprawa jest bardzo rozwojowa. Bo pierwszy powód jest oczywisty, to znaczy oczywisty dla nas – okazja, żebyś poznała fajnego faceta. Drugi, ten oficjalny, jest taki, że ponieważ firma się rozwija, to poszukują pracownika!

– Że niby ja mam być tym pracownikiem? – Nie nadążałam za pomysłami Anki.

– No a kto?

– Ale ja nie jestem biologiem.

– I doskonale się składa, bo oni farmaceuty szukają. Albo farmaceutki.

– Na pewno?

– Na pewno, Tomek dopytał. Razem z tą niemiecką firmą mają pracować nad jakąś substancją czynną wykorzystywaną w lekach albo coś w tym stylu. A oprócz tego ci Niemcy zajmują się właśnie farmaceutykami. I co ty na to?

– Pojęcia nie mam, bo to bardzo mgliste, to wszystko razem.

– No więc trzeba rozwiać tę mgłę!

Myślałam intensywnie. Propozycja Anki była zupełnie niespodziewana, i to podwójnie. Ale w sumie, co mi szkodziło, żeby sprawdzić? Przecież i na miejscu faceta, i na miejscu zakładu pracy miałam wakat.

– No dobrze, ostrożnie mówię: tak. A kiedy by to miało być?

– W pierwszej połowie czerwca. Dokładniej to ci jeszcze powiem. Fantastycznie, zobaczysz, że coś z tego będzie!

– Powinnaś porzucić karierę urzędniczą i zostać swatką – roześmiałam się.

– O, kochana, tu się nie ma z czego śmiać. Pomysł, żeby dobierać ludzi według ich cech społecznych ma długą tradycję. To umowa? Bo usłyszałam, że potwór Zosia się obudził.

– Umowa.

Odłożyłam telefon na półkę przy łóżku, z niepokojem patrząc, czy nie zadrży po raz czwarty. Nie, ekran się wygasił, nastąpiła cisza. Odetchnęłam z ulgą. Jak na jeden poranek wystarczało mi już

relacji i rewelacji.

Po śniadaniu zabrałam się do przeglądania zawartości szaf. Bez takiego smutku i tęsknoty co za pierwszym razem. Prababcia Emilia stała mi się bliższa. Najbardziej dzięki pamiętnikowi, ale także z powodu rozmów z babcią. Nić, która łączyła Majewskie, zrobiła się teraz mocniejsza. Szkoda tylko, że wciąż się pruła w trzecim pokoleniu, czyli przy mamie. Westchnęłam, chowając ostatnią spódnicę prababci. Nie było tego dużo; cała garderoba zmieściła się w trzech pudłach. Wszystkie ubrania były starannie poprasowane i poukładane. Nie mogłabym ich zanieść na śmietnik, nawet wrzucenie ich do pojemników na używaną odzież za bardzo by mnie bolało. Rozmawiałyśmy o tym wczoraj z Jadzią, która zaproponowała, żeby oddać ubrania Emilii do teatru – tego, w którym kiedyś suflerowała. Ten pomysł był idealny – rozwiązywał problem miejsca w szafach, a jednocześnie zachowywał pamięć o prababci. Myśl, że widzowie zobaczą na scenie aktorkę w sukience Emilii, była bardzo przyjemna i jakoś kojąca.

Jedną rzecz zostawiłam sobie na pamiątkę – bluzkę z długim rękawem, półokrągłym kołnierzykiem i małutkimi perłowymi guzikami przewlekanymi przez starannie splecione pętelki. Była kremowa w delikatny jasnoróżowy kwiatowy wzór. Kolorystycznie przypominała pamiętnik; może nawet pochodziła z tego samego czasu?... Może to w niej prababcia spisywała swoje życie? Włożyłam ją do foliowej torby i położyłam na górnej półce. Chciałam, żeby wciąż leżała w szafie.

Rozpakowałam swoje walizki i przełożyłam ciuchy na zwolnione półki. Choć zabrałam z Warszawy tylko letnie rzeczy, i to nie wszystkie, szafa błyskawicznie się zapełniła. Będę musiała pomyśleć o dodatkowym wyposażeniu lub o odchudzeniu swojej garderoby.

Rozejrzałam się po pokoju. Meble wydawały się mniejsze od tych współczesnych z mojego, to znaczy z Doroty, poprawiałam się sama, mieszkania. To wrażenie wzmacniała jeszcze duża wysokość ścian.

Postanowiłam już, że niczego stąd nie wyrzucę, najwyżej coś dokupię. O, na przykład szafę przesunę na drugą stronę drzwi, a tu wstawię pakowną garderobę z Ikei. Może wyjść z tego całkiem oryginalna stylizacja wnętrza. No tak, ale zanim zacznę wydawać pieniądze, muszę wiedzieć, ile będzie kosztował remont. Okazało się, że moje oszczędności wcale nie są tak imponujące, jak sądziłam. Zakupy będą musiały poczekać, najpierw sprawy najważniejsze. Ciekawe, czy ten robotnik, który ma się niebawem u mnie zjawić, jest na tyle ogarnięty, żeby wszystko dobrze sprawdzić i wycenić? Pan Tomek niby się zarzekał, że można mu zaufać, ale to jego krewny, a wiadomo, że rodzina to stado, które sobie pomaga, nawet jeśli jakaś owca jest dość daleko spokrewniona i czarna. Tak bowiem zrozumiałam to „remontowanie swojego życia”. Ciekawe, co nawywijał? Ostatecznie jednak to nie była moja sprawa. Byle tylko nie pił, nie oszukiwał i znał się na robocie.

Z planów oszczędzania wykreśliłam obiady w Poziomce. Wobec braku lodówki przechowywanie produktów i ewentualnych resztek po posiłkach było mocno utrudnione. Z czystym sumieniem wydałam więc niecałe dziesięć złotych na krokiety i barszcz.

Po dwóch tygodniach w Krakowie miałam tu już swoje trasy spacerowe. Powoli zaczynałam życie mieszkanki, a nie gościa. Dziś wracałam znowu przez Podgórze. Może bezwiednie, a może podświadomie, wybrałam trasę obok apteki Pod Wieżą. Ogłoszenie wciąż stało w witrynie. Weszłam do środka, żeby obejrzeć wnętrze. Było naprawdę imponujące. Piękne stare drewniane meble w kolorze głębokiego brązu, zielone kamienne blaty i mosiężne gałki w szafkach i szufladach. Zupełnie jakbym się przeniosła w dziewiętnasty wiek. No i ten zapach – trudna do określenia mieszanka ziół, wosku do mebli i medycznych mikstur. Niesamowite. Podobny zachwyt przeżyłam wiele lat temu, kiedy byłam wraz z klasą na wycieczce w Muzeum Farmacji. Koledzy i koleżanki nie byli specjalnie zainteresowani oprowadzaniem

przez panią od biologii, ale ja słuchałam i patrzyłam jak zauroczona. Wtedy właśnie po raz pierwszy pomyślałam, że chciałabym kiedyś pracować w aptece. To wspomnienie, ten zachwyt wróciły do mnie teraz. Stałam na podłodze ze starych kafli, podziwiałam rzeźbione zwieńczenia mebli i kolekcje zabytkowych naczyń aptecznych na półkach.

– Mogę w czymś pomóc? – Z zamyślenia wyrwał mnie delikatny kobiecy głos.

Po drugiej stronie kontuaru zobaczyłam starszą panią w białym fartuchu. Podeszłam bliżej. Na kieszonce miała wyhaftowane: Maria Mirska, magister farmacji. Zawahałam się. Mogłam podziękować i wyjść. Mogłam kupić jakiś drobiazg, zawsze przydatny w domu, na przykład plaster lub wodę utlenioną. A mogłam też zapytać o ogłoszenie, bo przecież ono mnie tu ściągnęło.

– Dzień dobry. Czy oferta pracy jest wciąż aktualna? – Wskazałam ręką za siebie, w kierunku witryny.

– Owszem, jak najbardziej. Jest pani zainteresowana?

Kiwnęłam głową. Porozmawiać nie zaszkodzi. Ponoć najlepiej, bo na luzie, bez stresu, wypada się na rozmowach kwalifikacyjnych wtedy, gdy nie ma się noża na gardle. Ja nie miałam. Wciąż jeszcze byłam na etacie w warszawskiej aptece, a na horyzoncie majaczyła oferta, o której mówiła Anka.

– To zapraszam panią na zaplecze. Poproszę koleżankę, żeby mnie zastąpiła.

Po chwili przy ladzie zjawiała się inna farmaceutka, na oko sympatycznie wyglądająca pięćdziesięciolatka przy kości. Posłała mi miły uśmiech i otworzyła wąskie przejście między szafą a blatem.

Na zapleczu było równie stylowo, a może nawet bardziej. Na stole pod oknem wychodzącym na podwórze zobaczyłam starą wagę aptekarską, obok niej marmurowy pojemnik z moździerzem. Na ścianach wisiały ryciny z roślinami i pożółkłe ze starości dokumenty oprawione w ramki, poświadczające uprawnienia

aptekarzy do wykonywania zawodu. Z boku zawieszona była tablica z odpryśniętą emalią i napisem: „Apteka pod Wieżą. Drogeria”.

– Apteka od lat jest w naszej rodzinie. W każdym pokoleniu mieliśmy farmaceutę, ale teraz się na to nie zanoszą. Wnuczka studiuje na Akademii Sztuk Pięknych. Poszła za marzeniami, nie za tradycją. – Farmaceutka się do mnie uśmiechnęła. – Maria Mirska, współwłaścicielka, miło mi.

– Klara Majewska. – Uścisnęłam wyciągniętą w moją stronę dłoń.

– A zatem jest pani zainteresowana pracą w naszej aptece...

– Tak, szukam pracy. – To właściwie było zgodne z prawdą.

– A do tej pory gdzie pani pracowała?

– Wciąż jeszcze pracuję, to znaczy formalnie. Dopiero zaczynam okres wypowiedzenia. Apteka Doktor X.

Pani Mirska zmarszczyła czoło.

– To chyba nie w centrum, prawda? Bo nie przypominam sobie takiej nazwy.

– To nawet nie w Krakowie. – Uśmiechnęłam się. – Apteka jest w Warszawie, pracowałam tam, dopóki się tu nie przeprowadziłam.

Postanowiłam się nie zagłębiać w obecny stan prawny mojego miejsca pracy. W końcu to żaden powód do chwały, a ktoś jeszcze mógłby pomyśleć, że nie tylko właściciel nieuczciwy, lecz także jego pracownicy.

– Ach, to wszystko wyjaśnia. A w Krakowie od dawna pani jest?

– Zależy, jak liczyć... Tak naprawdę to od poniedziałku, choć z miastem jestem związana od urodzenia. Teraz przeprowadziłam się do odziedziczonego po prababci mieszkania. Całkiem niedaleko, na Wiślniej.

Pani Mirska po raz drugi się zamyśliła.

– Majewska, dobrze zapamiętałam pani nazwisko?

– Tak. Klara Majewska.

– Kojarzę inną panią Majewską z Wiślniej. Farmaceuci mają pamięć do nazwisk. To może być rodzina?

– Jeśli mówi pani o Emilii, to tak. To właśnie moja prababcia.

Ciekawe, bo dożyła sędziwego wieku i właściwie nie chorowała... – Spojrzałam pytająco na magister Mirską.

– Zapewne nie, bo, jak pamiętam, była w dobrej kondycji. Za to od lat zamawiała w naszej aptece krem. Tłusty, odżywczy, do twarzy i dłoni. Prosta formuła, kilka składników i doskonały efekt.

– Zalecenie dermatologa? – zdziwiłam się.

– Kiedyś pewnie tak, a potem to już lekarz rodzinny wypisywał. Powód nie był leczniczy, ale raczej kosmetyczny. Kiedyś ja przyjmowałam receptę i pani Majewska powiedziała, że te nowoczesne kremy są jak woda – nim wsiąkną, to wyparują, a ona potrzebuje czegoś konkretnego. No i przez lata robiliśmy dla niej tę maść. – Uśmiechnęła się. – A doświadczenie w lekach recepturowych pani ma?

– Cóż. Robiłam leki na studiach, a potem to już sporadycznie. Ostatni raz to chyba czopki glicerynowe... Teraz ludzie chcą gotowych preparatów, szybko dostępnych. Lekarze też odchodzą od leków na zamówienie.

– A, to zależy. Nasza apteka realizuje sporo takich recept.

– Polubiłabym pracę na zapleczu – powiedziałam całkiem szczerze. Wyobraziłam sobie siebie siedzącą przy blacie i odważającą składniki, potem ucierającą je w moździerzu, mieszającą i przelewającą mikstury do flakonów. Suszone zioła, aromatyczne olejki, staroświeckie banderole...

– O, to jest pani w mniejszości, dziecko. Odwiedzam czasem konkurencyjne apteki – białe od jarzeniówek i chromu, niezwykle nowoczesne w wystroju, z częścią drogeryjną na sali. Farmaceuci są tam po prostu kasjerami z odpowiednimi uprawnieniami. Wszystko szybko, płynnie, bezosobowo. Ja jestem ze starej szkoły, gdy farmaceuta doradzał, rozmawiał, był po trosze lekarzem.

Ta wizja mnie urzekła, choć była w całkowitej sprzeczności z potencjalną pracą w biotechnologicznej firmie badawczej tajemniczego Maćka.

Umówiłam się z panią Mirską, że zadzwonię w pierwszej połowie czerwca i ustalimy termin dłuższego i konkretniejszego spotkania.

Zasypiałam podekscytowana. Dwie zupełnie różne możliwości, dwa zupełnie różne kierunki. Gdybym w obu przypadkach dostała wiążące propozycje pracy, to którą wybrać? Teraz zupełnie nie potrafiłabym zdecydować. Orzeł czy reszka, uśmiechnęłam się do swoich myśli, nim zapadłam w głęboki sen.

Kolejne dni pokazały, że cały czas powinnam mieć w kieszeni monetę – tyle ważnych decyzji czekało na mój werdykt...

Rozdział dwudziesty szósty



W przypadku trudnych sytuacji istnieją dwie szkoły. Jedna mówi: co masz zrobić teraz, odłóż na potem, zyskasz trochę czasu i spokoju. Druga zaś radzi: niczego nie odkładaj, bo po cóż ci czas, który i tak spędzisz na denerwowaniu się.

Zdarzało się, że ulegałam panice i wybierałam wariant pierwszy, ale to wariant drugi w pełni oddawał mój charakter.

Tak było i z telefonem do mamy. 26 maja, jej święto. Bez względu na to, w jaki sposób skończyło się nasze ostatnie spotkanie, była moją matką, a ja – jej córką. I niezależnie od wszystkiego kochałam ją, a ona na pewno kochała mnie. Tyle tylko, że ta miłość była teraz przesłonięta przez żal, urazę i trochę wstydu.

Chodziłam wokół stołu jak lew po klatce. Zacierałam spocone ręce; już trzymałam w nich telefon, już wybierałam Mama/Dorota i w ostatnim momencie się rozmyślałam. Układałam w głowie różne powitania, próbując zgadnąć, w jakim nastroju zastanę Dorotę – ugodowym czy raczej bojowym? Babcia mówiła, że jest smutna, ale wobec mnie może się przecież zachować inaczej.

Nagle wyobraziłam sobie, że to mama dzwoni do mnie pierwsza i wtedy już na starcie jestem dwa oczka do tyłu – raz, bo jednak ja bardziej nawaliłam z tą awanturą, a przeprosiny to taka grzeczność ponieważ, dwa, bo uprzedzi mnie w dniu swojego święta.

To przeważało. Sięgnęłam po telefon, odblokowałam ekran

i wybrałam jej numer. Odebrała szybko, zupełnie jakby czekała, aż zadzwonię. Wzięłam to za dobrą monetę.

– Cześć, mamó – zaczęłam rażno, choć był to animusz podszyty nerwami – i od razu – wszystkiego najlepszego!

– Cześć, małpeczko. Dziękuję ci bardzo.

Małpeczko, czyli wszystko w porządku. Małpeczka była zarezerwowana na dobry czas bliskości – tej fizycznej, gdy wpijałam się w mamę, kiedy byłam mała, i tej psychicznej, kiedy już wyrosłam, ale czułyśmy się mocno związane ze sobą.

– Mamó...

– Klara... – odezwałyśmy się równocześnie.

– Mamó...

Po króciutkiej chwili ciszy spowodowanej zderzeniem tych dwóch słów, znowu ja wysunęłam się na prowadzenie. Już nie tylko dlatego, że chciałam mieć tę rozmowę za sobą. I nie dlatego, że w Dzień Matki Dorocie należało się więcej. Po prostu nagle poczułam, jak puszcza tama emocji. Przez ostatnie dni odgrodziłam się od dobrych, czułych myśli, a wokół siebie zgromadziłam wyłącznie te burzowe. Kogo bardziej karałam w ten sposób – mamę czy siebie?

– Mamó, Dorota, posłuchaj, strasznie głupio to wyszło. Ja się po prostu nie spodziewałam, że ty... że wy się rozstaniecie. Byłam bardzo zdziwiona, no bo w końcu tyle lat razem... Ale oczywiście szanuję twój wybór, nawet jeśli nie do końca go rozumiem. No bo nie do końca, przyznaję... Ale dzisiaj już widzę to inaczej, przez tych kilka dni poukładałam sobie w głowie różne sprawy. Zresztą nie tylko w głowie, bo... – Chciałam opowiedzieć Dorocie o planach remontowych i szykującej się perspektywie nowej pracy, a nawet o dwóch perspektywach, ale mama weszła mi w słowo:

– Klarka, ja też cię przepraszam. Zafundowałam ci szok, a przecież wiem, jak cenisz sobie stałe, niezmiennie życie. Powinnam była to przewidzieć i jakoś cię przygotować, zwłaszcza że...

– Mamó... – chciałam wtrącić, że zmiana, o której zamierzam jej

opowiedzieć, dotyczy także mojego podejścia do życia. Że próbuję – i nawet mam pierwsze sukcesy na tym polu – zerwać z kurczowym trzymaniem się planów. Że właśnie się otwieram na świat i...

– Już, małpeczko, już, tylko skończę, bo mi myśl umknie. No więc chciałam powiedzieć, że rzeczywiście ta informacja mogła cię wyprowadzić z równowagi, bo dwa miesiące temu przeżyłaś rozstanie z Pawłem i pewnie jeszcze nie doszłaś do siebie. Swoją drogą to jednak był dupek, *asshole*.

– Mamo... – No właśnie prawie doszłam, ale nie udało mi się tego powiedzieć, bo Dorota niezłomnie pruła po obranym kursie.

– Już kończę. Więc też cię przepraszam i jednocześnie zapewniam cię, że to przemyślana decyzja, która, choć trochę boli, jest dla mnie dobra, o czym jestem święcie przekonana. To tyle w temacie facetów. Druga sprawa to mieszkanie...

– Ma... – Byłam bez szans. Westchnęłam i postanowiłam spokojnie wysłuchać Doroty do końca, choć bardzo chciałam się jej pochwalić, jakie zrobiłam postępy w odważnym kroczeniu naprzód.

– ...mieszkanie. Sprawy formalne sprawami formalnymi, ale nie one są najważniejsze. W życiu istnieje coś takiego jak zasady współżycia społecznego. Przykładając to do nas: wiele lat temu wyjechałam z Warszawy, zostawiając ci to mieszkanie. Prawnie ono było i wciąż jest moje, ale ty o nie dbałaś, ty opłacałaś czynsz, ty jesteś tu zameldowana. Ja zaś stworzyłam w swoim życiu taką sytuację, która pozwalała ci myśleć, że ten stan potrwa, jeśli nie zawsze, to na pewno długie lata. A teraz ja zakłóciłam ten nasz układ – nagle i brutalnie. Przemyślałam sobie wszystko i doszłam do wniosku, że to nie fair wobec ciebie. Dlatego proszę: wracaj do Warszawy, do domu.

Zděbiałam. Stałam z telefonem w ręku, patrzyłam na zielen lip za oknem, a w głowie miałam pustkę. Takiego przebiegu rozmowy zupełnie się nie spodziewałam.

– Ale jak to, mamo? – zapytałam zdezorientowana. – A ty? No bo to nie jest dobry pomysł, żebyśmy mieszkały razem, z różnych...

– Oczywiście. – Dorota sprawniej potrafiła się wślizgnąć w moje

wypowiedzi. – Absolutnie się zgadzam. Ja się wyprowadzę.

– Dokąd?

W tym momencie usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. Rany, kogo licha przyniosło w takim momencie?, pomyślałam.

– Mamo, chwila, ktoś puka, nie rozłączaj się – powiedziałam oszołomiona i poszłam do przedpokoju. Przez wizjer zobaczyłam Jadzię. Przekręciłam zamek i otworzyłam drzwi.

– Cześć, coś się stało? – zapytałam. – Bo rozmawiam... Z mamą. – Wskazałam palcem na telefon, który wciąż trzymałam w drugiej ręce.

– A nie, nic, nic. – Zamachała rękami Jadzia i ściszym głosem wyszeptała: – Przepraszam, wpadłam zobaczyć, czy jesteś, bo jutro pewien młody człowiek mógłby zabrać te pudła z ubraniami, ale nie będę teraz przeszkadzać.

– A będziesz w domu za... za jakiś czas? – Nie potrafiłam określić, kiedy skończymy z mamą tę rozmowę, która zaczynała płynąć w nieprzewidzianym kierunku.

– Tak, tak, nie przejmuj się tym, po prostu wpadnij. To pa. – Uścisnęła mnie za rękę i poszła.

– Pa – odpowiedziałam i zamknęłam za nią drzwi. Przyłożyłam telefon do ucha: – Mamo, już jestem. Mamo?

– Przepraszam, odłożyłam aparat, bo mieszałam zupę kokosową, super jest, muszę ci kiedyś zrobić, a, no więc mieszałam, a nie wiedziałam, ile czasu zajmie ci ten gość.

– To sąsiadka – odpowiedziałam machinalnie. – Bardzo miła i uczynna. Dała mi na przykład namiar na specja od piecyków. Na takiej ładnej karteczce w koniczynki – dodałam trochę bez sensu, ale wciąż byłam oszołomiona propozycją mamy i próbowałam zebrać myśli.

– W koniczynki? Tej samej, co na lodówce? No to rzeczywiście bardzo ładna, ale tak kolorowa, że dopiero po dwóch dniach wypatrzyłam ją pośród innych, równie barwnych ulotek i kartek. Przyglądałam się jej, ale żadnej czterolistnej nie znalazłam – roześmiała się.

Czyli była tylko jedna, na mojej części, zaznaczona przez Jadzię. Zaraz, zaraz...

– Mamo, a ty w ogóle zdjęłaś tę kartkę z lodówki?

– No nie. Wisi sobie. Jako dobry znak twojego powrotu. *Good sign*.

– Ale ja napisałam coś także na odwrocie! – Aż podskoczyłam.

– Naprawdę? – zdziwiła się szczerze Dorota.

– Tak, nie wiem dlaczego, ale założyłam, że odepniesz tę kartkę, no i wtedy... – Wtedy pomysł z zapisaniem obu stron wydał mi się fajny, taki trochę tajemniczy, nie wprost. Teraz jednak zrozumiałam, że miał luki. Kartka wisiała nietknięta na lodówce, więc Dorota nie odczytała wiadomości o komodzie i pamiętniku. To dlatego nie zadzwoniła. I dlatego nie wzruszyła się historią Emilii.

– No dobrze, już zdjęłam i... „Zajrzyj do górnej szuflady komody”. A po co, kochanie?

– No zajrzyj, mamo, proszę.

– Dobrze, zaraz pójdę. Ale jeszcze wracając do tego mieszkania...

– Mamusiu, zajrzyj, proszę.

– Jeśli to takie ważne, to już idę. No dobrze, jestem, komoda stoi, otwieram i... A co to jest? O rany... – Dorocie nagle zmienił się głos. Wydawała się równie przejęta jak ja, gdy szuflada toaletki odkryła przede mną swoją sekretną zawartość.

– To jest historia naszej rodziny.

– A ty już?...

– Tak. Ja i babcia. I obie byłyśmy bardzo poruszone.

– No to przeczytam, oczywiście. Nie bardzo wiem, co teraz powiedzieć.

– Wiem, mamo. Potem pewnie wcale nie będzie łatwiej. To przeczytaj i zadzwoń, dobrze? Nim porozmawiamy o przyszłości, poznaj przeszłość.

Odłożyłam telefon, usiadłam przy stole i zapatrzyłam się w lipy.

Kiedyś szłam przez życie prostą, równą drogą. Potem zdarzyły się wertepy i z trudem je pokonałam. Od przyjazdu do Krakowa

dreptałam dość wygodną ścieżką, która jednak co chwilę się rozgałęziała. W którą stronę pójść? Co mnie czeka za zakrętem? Te pytania wywoływały jednocześnie stres i... ekscytację.

Zabrałam jedno pudło i poszłam do Jadzi. Nim na dobre się rozsiadłam w jej bajecznie kolorowej kuchni, jeszcze dwa razy obróciłam do swojego mieszkania po kolejne kartony. A potem streściłam sąsiadce rozmowę z mamą.

– Nie spodziewałaś się, prawda? – zapytała, nalewając mi herbaty malinowej i podsuwając biszkopt na talerzyku z kwiatowym wzorkiem.

– Nic a nic. Przypuszczałam, że się pogodzimy, bo mama nie z tych, co się obrażają na długo. Gniew się w niej szybko zapala, a potem równie szybko gaśnie. To raczej ja jestem zapiekłym typem.

– Raczej? – Uśmiechnęła się z tym swoim błyskiem w oku.

– Bez raczej. Jestem – przyznałam. Jadzia potrafiła podocisnąć człowieka tak, że musiał powychodzić z tych swoich ochronnych słówek: raczej, chyba, prawdopodobnie, przypuszczalnie, może... – Ale się zmieniam! – dodałam triumfalnie.

– Widzę i bardzo ci kibicuję. – Sąsiadka przestała się wreszcie krzątać po jadalni i usiadła naprzeciwko mnie. Dziś obnosiła zielenie – w tym kolorze była jej zwiewna sukienka. Dla kontrastu włożyła duże korale o barwie dojrzałych piwonii i takie same kolczyki-kuleczki wpięła w uszy. No tak, czwartek to dzień pracy w hospicjum. – A czym właściwie skończyła się ta rozmowa z mamą?

– Pamiętnikiem. A chwilę wcześniej mama powiedziała, że się wprowadzi, żeby zwolnić miejsce dla mnie.

– O to ci chodziło, prawda? – Jadzia przyjrzała mi się bacznie.

– Nie. Tak. To znaczy myślałam, że o to. Ale wtedy byłam zła. Teraz poczułam się... czy ja wiem? Winna. O, tak, winna. Bo przecież jestem dorosła i samodzielna. Nie mogę oczekiwać od mamy takich poświęceń. No bo dokąd ona pójdzie?

– Może ma coś na oku? – zastanowiła się sąsiadka.

– Albo kogoś – dodałam, ale bez przekąsu. Ścieżki mamy nigdy nie były zupełnie proste.

– Przepraszam cię, że tak się wiercę, ale niedługo zaczynam zmianę w hospicjum. Niby to nie etat, ale nie mogę się spóźnić, bo moje dzieci na mnie czekają.

– A może ja bym cię kawałek odprowadziła? – zaproponowałam. Dobrze mi było z Jadzią. W jej towarzystwie czułam się spokojna i bezpieczna.

– Absolutnie doskonały pomysł. Spakuję torbę i idziemy.

Podczas gdy Jadzia uzupełniała zawartość pojemnego kolorowego worka o telefon i książki, które czytała dzieciom, ja sprzątnęłam ze stołu i umyłam naczynia. Kwadrans później szliśmy bulwarami w kierunku mostu.

– Stamtąd mam już tramwaj, ale przed nami jeszcze dobra chwila rozmowy. To jakie plany teraz, po rozmowie z mamą?

– Niezmienne. Wyperswaduję jej pomysł wyprowadzki. Przyznam ci się, że przez chwilę poczułam ulgę na myśl o powrocie do Warszawy, ale potem wyobraziłam sobie, jak idę do pana Tomka – teraz to już chyba z piętrowym tortem bym musiała się udać – i oznajmiam, że jednak sprzedaję mieszkanie! – Aż się zakrztusiłam ze śmiechu. – Pewnie już uważa, że jestem szurnięta.

– E, aż tak to nie. Od lat mają tu agencję. Znam go z widzenia i sprawia wrażenie serdecznego i wyrozumiałego człowieka. Zresztą na pewno niejedno już widział.

– Pewnie masz rację, ale nie będę sprawdzać, gdzie leżą granice tej wyrozumiałości. Zwłaszcza teraz, kiedy, już po tych wszystkich „sprzedaję”, „nie sprzedaję”, obiecał mi pomóc w remoncie.

– Sam? – zdziwiła się Jadzia.

– Neeee, ma zaufaną ekipę. To znaczy ekipa na razie zajęta, ale jest jakiś nowy chłopak, który ma niedługo przyjechać do Krakowa, i on zacznie pierwszy.

– Mówisz tak, jakbyś nie miała do niego przekonania.

– Coś mi nie pasuje – przyznałam. – Moje doświadczenia z budowlańcami są raczej złe, a tu jeszcze jakieś życiowe zakręty

czy coś. Pan Tomek był dyskretny w tej sprawie, więc nic więcej nie wiem.

– Życiowe zakręty są po to, żeby je brać i wychodzić na prostą, czyż nie, panno Majewska? – Jadzia stanęła przed przejściem dla pieszych. – To ja tu w tramwaj, a ty do domu sprzątać. I nie myśl za dużo. Pa, słońce! – Uścisnęła mnie, posłała całusa i poszła na przystanek tramwajowy.

A ja powoli wracałam na Wiślną. Równą alejką nad Wisłą.

Byłam już w łóżku, gdy telefon zatańczył na półeczce przy łóżku. Mama/Dorota.

– Cześć! – Błyskawicznie odebrałam. Serce zaczęło mi szybciej bić. Skoro mama dzwoni, to znaczy, że już przeczytała pamiętnik.

– Cześć, małpeczko.

Przeczytała. I była poruszona. Czułam to.

– Klaruniu... – zaczęła powoli, jak nie ona. – Pół godziny temu zamknęłam ten notes. Musiałam chwilę ochłonąć, nim sięgnęłam po telefon. Przyznam, że się wzruszyłam. Wszystkim, a najbardziej tym, że Emilia była taka... odważna. Przez te wszystkie lata myślałam, że babcia była niechcianą wpadką, a prababcia została samotną matką z konieczności. Taka smutna *story*. Staszek zginął, to prawo okrutnej wojny, ale prababcia z taką determinacją na niego czekała. I tak bardzo pokochała babcię. To była naprawdę silna kobieta, naprawdę. Z wyglądu delikatna osika, a z charakteru – mężny dąb.

Albo lipa, spojrzałam na oświetlone latarniami drzewa za oknem.

– Imponujące, zwłaszcza że jej matka wydaje się w tych opisach taka krucha, niepewna, więc na niej się nie wzorowała.

– Za to prapradziadek wręcz przeciwnie.

– Zauważyłaś to? – Mama się ucieszyła. – Ja bym powiedziała nawet więcej – on mi wygląda na tyrana! Cóż, takie były despotyczne, patriarchalne czasy – westchnęła. – Dobrze, że minęły. Ciekawe, że babcia nigdy się nie skarżyła na ojca.

– Pewnie miała wpojony niezachwiany szacunek do niego –

wyraziłam przypuszczenie.

– To na pewno. Choć odniosłam wrażenie, że ona go pomija tak specjalnie, znacząco. Jakby chciała go w ten sposób usunąć z życia... Czy ja zresztą wiem? – Dorota się zamyśliła. – Ale nie o tym chciałam z tobą pogadać – ożywiła się. – Nie dokończyliśmy poprzedniej rozmowy o mieszkaniu.

– Mamo... – zaczęłam, choć z poczuciem, że nie zatrzymam rozpędzonej Doroty. I nie myliłam się.

– Czekaj, Klarka, bo mam to wszystko przemyślane. Czytałam ten pamiętnik i wprost czułam, jak babcia kochała mamę. Tak bezwarunkowo, całkowicie akceptująco. Powołała ją na świat i wiele by oddała dla tej miłości. Taka jest rola matki. Właśnie to poczułam. I jeszcze bardziej się utwierdziłam w swojej decyzji. Też cię bardzo kocham, choć może nie zawsze to dostatecznie okazywałam. Teraz jest dobra okazja, by to powiedzieć. I jeszcze poprzeć czynem. *Actions speak louder than words*, wiesz, gest ważniejszy od słowa. Więc, Klaruniu, zwalnim mieszkanie i wyprowadzam się z Warszawy. Więcej – przepiszę hipotekę na ciebie.

– Mamuś. – Czułam, że głos mi drży. – Ja też cię bardzo kocham, ale nie musisz tego robić. Ja sobie dam radę, nawet dobrze, idę do przodu...

– Wierzę, że tak jest. Ale tu masz całe swoje życie. Studia, dom, Ankę, znajomych, pracę...

– Pracę zmieniam.

– No dobrze, to praca będzie nowa. Chcę powiedzieć, że tu są twoje korzenie. To ja jestem łazik, włóczykij. To ja mogę pracować wszędzie, byle był stolik z laptopem. To mnie jest łatwiej się przeprowadzić.

– No dobrze, ale gdzie ty będziesz czegoś szukać? Przecież wynajem jest drogi, a na nowe mieszkanie chyba cię nie stać?

– No przecież nie będę wynajmować. Wyprowadzę się do Krakowa.

Rozdział dwudziesty siódmy



Długo rozmawialiśmy z Dorotą. W pierwszej chwili jej pomysł wydał mi się absurdalny. Przecież wiele lat temu mama z ulgą opuściła to miasto. „Szepniesz komuś coś do ucha na jednym końcu Krakowa i za chwilę na drugim już o tym gadają”, mówiła. „Tu wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą”, dodawała. W Warszawie była zakochana; owszem zdradziła ją z Suwalszczyzną, ale zawsze z przyjemnością przyjeżdżała do stolicy. „Tu czuć bijący puls”, powtarzała. Tak, Dorota była stworzona do Warszawy. Potrzebowała jej, szczególnie teraz, gdy budowała swoje życie na nowo. Teraz, gdy oczekiwała, że ono przyniesie jej coś nowego. Co przyniosłoby jej życie w Krakowie? Dystyngowanego osiemdziesięciolatka w Poziomce? Wizyty pana Piecyka? Dociekania pani Florczyk? No, może z Jadzią by się zakumplowała. Jednak nie o takie zmiany jej chodziło, na pewno.

Co do mnie... Miałam w głowie straszny mętlik. Po trzech tygodniach warszawsko-krakowskiej karuzeli już podjęłam decyzję, że zostaję. Owszem, było we mnie trochę lęku, może nawet więcej niż trochę, przyznałabym dociśnięta przez Jadzię, ale była też duma, że jestem samodzielna. I ciekawość, co będzie dalej. Zwłaszcza ta ciekawość była dla mnie nowym doświadczeniem.

A jednocześnie czekał mnie – na pewno upiorny – remont, zachwianie stabilności finansowej. Na kilka miesięcy musiałabym

się pożegnać z komfortem.

Oczywiście, nie zastanawiałabym się nad tym znowu, gdyby nie propozycja Doroty.

Mój spokój legł w gruzach, przywalając moją pewność siebie.

Orzeł czy reszka, gdzie moja moneta, pomyślałam, gdy już prawie świtało.

Zasnęłam.

Obudziłam się z bólem głowy. Tak to jest, gdy się zarwie noc – i to na myślenie, nie na jakieś swawole.

Wzięłam telefon do ręki, żeby sprawdzić godzinę. Rany, dochodziło południe! Mój absolutny rekord w spaniu. Na wyświetlaczu miałam trzy nieodebrane połączenia. Mama, babcia, Anka.

Zacznę od mamy, zdecydowałam.

– Cześć, mammo.

– O, cześć, małpeczko.

Małpeczko, czyli mama nie zrezygnowała ze swojej dobroci i wciąż chce mnie uszczęśliwić Warszawą, pomyślałam. I tak było.

– Klarka, wczoraj przegadałyśmy pół nocy, ale czuję, że się rozstałyśmy bez umowy.

– No bez...

– Dlatego mam propozycję. Przyjedź na weekend, zrobię kolację, spokojnie wszystko przegadamy. W poniedziałek wyjeżdżam na kongres tłumaczy symultanicznych do Gdańska, więc możesz spokojnie zostawać.

– Mammo! – jęknęłam. – Ja dopiero co byłam w Warszawie. Przecież nie mogę tak jeździć wte i wewte!

– A czemu nie? Koleje są dla ludzi. Jeśli rzecz w pieniądzach, to będę sponsorem. Wybierz sobie nawet pendolino!

– Nie, kasę mam – powiedziałam. Jeszcze, dodając w myślach, bo przecież remont... O, uczepliłam się tej myśli. – No nawet jeśli, choć nie sędzę, zdecydowałabym się na Warszawę, to tu już sprawy zaszły za daleko, bo mam umówioną ekipę i jej nie odwołam. Tyle

razy zrobiłam z siebie kretynkę, że...

– No nie odwołuj, pewnie, że nie. Mieszkanie woła o remont, a ja się spokojnie tym zajmę. Wiesz, że kocham przebudowy.

Wszelkie życiowe przebudowy, westchnęłam w duchu.

Mój opór malał. Pewność siebie topniała.

To tylko dwa dni, a potem sytuacja otwarta... Mama czeka, dobrze się będzie spotkać, porozmawiać, przytulić. Świetny początek nowej, lepszej relacji. Jedź! – mówiła wygodna, pragnąca życia bez zmian część mnie.

Jesteś jak chorągiewka na wietrze. Zdecyduj się raz a dobrze. Warszawa cię wypuła, Kraków przygarnia. Zostań, nie daj się przekupić wygodzie – przekonywała druga, domagająca się rewolucji.

Gdzie ta moneta?...

– Dobrze, mamó. Przyjadę, ale tylko na weekend. Więcej nic teraz nie powiem.

– Pewnie! No taj daj znać, wyjadę po ciebie na dworzec.

Co ja robię?, myślałam, wybierając numer babci.

– Cześć, Klaruniu. Co słychać?

– Ach... Ostatnio mamę przede wszystkim.

– Ale wszystko dobrze?

– Dobrze. Choć jak u Doroty – na wariackich papierach.

– A tym razem co?

– Tym razem mama proponuje, że wróci do Krakowa, a ja mogę mieszkać w Warszawie.

– Tak? Chyba nie nadążam za wami, młodymi – zdziwiła się babcia i westchnęła. – Zawsze sądziłam, że nie przepada za naszym małym Krakowem.

– Właśnie! – potwierdziłam triumfalnie.

– Ale w zasadzie u Dorotki sprawy nie są na zawsze.

– Właśnie – powtórzyłam, już bez triumfu.

– Ale tylko rozmawialiście, prawda?

– Tak, przez telefon, długo. Mama zaprasza na weekend, żeby spokojnie pogadać, twarzą w twarz.

– Aha – powiedziała babcia. – I co po weekendzie?

– Nie mam pojęcia, babciu – przyznałam bezradnie.

Anka. Nie odbierała. Może właśnie karmiła, a może odsypiała zarwaną noc. Ona nie spała z powodu córeczki, ja z powodu mamy...

„Hej! Nie zgadniesz co. Wieczorem przyjeżdżam do Warszawy. Opowiem, jak się zobaczymy. Odezwij się. Całuję, twoja K.”.

Spakowałam tylko część ubrań. Nie chciałam postawić kropki nad i.

Nie wiedziałam, co będzie po weekendzie.

Rany, jak mnie wszystko ścisnęło w środku! Prawdę mówią poradniki coachingu – najlepsza jest ta decyzja, którą już podejmiesz. A ja już, już i... znowu byłam na rozstaju.

Wrzuciłam kosmetyczkę i zamknęłam walizkę. Na dworcu kupię sok i jakąś gazetę. Trzy godziny rozmyślań doprowadziłyby mnie do szaleństwa, trzeba czymś zająć głowę.

Nie mogłam zamknąć drzwi. Krzywo wsunęłam klucz i nie chciałam się ani obrócić, ani dać wyjąć. To znak, żeby zostać, pomyślałam. W różnych życiowych sytuacjach, gdy nie umiałam podjąć twardej decyzji, wypatrywałam znaków. A mogło być nimi wszystko – i czarny kot na drodze, i słońce wychylające się zza chmur. I klucz.

Szłam Plantami. Niewątpliwym plusem mieszkania na Wiślniej była lokalizacja – na stację miałam dwadzieścia minut. Może gdybym mieszkała w Nowej Hucie... A tak to mogę sobie bez problemów podróżować. Znak?...

Doszłam do budynku kas. Piątkowe popołudnie. Tłum ludzi, jakaś zorganizowana grupa Japończyków, dalej wycieczka szkolna, trochę turystów i białych kołnierzyków. No tak, zaczyna się weekend, a czynne dwie kasy, w tym jedna tylko międzynarodowa. Stania na pół godziny i pewnie już nie zdążę pójść do kiosku, a w Warsie ceny zwały z nóg.

Postanowiłam kupić bilet u konduktora. Najwyżej usiądę przy drzwiach albo blisko toalety, trudno. Nie potrafiłabym spokojnie

wystać w tym ogonku do kasy.

Gdy wychodziłam z budynku, w mojej torbie rozdzwonił się telefon. Co znowu?, pomyślałam. Dorota się rozmyśliła? Anka oddzwania? Wyświetlacz rozwiął wątpliwości: pan Tomek. Przez chwilę miałam pokusę, żeby nie odbierać, bo byłam zmęczona i skołowana. Przecież mogę oddzwonić już z Warszawy. Wciąż jednak gryzły mnie wyrzuty sumienia, że okazałam się taką niesforną klientką. No a teraz to może być coś związanego z remontem. Dobra, odbiorę, pomyślałam i przesunęłam palcem po zielonej słuchawce.

– Dzień dobry, pani Klaro, świetnie, że panią złapałem! – ucieszył się pan Tomek.

– Ekhem, dzień dobry, no prawie mnie pan złapał. Bo... no nie ma mnie w domu i przez cały weekend nie będzie. – Za nic nie powiedziałabym mu teraz, że znowu jadę do Warszawy, za nic! Od razu by pomyślał, że znowu zmieniałam plany. – Wybieram się na spotkanie rodzinne. – Część prawdy jest lepsza od kłamstwa.

– Och, czyli już nie ma pani w Krakowie? – Usłyszałam w jego głosie zawód.

– Prawie już nie ma. Jestem na dworcu.

– O, to jest szansa – ożywił się. – A ile jeszcze pani tam będzie?

Spojrzałam na zegarek.

– Jeszcze dwadzieścia osiem minut. Tyle mam do odjazdu pociągu.

– No to damy radę. Bo ten mój kuzyn właśnie się zjawił w Krakowie i mógłby ruszyć z pracami z kopyta. Dość niespodziewanie się to stało, dlatego nie uprzedziłem. No a kluczy do trzynastki już nie mam...

Fakt! Przecież po tej nieszczęsnej kąpieli pan Tomek zwrócił mi dorobiony komplet. Miałam go w torebce.

– A ponieważ jest u mnie w agencji, to za kwadrans mógłby się stawić na dworcu. Jest duża szansa, że zdąży i dostanie od pani klucze.

– Świetnie – odparłam. I pomyślałam, że przynajmniej tu sprawy

idą do przodu, w jednym kierunku.

– To jak ma panią znaleźć? Dokąd ten pociąg?

– Do... – Warszawa nie przeszła mi przez gardło ze wstydu. – Peron piąty. Będę na peronie piątym. Ale jak ja poznam tego pana? – zastanowiłam się nagle. W piątkowe popołudnia na dworcu panuje duży ruch. Sporo tu młodych, nijakich facetów, podobnych jeden do drugiego. Dżinsy, czarne koszulki, białe adidas. Przecież nie będę zaczepiała obcych mężczyzn.

– Opiszę mu, jak pani wygląda. Co dziś ma pani na sobie?

– Dużo zieleni. Zieloną sukienkę, w drobne różowe kwiatki. I walizkę też mam zieloną.

– Bardzo ładnie.

Czy ja usłyszałam w głosie pana Tomka zdziwienie? Pewnie tak, skoro kojarzyłam mu się wyłącznie z dżinsami. Ta sukienka to był wczorajszy zakup. Wracając z przystanku po odprowadzeniu Jadzi, trochę z nudów weszłam do lumpka i ją wypatrzyłam. Pasowała jak ulał. „Ślicznie w niej pani wygląda”, powiedziała sprzedająca. Nawet jeżeli komplementowała każdą klientkę, żeby zachęcić do sięgnięcia po portfel, to naprawdę zobaczyłam w jej oczach zachwyt. Więc kupiłam i byłam bardzo zadowolona.

– To mi wystarczy, resztę opiszę, bo przecież już się znamy. Niech wypatruje kasztanowej pięknej dziewczyny. Ciao!

Uroczy, pomyślałam.

Ruszyłam do galerii i po drodze kupiłam bajgla z solą, a w kiosku sok i kolorową gazetę. Z tych emocji cofnęłam się jeszcze do toalety w galerii handlowej. Tu też była kolejka, więc minęło kilka kolejnych minut. Przejściem podziemnym pociągnęłam walizkę w kierunku peronów. Wtąszyłam ją po schodach i stanęłam na peronie piątym. Do odjazdu pociągu zostało piętnaście minut. Rozejrzałam się, ale nikt nie pędził w moją stronę.

Po pięciu minutach zapowiedziano intercity do Warszawy. Srebrno-niebieski pociąg powoli się wtoczył, cichutko sapnął i stanął. Postanowiłam poszukać konduktora. Przeszłam, stukając kółkami walizki, na początek pociągu. Pan w granatowym

mundurze właśnie wysiadał.

– Dzień dobry! Czy mogę u pana kupić bilet?

– Oczywiście. Gdy już ruszymy, proszę do mnie podejść.

– Och, to fantastycznie, bałam się jakiejś kary albo dodatkowych opłat.

– Nie, to nie te czasy – roześmiał się konduktor. – Lubimy naszych pasażerów. Pierwszy przedział to pierwsza klasa, druga jest dalej. Proszę decydować.

Jasne, że druga. Odwróciłam się i pociągnęłam za rączkę walizki. Zaklinowała się i nie mogłam jej wysunąć z obudowy. Szarpnęłam mocniej. Teleskopowa rurka płynnie się wydłużyła, a ja się zachwiałam. Walizka, gwałtownie oderwana od ziemi, uderzyła mnie w nogę. Moje sandałki z rzemykami na cienkich skórzanych podeszwach wykonały ślizg po kamiennej posadce jak po lodowisku. Upadnę, zdążyłam pomyśleć, nim nagle znalazłam się w bezpiecznych objęciach. Pewny, choć delikatny chwyt uchronił mnie przed bolesnym spotkaniem z twardym podłożem. Dłonie, które mnie schwyciły, były ciepłe, zadbane i męskie. Zdecydowanie męskie. Podniosłam głowę. Patrzyły na mnie ciemnobrązowe, wręcz czarne oczy. Nad nimi falowała jasna czupryna. Cóż za oryginalne połączenie. Jak u...

– Dzień dobry! – Usłyszałam głos, który idealnie pasował do właściciela. – O mały włos, a bym nie zdążył.

– Dzień dobry – odparłam zmieszana.

Ten mężczyzna był... bardzo interesujący. Bardzo, bardzo interesujący. Piękna twarz, orli nos, bystre, przenikliwe spojrzenie. Jasnoniebieska koszulka, bawełniane spodnie, mokasyny. I zniewalający zapach wody kolońskiej. Czułam rosnącą kulę ciepła, która zaczynała wirować wokół serca. I niżej też... Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłam. Coś niesamowitego!

Do odjazdu pociągu zostało sześć minut.

Robotnika ani widu, ani słychu.

W domu czeka mama.

Na peronie, tuż przede mną, wciąż stoi mój wybawiciel. I nie

odchodzi.

Poczułam, że pocą mi się dłonie.

Nerwowo się rozglądałam za umówionym kuzynem pana Tomka. Wyciągnięty T-shirt, sprane dzinsy, buty ochronne – niczego takiego. I nikogo. No i co teraz? Może zdążę gdzieś podrzucić te głupie klucze? Ale gdzie? Do kiosku? No nie, miałam już tylko pięć minut.

I to spojrzenie. Kolana mi zmiękły. Z nerwów, ze stresu i z...

– Przepraszam, ale dziś taki zakrecony dzień i czekam na kogoś. – Nagle zdałam sobie sprawę, że to może być opacznie odebrane, że z tym kimś coś mnie łączy. – To znaczy, czekam na... na... pracownika, któremu mam dać klucze. I... A pan też się wybiera do Warszawy? – Zdobyłam się na odwagę.

Boże, Boże, proszę, żeby odpowiedział „tak”! Coś mnie przyciągało do tego mężczyzny jak najsilniejszy magnes. Niech to będzie ten znak! Odruchowo zacisnęłam kciuki, chowając dłonie za siebie.

– Nie. Ja też na kogoś czekam.

Och! Aż mnie zakłuło w środku z bólu. No pewnie, że czeka. Taki interesujący mężczyzna nie może być samotny. Co ja sobie wyobrażałam? Ja i moje szczęście... No to dostałam ten swój znak. W cholerę z kluczami, pomyślałam. Resztką sił blado się uśmiechnęłam.

– Dziękuję za bycie moim rycerzem. Do widzenia – powiedziałam i ruszyłam do otwartych drzwi.

Pendolino startowało za trzy minuty.

– Pani Klaro!

To był ten sam głos. I ten sam mężczyzna. Skąd on zna moje imię?!

– Pani Klaro. – Podeszedł do mnie i delikatnie dotknął mojej ręki. – Przepraszam, ale zaraz pani odjedzie – czy w jego oczach zobaczyłam cień zawodu? – a ja zostanę bez kluczy.

– Bez kluczy? – powtórzyłam wolno. Jak to: bez kluczy?

– Poznaliśmy się w dość dramatycznej chwili, dlatego proszę wybaczyć, że nie zacząłem, jak należy. Staszek Skarłat, krewny

Tomka Kwiatkowskiego. Miałem przyjechać dopiero po niedzieli, ale dziś skoro świt opuściłem swoje góry, spotkałem się z kuzynem, poznałem panią z opisu i oto jestem.

Poczułam, że kręci mi się w głowie. A więc to jest ten... facet od remontu?! Staszek, który opuścił swoje góry. Staszek z oczami jak dwa kamienie księżycowe i pszenicznymi włosami. Staszek jak...

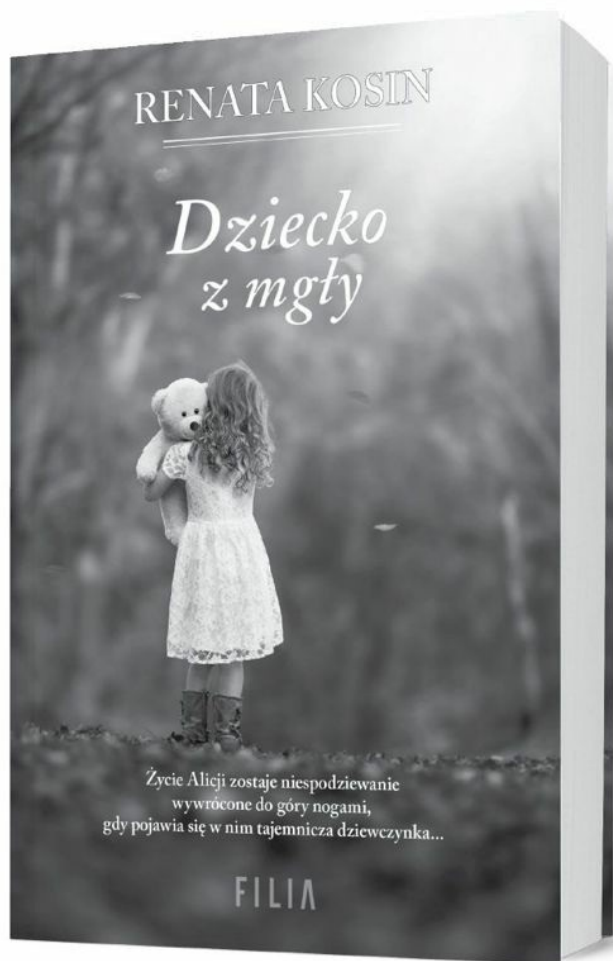
– Szanowni podróżni, prosimy zajmować miejsca. Odjazd pociągu za minutę.

Rękę trzymałam na poręczy przy wejściu, sandałek oparłam o pierwszy schodek.

„Los zatrzymuje się na chwilę na peronie. Wskakuj do pociągu, tylko głupcy pozwolą szczęściu odjechać”, przypomniało mi się zdanie z czytanej niedawno książki.

A gdyby brzmiało: „Los zatrzymuje się na chwilę na peronie. Nie wskakuj do pociągu, tylko głupcy odjeżdżają, gdy szczęście jest na wyciągnięcie ręki”?...

Ciąg dalszy nastąpi.



Życie Alicji zostaje niespodziewanie wywrócone do góry nogami,
gdy pojawia się w nim tajemnicza dziewczynka...

FILIA

Spis treści



[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Agnieszka Jeż, 2018
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcia na okładce: © Olga Gavrilova / Shutterstock, © bgfoto / iStock (detale)

Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała / Słowne Babki

Korekta: Agnieszka Zygmunt / Słowne Babki

Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-656-4

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl